

KAMIL DZIUBKA

Kulisy PiS



Książka jest zapisem rozmów wyłącznie z elitą PiS: parlamentarzystami, ministrami, wicepremierami, bliskimi współpracownikami Jarosława Kaczyńskiego. **Ani jedna wypowiedź nie pochodzi od opozycji.** Rozmówcy zgodzili się na pełną szczerłość tylko pod warunkiem anonimowości.

KULISY PiS



Kamil Dziubka

Warszawa 2023

Spis treści

Rozdział I. Rekin wśród gupików
Rozdział II. Z trzeciego szeregu
Rozdział III. „Chińczyk”
Rozdział IV. Nasza Beatka
Rozdział V. Syn
Rozdział VI. Banita
Rozdział VII. Daniel „wszystko mogę”
Rozdział VIII. Giermkowie
Rozdział IX. Wykarmieni
O autorze

Copyright © Kamil Dziubka, Czerwone i Czarne

ISBN 978-83-66219-85-4

Warszawa 2023

Projekt okładki: Paweł Panczakiewicz/PANCZAKIEWICZ ART.DESIGN

Korekta: Agnieszka Gzylewska

Czerwone i Czarne Sp. z o.o. sp. k.

ul. Puławska 314 02-819 Warszawa

Wyłączny dystrybutor

Dressler Dublin Sp. z o.o.

ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Mazowiecki

tel. (+ 48 22) 733 50 31/32

e-mail: dystrybucja@dressler.com.pl

www.dressler.com.pl

Wersję elektroniczną przygotowano w systemie *Zecer*

Rozdział I

Rekin wśród gupików



To Kaczyński był autorem pomysłu wyprowadzenia wojsk na ulicę podczas protestów kobiet przeciwko ustawie aborcyjnej. Miał zostać wprowadzony stan wyjątkowy. Odpowiednia decyzja była już przygotowywana, ale ostro sprzeciwiły się jej trzy osoby: Mateusz Morawiecki, Jarosław Gowin i Michał Dworczyk. Ten ostatni uważał, że armia się po tym wizerunkowo nie podniesie.

Doświadczony parlamentarzysta: – Jarosława interesuje czysta władza. Jest emocjonalnym psychopata. Jego osobista sytuacja materialna mało go zajmuje. On nie myśli o tym, czy będzie miał co jeść, bo on się żywi polityką. Jednak po ludzku jest w trudnej sytuacji. Nie jest człowiekiem młodym, jest osobą samotną. Pewnie wierzy, że do końca życia będzie liderem zwycięskiego obozu. Nie wiem, na ile bierze pod uwagę scenariusz, że będzie musiał oddać władzę. Bo to, że do śmierci będzie posłem, jest dla mnie oczywiste.

Senator: – Kluczem do zrozumienia Jarosława Kaczyńskiego jest, moim zdaniem, słynny wywiad Teresy Torańskiej z 1994 roku. W tym wywiadzie Jarosław Kaczyński pytany o to, co chciałby w przyszłości robić, odpowiedział mniej więcej tak: „Chciałbym być emerytowanym zbawcą narodu. I chciałbym być szefem partii, która będzie rządziła w Polsce, mocnym przywódcą takiej partii”.

Były minister: – Prezes się starzeje. Na ile go znam, myślę, że jest mu coraz trudniej wyobrazić sobie Polskę pod rządami innymi niż PiS. On się naprawdę zmienił przez te lata. W 2015 roku uważałem go za eurorealistę. Dziś po wojnie o wymiar sprawiedliwości jest politykiem głęboko antyunijnym. Narasta w nim też obsesja antyniemiecka, choć widziałem to u niego już wcześniej.

Kamil Dziubka: – To dlaczego Kaczyński pozwala Morawieckiemu głósować w Brukseli tak jak unijny mainstream?

Były minister: – Bo Morawiecki go oszukuje. A nawet jak się w tym zaczyna orientować, to już jest za późno i wie, że pociąg odjechał. Poza tym osobiście słyszałem, jak prezes kiedyś powiedział, że gdy Polska zacznie więcej wpłacać do unijnego budżetu, trzeba się będzie zastanowić nad tym, czy członkostwo w UE nam się w ogóle opłaca.

Bywalec Nowogrodzkiej: – Osobisty los prezesa zależy od tego, jak długo będziemy rządzić. Zobaczymy, jak będzie wyglądać partia w przypadku utraty władzy. Nie wiadomo, kto odejdzie, a kto zostanie. Przekonamy się, kto był z nami tylko dla stołków. Może być tak, że z kilkudziesięciotysięcznej armii zostanie tylko kilka tysięcy członków.

Doświadczony parlamentarzysta: – W polityce nie jest tak jak w starych zakonach. Tam jest prawdziwa demokracja. Dziś jesteś gwardianem, jutro przeorem klasztoru, a pojutrze furtianem i otwierasz furtkę współbraciom. Tam każdy się stara żyć z drugim dobrze, żeby spokojnie dożyć starych lat. Kiedy przyjdzie nowa władza, zaczną się rozliczenia. Nie trzeba stawiać Kaczyńskiemu zarzutów prokuratorskich. Wystarczy go wezwać na świadka w kilkudziesięciu sprawach w różnych prokuraturach. Mógłby tak spędzić ostatnie lata życia.

Poseł: – Jarosław stracił kontakt ze zwykłymi parlamentarzystami. Jeszcze w kadencji 2011–2015, kiedy byliśmy w opozycji, odbywały się jakieś spotkania, opłatki, uroczystości, gdzie każdy mógł podejść do prezesa, porozmawiać. On dowcipkował, z tym zagadał, z tamtym zagadał. Ludzie mieli poczucie, że mają dostęp do ucha prezesa i mogą mu się po prostu wyżalić. Oczywiście teraz się jakieś bardzo rzadkie spotkania odbywają. Jarosław wchodzi bocznym wejściem, powie swoje i wychodzi. Nie zostaje, żeby porozmawiać z szarakami. Jego to bardzo męczy. W pewnym momencie układ wokół prezesa zaczął się zacieśniać.

Członek władz PiS: – Ścisłe kierownictwo spotyka się co tydzień. To jest nieformalne ciało, czyli prezes wraz z osobami, które postanowił zaprosić.

Kamil Dziubka: – Ścisłe, czyli prezydium komitetu politycznego?

Członek władz PiS: – Nawet nie. Zresztą wspomniane prezydium, które się tam niby spotyka, nawet nie jest formalnie ujęte w statucie partii. Kluczowe są nazwiska: Brudziński, Kamiński, Szydło, Macierewicz, Terlecki, Sobolewski, Morawiecki i oczywiście Jarosław. Formalne decyzje podejmuje komitet, a pomiędzy jego posiedzeniami prezes. Potem decyzje prezesa musi zaakceptować komitet, co czasem się dzieje, a czasem niekoniecznie, co i tak nie ma większego znaczenia. Najważniejszy jest prezes i grono jego doradców. Oni mogą sobie mówić, co chcą, a i tak wszystko zależy od Jarosława. To trochę tak jak w rządzie. Ministrowie mogą sobie siedzieć, pić

kawę, nic nie mówić albo nawijać przez całe posiedzenie, a i tak decyzje podejmuje premier.

Były doradca Jarosława Kaczyńskiego: – Prezes uzależnił od siebie osoby, które są najbliższe niego. Ich żony są gdzieś zatrudnione, zjadają te frukta władzy, ale jednocześnie na tyle ich ze sobą skleił, że ci ludzie muszą być mu ślepo posłuszni. Oni nie mają szans w żadnym innym środowisku politycznym. Gdyby PiS się rozpadł, to to otoczenie nie ma szans na odnalezienie się w innych konfiguracjach politycznych, więc jest ślepo związane z wodzem, na dobre i na złe. I ten system, przy braku dopływu informacji przez to, że Jarosław Kaczyński nie ma takich normalnych kontaktów, jest oderwany od rzeczywistości, jest w kokonie, zaczyna być dysfunkcyjny.

Doświadczony parlamentarzysta: – Pamięta pan, jak prezes niedawno powiedział, że niemiecki konduktor chciał wyrzucić europosłów PiS z pociągu za mówienie po polsku? Tę historię mu opowiedział jakieś piętnaście lat temu Michał Kamiński. Kaczyński zapamiętał ją piąte przez dziesiąte i opowiedział nie tak, jak to było w rzeczywistości. A przecież takich przykładów jest więcej. Podobnie było z opowieścią, z której wynikało, że za Platformy było tak biednie, że ludzie musieli wygrzebywać zakopane dla dzików ziemniaki. A to ani nie było za Platformy, ani nie chodziło o ziemniaki. Po prostu prezes pojechał kiedyś na spotkanie z jakimiś leśnikami, którzy mu różne historie opowiadali. Ale to było ze dwadzieścia lat temu.

Poseł: – Prezes niestety czerpie wiedzę o ludziach często z tego, co ktoś mu wmówi. Zdarza mu się nierzadko tych opowieści nie weryfikować. Weźmy przykład afery meleksowej z udziałem Karola Karskiego. Z drugim posłem po pijaku rozbił dwa wózki golfowe w hotelu na Cyprze. Jakieś ciężkie pieniądze to kosztowało. Prezes z pełnym przekonaniem ich bronił. W ogóle nie wierzył w to, co się stało, choć hotel oficjalne pisma wysłał i do Sejmu, i do MSZ. Jarosław mówił, że to niemożliwe, by Karski, „klasyczny warszawski inteligent” coś takiego zrobił. I jeszcze, że „on przecież nie pije”. I dopiero chyba wtedy, jak ich cypryjski sąd skazał, uwierzył w całą sprawę. Nawet się później śmiał: „Dlaczego oni im od razu na miejscu nie zapłacili za te zniszczenia? Przecież stać ich na to”.

Członek władz państwowych spółek: – Niestety prezes żyje w bańce, którą sam sobie stworzył, tylko że już ma coraz mniejszy wpływ na jej kształt.

Jest uzależniony od tego, co powiedzą mu inni ludzie. Po nich przychodzą następni, którzy mówią mu coś zupełnie odwrotnego. On nie ma instrumentów, żeby prawidłowo ocenić rzeczywistość. Dlatego nie jest w stanie trwale rozwiązywać konfliktów. On zresztą tego nawet do końca nie chce. To niestety też sprawia, że nie rozumie, jak działa Unia Europejska i świat stosunków międzynarodowych. Ma od tego Morawieckiego i na niego to spycha. Jego światem jest Nowogrodzka. Życie partyjne to jego pasja. Prymat partii nad instytucjami to jego religia.

Poseł: – Nowogrodzka to jest bardzo wąskie i zamknięte grono. Niewiele osób naprawdę wie, jak tam wygląda i co się tam dzieje. Zawsze tak było. Posłowie widują Kaczyńskiego zwykle tylko na głosowaniach. Nawet ludzie uchodzący często za jego kumpli, którzy siedzą blisko niego w ławach poselskich, rozmawiają z nim twarzą w twarz raz na kilka tygodni, a nawet miesięcy. To, że Kaczyński uważa kogoś za lojalnego, trzyma go w jakichś ważnych ciałach, żeby podnosił rękę, nie znaczy, że ten ktoś ma z nim kontakt. Prezes, pracując nad jakimiś sprawami, uprawiając politykę, niespecjalnie ich słucha.

Menedżer: – Swoją drogą ten jego gabinet na Nowogrodzkiej to jest dość komiczne miejsce. Jakiś zwykły stolik, sztuczny kwiatek w wazonie. Lata osiemdziesiąte łamane na dziewięćdziesiąte. Taki klimat.

Bywalec Nowogrodzkiej: – Parę osób funkcjonuje w taki sposób, że dzwoni do prezesa na telefon do domu czy na komórkę. Niezależnie od tego, czy mają coś do powiedzenia, czy nie. Dzwonią, żeby zadzwonić. A jak nie mają nic konkretnego, to wymyślają i donoszą na innych. A on niestety często podchodzi ze zbyt dużym zaufaniem do ludzi.

Poseł: – Jarosław niby ma dystans do siebie, ale jak mu ktoś coś wkręci, to niewinny żart potrafi się przerodzić w katastrofę dla żartującego. Kiedyś profesor Andrzej Zybertowicz, który również wkradł się w łaski Kaczyńskiego, startował do Parlamentu Europejskiego. Napisał na portalu Karnowskich żartobliwy tekst o prezesie, w którym wyliczał jego wady. To miał być element kampanii z przymrużeniem oka. Tymczasem ktoś prezesowi to przedstawił jako drwiny z niego. Skończyło się tak, że prezes otwarcie poparł kontrkandydata Zybertowicza z listy, więc profesor wybory przegrał. Na pocieszenie wylądował w kancelarii Dudy.

Poseł: – Pewnego razu umówiłem się na spotkanie z prezesem. Przychodzę, rozmawiamy. Dopinaliśmy wtedy jakiś mały partyjny biznes. W pewnym momencie, mniej więcej po godzinie, wchodzi Michał Moskał, czyli nowa pani Basia. Mówi, że za drzwiami już czeka premier. Prezes odparł: „Dziękuję, dziękuję”. Moskał wyszedł, a Kaczyński do mnie: „Czytałem ostatnio bardzo ciekawy artykuł o PKB południowego Londynu w kontekście brexitu”. I wie pan co? Siedzieliśmy, rozmawiając kolejną godzinę, w trakcie której Morawiecki cały czas czekał za drzwiami. Oczywiście z jednej strony był to akt celowego upokorzenia Mateusza i pokazanie, kto tu rządzi. Jarosław się tym upaja. Z drugiej strony tu trochę wychodzi, że Kaczyński jest jednak człowiekiem starej daty. To jest u niego normalne, że się przychodzi na godzinę, dwie, z czego konkrety zajmują może kwadrans.

Wiceminister: – Zegarek Jarosława Kaczyńskiego odmierza czas zupełnie inaczej niż zegarki większości ludzi. To do niego się trzeba dostosowywać, nie odwrotnie. On ma tego świadomość. Jest dobrym, ale trudnym rozmówcą. Lubi wrzucać swojego interlokutora na głęboką wodę. Sprawdza, jakie są jego horyzonty. Ni z gruchy, ni z pietruchy potrafi uciec z jakiegoś politycznego wątku na temat dotyczący literatury, sztuki czy biznesu. Bardzo dużą wagę przywiązuje do rytuału konwersacji. Dla niego rozmowa, której celem ma być dobicie jakiegoś targu, nie może dotyczyć wyłącznie tego zagadnienia. Musi w tym być coś więcej. W tym sensie on został zaprogramowany jeszcze w XIX wieku.

Poseł: – Dla prezesa jest oczywiste, że jeśli przychodzi do niego gość, to musi usiąść, wypić herbatkę, trzeba go poznać. Jak dziecko, które przychodzi do rzadko odwiedzanej ciotki, kiedy potrzebuje kieszonkowego na wyjazd. No nie może wejść i powiedzieć: „Ciotka, wyjeżdżam nad morze, dawaj kasę”. Trzeba ją najpierw spytać, jak się czuje, co u niej słychać. Inaczej ciotka się poczuje lekceważona. Albo jak babcia, która wzywa hydraulika i nie pozwala mu wyjść po skończonej robocie, bo jeszcze musi go poczęstować ciastem. Jest to element konwenansu, który jest dla Kaczyńskiego ważny. I on się już nie zmieni, bo jest starszym człowiekiem.

Oslabienie

Poseł: – Oczywiście nie ma co ukrywać, że Kaczyński bardzo się posunął w ciągu ostatnich lat. Czasem mam okazję obserwować go z bliska. Mocno wychudł, ma teraz taką bardziej pociągłą twarz. Jak to się kiedyś mówiło, stał się taki bardziej wysuszony. Co chwilę wraca plotka, że prezes jest chory na raka trzustki i zostało mu kilka miesięcy życia. Już kilka razy by zdążył umrzeć w tym czasie.

Wiceminister: – Prezes nie dba specjalnie o higienę życia. Jego otoczenie pod tym względem nie troszczy się o niego wystarczająco. Myślę, że niezbyt dobrze się odżywia. Wiem, że bardzo długo preferował tłustą kuchnię. Jadł najczęściej dania serwowane na wynos, które kurier przynosił z jadłodajni blisko siedziby partii. Może po drugiej operacji kolana jest z tym trochę lepiej, ale jak się całe życie funkcjonowało inaczej, to trudno na stare lata coś wyraźnie zmienić.

Poseł: – Ta jego coraz gorsza forma fizyczna sprawia, że coraz słabiej funkcjonuje w ogóle jako lider. Jeśli masz permanentną nadwagę, żyjesz z ciągłymi dolegliwościami, zastanawiasz się, czy wejdiesz po schodach i jak długo ci to zajmie, ile wytrzymasz na mównicy w trakcie przemówienia, to jesteś wiecznie niespokojny. A najgorzej, jak przychodzi wiosna i drzewa zaczynają pylić. Wtedy Jarosława dopada alergią i chodzi zły jak osa.

Członek władz PiS: – Jarosław źle zniósł drugą operację kolana. Bardzo cierpiał. Niestety już w trakcie zabiegu się okazało, że zbyt długo to odkładał. Przez tych kilka lat kości się mocno osłabiły. No ale nie było wyjścia. Mieliśmy przecież wybory jedne po drugich. Prezes nie mógł tak po prostu zniknąć na kilka miesięcy. Zresztą miał się położyć do szpitala zaraz po wyborach w 2019 roku, ale się okazało, że do Sejmu dostało się zbyt dużo zióbrystów i gowinowców. Jarosław uznał, że pozostawienie nas z tym może być niebezpieczne, bo było jasne, jakie Ziobro ma ambicje i jak wrogo jest nastawiony do Morawieckiego. A już po operacji prezes miał początek sepsy, co go bardzo osłabiło. Na dodatek nie mógł brać silniejszych leków przeciwbólowych, bo mu to podnosiło ciśnienie i przez to szybko się denerwował. Zwłaszcza że znowu musiał się zacząć pokazywać z kulą. Myślę, że to było dla niego trudne, bo to widoczna oznaka ludzkiej słabości. Chyba nikt tego chce i nikt tego nie lubi. On także.

Minister: – Prezes ma najlepszą opiekę lekarską, ale też nigdy specjalnie zdrowo się nie prowadził. Sportów nie uprawiał, przez ostatnich kilkadziesiąt lat przemierzał świat samochodem prowadzonym przez kierowcę. Zbyt dużo

nie chodził, z czego się wzięły jego problemy z kolanem. Pamiętam zresztą, że kiedy był na pierwszym zabiegu na tę nogę, chyba w 2018 roku, krążyła plotka, że to nie kolano jest przyczyną problemów, tylko nowotwór. To się wzięło z tego, że prezes musiał dłużej zostać w szpitalu po operacji. Gronkowiec wywołał stan zapalny. Niektórzy wtedy zaczęli panikować.

Wiceminister: – Jak się wtedy okazało, że prezes musiał odwołać całą serię spotkań, to ludzie naprawdę się wystraszyli. Ale on musiał już to zrobić, boby mu to kolano się rozleciało zupełnie. Przez kilkanaście miesięcy żył z nieustannym bólem. Bolało go, niezależnie od tego, czy chodził, stał, czy siedział. W trakcie siedzenia czasem nawet było gorzej. Maskował to długo. Jeździł na rehabilitację, ale operacja była konieczna.

Bywalec Nowogrodzkiej: – Jarka wkurza jego kuzyn Janek Tomaszewski, bo do niego co chwilę tabloidy dzwonią i pytają, jak się prezes czuje. A on im opowiada, że Jarka dziś klata boli, wczoraj kolano, a przedwczoraj go w kręgosłupie łupało.

Poseł: – Kiedy zaczęły się poważne problemy prezesa ze zdrowiem, dało się wyczuć, że coś się bezpowrotnie zmieniło. Niektórzy dopiero wtedy zauważyli, że Jarosław nie jest już pięćdziesięciokilkulatkiem, który przemierzał Polskę samochodem na siedzeniu pasażera i mógł odbyć kilka spotkań dziennie w oddalonych od siebie czasem o kilkaset kilometrów miejscowościach. To się skończyło. A zaczęło się myślenie o tym, co się może stać, jeśli prezesa zabraknie.

Niewymienialny

Bywalec Nowogrodzkiej: – Jarosław miał w życiu jednego partnera do robienia polityki i to był jego brat. Każdego innego traktuje instrumentalnie. On zresztą kiedyś powiedział, że nie widzi sensu wskazywania swojego następcy, bo i tak to partia go wybierze. Kokietuje. To jest jego prywatna partia. Statut PiS, który przecież był pisany pod Kaczyńskiego, przewiduje dość szerokie uprawnienia dla prezesa honorowego. Mogę sobie wyobrazić, że on rezygnuje z bieżącego kierowania partią, ale dopóki będzie w pełni władz umysłowych, ktokolwiek byłby prezesem, będzie musiał się z nim liczyć. Będzie od Kaczyńskiego uzależniony emocjonalnie, mentalnie. Będzie się podświadomie bał jego gniewu. W praktyce wszystkie najważniejsze

decyzje będą z nim konsultowane. Jarosław, jeśli nie jest większy niż cały PiS, to na pewno jest równie duży. Bóg jeden wie, ile to będzie trwało.

Były minister: – W tej partii nie ma już żadnej znaczącej figury oprócz Jarosława. Nie jest nią ani Morawiecki, ani Szydło, ani nikt inny. Brat nie żyje, Ludwik Dorn, Marek Jurek, Kazimierz Michał Ujazdowski zostali wycięci albo sami odeszli. To były jakieś osobowości, które mogły się z prezesem nie zgadzać, mieć jakąś własną agendę, a nade wszystko nie zawdzięczały swoich karier wyłącznie Kaczyńskiemu. I nie chcę Jarosława porównywać do Piłsudskiego, ale obawiam się, że pewien scenariusz może się powtórzyć. Jak marszałek żył, to nikt mu nigdy nie podskoczył. A jak go nagle zabrakło, to się wszystko posypało.

Bywalec Nowogrodzkiej: – Tak jak Einstein był geniuszem fizyki, tak Jarosław jest geniuszem fizyki politycznej. Nikt tego nie rozumie tak jak on. Być może Tusk jest w stanie myśleć podobnymi kategoriami, ale on ma swoje ograniczenia w postaci rodziny, dzieci. Jarosław tego nie ma. On nie musi w ten sposób kalkulować.

Poseł: – Prezes czasami rzuca jakieś luźne sugestie dotyczące konkretnych osób, z których można wywnioskować, że widzi w nich potencjalnych następców. Wiem, że się świetnie przy tym bawi, ale to mu jest potrzebne również do tego, by sprawdzić reakcje zainteresowanych.

Bywalec Nowogrodzkiej: – Jarosław raz wspomniał, że myślał o Januszu Kurtyce, prezesie IPN, który zginął w Smoleńsku, jako o potencjalnym następcy. Zresztą to wyznanie miało miejsce już po katastrofie, więc trudno powiedzieć, czy panowie kiedykolwiek rozmawiali o wejściu Kurtyki do polityki. Do dziś nie wiem, czy on tak rzeczywiście o nim myślał, czy po prostu Kurtyka był jakimś ucieleśnieniem jego marzenia. Bo on był profesorem, człowiekiem kulturalnym, pochodził z Krakowa. Zresztą pomimo tego, iż miał serce po prawej stronie, był w stosunku do partii trochę ciałem obcym. A może wyjaśnienie jest zupełnie inne. Być może Jarosław chciał wbić szpilę Ziobrze, który wtedy nie ukrywał swoich ambicji przejęcia schedy w PiS po prezesie?

Doświadczony parlamentarzysta: – Moim zdaniem nie będzie nikogo, kto przejmie rząd dusz nad całą prawicą. Powstaną co najmniej trzy ruchy. Może dwa. Jeden skupi się wokół Ziobry i będzie to reprezentacja nurtu eurosceptycznego. Drugi będzie bardziej liberalny. Natomiast szyld PiS

i pieniądze, czyli struktura, pozostaną przy Mariuszu Błaszczaku. To ugrupowanie za kilka lat będzie mieć dziesięć, być może piętnaście procent poparcia. A będzie to wynikać między innymi z tego, że jeśli opozycja przejmie władzę, rozpocznie brutalne rozliczanie PiS. W pierwszej kolejności zarzuty usłyszy Morawiecki za wybory kopertowe.

Współtwórca kampanii wyborczych: – Jarosław moim zdaniem nie widzi w Morawieckim swojego następcy. Jeśli kogoś namaści na szefa partii, będzie nim raczej Mariusz Błaszczak. W Morawieckim widzi być może kandydata na prezydenta. Może to dziwnie zabrzmieć, ale Kaczyński ma kompleks na punkcie tego, jaką partią jest PiS. Sam Kaczyński niewątpliwie jest wychowany w takim etosie inteligenckim i bardzo mu zależało na tym, żeby pozyskiwać do PiS-u ludzi reprezentujących taki etos, czyli ewidentnych przedstawicieli elit społecznych. Mam tu na myśli na przykład Piotra Glińskiego. Również Konstanty Radziwiłł na pewnym etapie był tak postrzegany. Stąd dziwna słabość do profesorów, ale też do ludzi, którzy w takim ogólnym poczuciu społecznym reprezentują jakąś wyższą klasę. I taką osobą niewątpliwie jest Morawiecki.

Bywalec Nowogrodzkiej: – Morawiecki myśli o swojej roli w polityce długoterminowo. Proszę mnie dobrze zrozumieć... On świadomie daje sobą pomiatać, bo ma inną perspektywę niż Kaczyński. Przełknie wszystko. Natomiast on do końca nie wie, jakie plany ma wobec niego Jarosław. Kaczyński to jest rekin w stadzie gupików. Morawiecki też jest gupikiem. Prezes ma psychikę drapieżcy. Dla niego partnerstwo w polityce nie istnieje. Każdy, kto chce być blisko niego, musi zostać przeczolągany. Mateusz dał się przeczolągać, więc ja nie czuję w nim partnera dla prezesa.

Były współpracownik Jarosława Kaczyńskiego: – Myślę, że Kaczyński doskonale zdaje sobie sprawę z błędów, które popełnił w ciągu ostatnich ośmiu lat. Jeśli chce się rządzić wiele, wiele lat, mieć sterowność, to trzeba podejmować pewne decyzje. Weźmy kwestię Ziobry. Jarosław ma pretensje do niego, że on go ciągnie za nogawkę. No ale prezes miał szansę go przyjąć z powrotem do PiS na swoich zasadach. Ustalić z nim, że może wejść, ale jasno postawić granice. Bo dziś Ziobro wie, że Kaczyński nie widzi w nim swojego następcy, więc jest zakładnikiem tej sytuacji. Mógł znaleźć optymalną formułę współpracy. Mógł zrobić to, co Orbán na Węgrzech. Mało kto o tym pamięta, ale jego Fidesz startuje w wyborach w ramach koalicji z Chrześcijańsko-Demokratyczną Partią Ludową. Więc Orbán znalazł odpowiednią formułę niekonfrontacyjnej kooperacji. Kaczyński miał szansę

to zrobić i zabetonować tę stronę sceny politycznej, kiedy był najsilniejszy. Ziobro to jedno. Ale jest jeszcze PSL. Gdyby ludowcy dostali dobrą ofertę i ją przyjęli, Jarosław miałby spokój na kolejne dwie, trzy kadencje. No ale wtedy musiałby PSL-owi powiedzieć: „Będziecie rządzić z nami we wszystkich sejmikach, nie będziemy was wsadzać do więzień, dostaniecie wpływ na media państwowe, przestaniemy was niszczyć, ale podpiszcie z nami umowę na trzydzieści lat”. Jak się jest silnym, można się dzielić. Jarosław przespał ten moment. Dziś musi ciuć głosy u jakiegoś Mejzy, którego w dawnych czasach by kazał ubiczować i wygnać z kraju. A wie pan, że jak się pojawiły pierwsze kompromitujące artykuły o Mejzie, to ten pobiegł na Nowogrodzką i usłyszał, że Kaczyński wcale nie chce jego dymisji? Dopiero po kolejnych publikacjach na jego temat już nie było wyjścia, ale trwało to przecież dobrych kilka tygodni. Jednak ta sytuacja pokazuje, w jakim położeniu jest Kaczyński. Chciał budować wielką partię, chciał być emerytowanym zbawcą narodu, a bał się skasować jakiegoś drobnego cwaniaczka.

Zarządzanie przez konflikt

Wiceminister: – Jak Kaczyński rządzi ludźmi? Dam panu taki przykład. Kolega minister poszedł na spotkanie do Jarosława. Opowiada mu, co tam słycać w resorcie. W pewnym momencie prezes go pyta o sytuację w jego okręgu wyborczym. No to kolega zaczyna wyliczać, ile konferencji zorganizowali, jakie inicjatywy podjęli. Jarek mu przerwał: „Ale ja nie o to pytam. Chcę wiedzieć, kto się z kim aktualnie żre”.

Senator: – Kaczyński, pomny wszystkich klęsk prawicy, konsekwentnie budował swoją partię, zarządzając nią na zasadach konfliktu. To znaczy zawsze w terenie były jakieś dwie grupy czy trzy, które rywalizowały.

Senator: – Jarosław oparł się na bardzo wąskiej grupie, do której miał zaufanie. To właśnie tym ludziom delegował pewne zadania, ale ściśle to kontrolował. I stworzył system, który doprowadził do patologii. We wszystkich okręgach wewnątrz PiS są jakieś konflikty. Nie ma okręgu, gdzie nie ma absolutnie konfliktów.

Poseł: – Największa wojna u nas jest chyba na Podlasiu. Moim zdaniem to jest matka wszystkich wojen. Były minister rolnictwa Krzysztof Jurgiel walczy z Jarosławem Zielińskim, który był ministrem od policji. To ten, co

mu konfetti zrzucali z policyjnego śmigłowca. Z kolei wiceminister edukacji Piontkowski, który jest z Łomży, wiecznie wycinał Lecha Kołakowskiego. Ten się w końcu wkurzył i przy piątce dla zwierząt powiedział, że opuszcza PiS. Prezes Kaczyński miał już tego dość, ale straciliśmy większość i w końcu go zaprosił do siebie. Kołakowski wrócił, ale w ramach zapłaty przez kilka miesięcy był doradcą w Banku Gospodarstwa Krajowego za czterdzieści tysięcy złotych miesięcznie. Podobno się nawet wykłócał o samochód z kierowcą. Z Kołakowskim w konflikcie była jeszcze posłanka Bernadetta Krynicka, też z Łomży. Jak senatorem z Podlasia została Anna Maria Anders, to kiedyś pojechała się pożalić do prezesa. Mówi do niego: „Jarosław, to jest dom wariatów. Chciałam zorganizować spotkanie opłatkowe. Zaprosiłam Kołakowskiego i Krynicką. Jak tamci się dowiedzieli, że będą przy jednym stole, to skończyło się tak, że oboje nie przyszli”. A prezes do niej: „Aniu, nie przejmuj się. To nie jest żaden konflikt. Konflikt to jest dopiero pomiędzy Jurgielem i Zielińskim”. Andersowej wtedy ręce opadły.

Poseł: – Taki klasyczny konflikt był między Leonardem Krasulskim i jego żoną a Jurkiem Wilkiem i jego żoną. Ekipa z Elbląga. Jarosław miał do nich słabość, bo ich poznał w 1989 roku, jak startował do Senatu po Okrągłym Stole. Krasulski należy do komitetu politycznego, więc jest członkiem najwyższych władz w partii. W Sejmie siedzi zaraz nad prezesem, więc go zawsze kamery pokazują. Wie pan, on to podstawówkę chyba tylko skończył. Coś nawet kręcił w sprawie tego wykształcenia później. Z wojska go za komuny wyrzucili. Potem dostał wyrok za wypadek po pijanemu. Ale trwa przy prezesie, łupież mu strzepuje chusteczką z marynarki. On się potrafił wielokrotnie powoływać na wolę prezesa w sprawach, o których z nim nawet nie rozmawiał. Zresztą w ogóle on ma problem z językiem polskim. A Jurek Wilk, były prezydent Elbląga, dobrotliwy człowiek. Gość, bez którego nie byłoby przekopu Mierzei Wiślanej. Pilnował tego. Prezes wiedział, że oni się nie cierpią z Krasulskim. Ale lubił ich obu i krzywdy im nie dał zrobić. U nas mówią, że jak Jurek Wilk umarł, to w Elblągu były tego dnia dwie imprezy. Jedna to stypa organizowana przez rodzinę zmarłego, a druga u Krasulskich. I ponoć Kaczyński zawitał i tu, i tu.

Poseł: – Jarosław jest mściwy i pamiętliwy. A pamięć ma świetną, wręcz fotograficzną. Ze szczegółami pamięta wydarzenia sprzed lat. Potrafi odtworzyć zdania wypowiedziane przez kogoś na temat jakichś błahych spraw, które dziś nie mają żadnego znaczenia, ale które jednocześnie wpływają na ocenę tej osoby u prezesa.

Bywalec Nowogrodzkiej: – Tak było z Mariuszem Chłopikiem, jednym z głównych bohaterów afery mailowej. Prawa ręka Morawieckiego. To był gość, który wcześniej pracował w biurze partii. Odpowiadał za organizację wyjazdów i część medialną. Obsługiwał Kaczyńskiego, jak ten podróżował po kraju. Czuwał nad nagłośnieniem, salą i temu podobnymi rzeczami. Dość ciężko pracował i dużo zrobił. Był naprawdę dobrym organizatorem. To on w kilka godzin zorganizował wyjazd prezesa do Smoleńska w dniu katastrofy, włącznie z załatwieniem samolotu. Jednak w pewnym momencie Jarosław go skasował. A stało się tak z powodu absolutnie kuriozalnej sytuacji. Z okazji jakiejś historycznej rocznicy odbywała się uroczystość. Byliśmy wtedy jeszcze w opozycji, a imprezę organizowały władze Warszawy, czyli wówczas jeszcze Hanna Gronkiewicz-Waltz. Kaczyński dostał zaproszenie i Chłopik miał pojechać tam przed wydarzeniem i zaklepać prezesowi siedzące miejsce w pierwszym rzędzie. Tyle że pół godziny przed imprezą do Chłopika zadzwonił kierowca prezesa z informacją, że Kaczyńskiego jednak nie będzie. No to Mariusz przestał pilnować miejsca dla Jarosława i pojechał do domu. Niestety okazało się, że prezes jednak przyjechał i znalazł się w idiotycznej sytuacji, bo stał i nie miał gdzie usiąść. Jarosław zrobił potem awanturę o to, że Chłopik nie szanuje starszych ludzi. Już nawet nie chodziło mu o to, że nie szanuje szefa partii, tylko że wobec starszego człowieka rzekomo nie ma szacunku. Kompletnie absurdalna sytuacja, która moim zdaniem źle świadczy nie o Chłopiku, tylko o prezesie. Nie rozumiem, jak można z powodu takiej sytuacji skreślić człowieka, który tyle lat rzetelnie pracował.

Poseł: – Kaczyński do tego stopnia go znienawidził, że w 2015 roku zablokował jego nominację na prezesa spółki, która jest operatorem Stadionu Narodowego. Jak się dowiedział, że jest taki pomysł, to wręcz dał rozkaz: „Możecie dać to każdemu, tylko nie jemu”.

Współpracownik prezydenta: – To, jak Kaczyński potrafi być zapiękły, świetnie pokazuje historia Marcina Mastalerka. W kampanii prezydenckiej w 2015 roku prezes zadzwonił do Mastalerka, który był ważnym macherem u Andrzeja Dudy, bo mu Kurski nagadał, że Andrzejowi słabo idzie. Kazał Mastalerkowi natychmiast wracać do Warszawy, żeby ustalić zmiany w strategii. Duda był wtedy w trasie, a Mastalerek razem z nim. I ten powiedział, że nie przyjedzie, bo się zajmuje kampanią tam, gdzie ona się toczy. I to był jego koniec w partii. Odroczone o kilka miesięcy. Nie miało znaczenia to, że Duda wygrał po doskonałej kampanii. Kilkanaście tygodni później Kaczyński na posiedzeniu komitetu politycznego odczytywał

nazwiska tych, którzy znaleźli się na listach wyborczych do Sejmu. Skończył czytać, a Mastalerek wstał i powiedział: „Nie usłyszałem swojego nazwiska”. Kaczyński odpowiedział, że ma rację, bo go nie ma. Jarosław dodał: „Sprawę stawiam tak, że albo pan, albo ja”. Ludzie byli w szoku. Byli pewni, że Marcin zacznie na kolanach błagać o miejsce. A on wstał i powiedział: „Pan jest bardziej potrzebny partii niż ja. W takim razie dla dobra Polski ja rezygnuję”. Kaczyński wtedy w nerwach spytał: „A ja działam nie dla dobra Polski?”. Tak się skończyła historia Marcina w PiS.

Bywalec Nowogrodzkiej: – Mamy kilka małżeństw działaczy. No niestety ten model nie zawsze się sprawdza, mówiąc delikatnie. To znaczy... Sprawdza się, dopóki się mąż z żoną nie złączą kłócić. Mieliśmy już poważny rozwód i to taki, że żona zaczęła Jarosławowi nadawać na męża. Wywaliła cały ich prywatny syf. No bebechy były na wierzchu. Przyznam, że bardzo skutecznie załatwiła swojego byłego, bo w następnych wyborach miejsca na liście on raczej nie dostanie.

Poseł: – Prezes ma przedziwny stosunek do kobiet. Mają na niego wyjątkowy wpływ. Podam przykład. W jednym z okręgów trzeba było usunąć dwóch działaczy Prawa i Sprawiedliwości z funkcji, które sprawowali w samorządach, ponieważ sprzeniewierzyli się ewidentnie zasadom i linii programowej. Cała sprawa była omówiona z szefem okręgu. Zostało uzgodnione, na którym posiedzeniu, kto i jaki wniosek postawi. Okazało się, że te osoby znalazły dojście do dwóch posłanek, które nawet nie pochodziły z tego okręgu. Poszły do prezesa. Jedna zaczęła mówić w ten sposób: „Panie prezesie, ale jeden z tych działaczy jest bardzo uczynny, naprawiał mi samochód i ogólnie bardzo mi pomagał”. Druga też dorzuciła swoje trzy grosze. I dzwoni telefon w połowie posiedzenia tego gremium, które miało wyrzucić tych gości. To był telefon z Nowogrodzkiej. Chwilę później pada wniosek o wstrzymanie procedury wykluczania tych osób.

Radny: – Proszę sobie prześledzić relacje z miesięcznic smoleńskich. Kobiety z partii bardzo ściśle pilnowały, żeby być najbliżej prezesa. Potrafiły szpilkę wbić jakiemuś posłowi, który przez przypadek znalazł się zbyt blisko Jarosława. Otaczały go szczelnym kordonem. Wmówiły mu, że ocieplają jego wizerunek.

Menedżer: – Powiem panu szczerze. W systemie, w którym Jarosław nie chce być premierem, nie ma możliwości, żeby pojawiła się jednostka, która mogłaby się wybić i kreować na nowego, prawdziwego lidera, bo Jarosław od

razu pompuje kolejnego. Na Śląsku, który jest bardzo trudnym regionem wyborczym, jest utrzymywany stan permanentnego konfliktu i Kaczyński bardzo dba, żeby nie było tam żadnego oczywistego lidera politycznego. On to robi z premedytacją. Napuszcza jedną frakcję śląską na drugą, tworzy trzecią. Tak samo będzie z urzędem premiera. Dopóki prezes żyje, nie będzie jednostki, która mogłaby stać się samodzielnym ośrodkiem w ramach obozu władzy. To jest po prostu niemożliwe. Jeśli Kaczyński sugeruje, że ktoś w przyszłości może być liderem partii, to tworzy iluzję. Nie może być naturalnego następcy w partii o tak skrajnie odmiennych interesach wewnętrznych. PiS jest wbrew pozorom bardzo pojemną partią. U nas są ludzie wywodzący się z dawnej Unii Wolności i ci, którzy zaczynali w środowiskach nacjonalistycznych. Są byli korwiniści i byli ZChN-owcy. Kaczyński wie, że musi napuszczać jednych na drugich, żeby różne grupy zajmowały się wzajemnym zwalczaniem. I to paradoksalnie trzyma PiS w ryzach.

Radykał

Minister: – Mówię to z pełną odpowiedzialnością: to Jarosław Kaczyński dał przyzwolenie Julii Przyłębskiej, żeby w 2020 roku ruszyła sprawę aborcji. Natomiast on był święcie przekonany, że orzeczenie Trybunału Konstytucyjnego będzie sformułowane w ten sposób, że za niezgodne z konstytucją zostaną uznane przypadki lekkiego uszkodzenia płodu. Mówiąc „lekkie”, mam na myśli zespół Downa. Tymczasem TK poszedł zdecydowanie dalej. Pierwszy raz widziałem Kaczyńskiego w stanie autentycznej paniki. Proszę mi wierzyć. Przy wcześniejszych protestach dotyczących na przykład ustaw sądowych on nigdy nie obawiał się utraty kontroli nad wydarzeniami. Natomiast masowe protesty w sprawie aborcji, które wylały się poza wielkie miasta, sprawiły, że on rzeczywiście był przerażony wizją utraty władzy. To wtedy nagrał to słynne wystąpienie, w którym wzywał do obrony kościołów. To pokazywało skalę jego przerażenia. Powiem więcej. To Kaczyński był autorem pomysłu wyprowadzenia wojsk na ulicę przeciwko tym protestom. Miał zostać wprowadzony stan wyjątkowy. Odpowiednia decyzja była już przygotowywana, ale ostro sprzeciwiły się jej trzy osoby: Mateusz Morawiecki, Jarosław Gowin i Michał Dworczyk. Ten ostatni uważał, że armia się po tym wizerunkowo nie podniesie. Zresztą Kaczyński potem przyznał w jakiejś rozmowie, że brał pod uwagę, że wojsko jeszcze bardziej rozjuszy

ludzi i to się skończy dymisją całego rządu. Ale na pewnym etapie był skłonny podjąć takie ryzyko.

Kamil Dziubka: – Był gotowy na stan wyjątkowy, mimo że wcześniej nie chciał wprowadzić żadnego ze stanów nadzwyczajnych z powodu pandemii?

Minister: – Wtedy mieliśmy przekonanie, że społeczeństwo odbierze to bardzo źle. Polakom stany nadzwyczajne kojarzą się ze stanem wojennym.

Poseł: – On nie dostrzegał, że na tych protestach są kobiety, młodsze, starsze, nastoletnie. Inaczej jest, jak wysyłasz policyjną prewencję na chuliganów stadionowych, a inaczej jak widzisz, że to jest protest, gdzie osiemdziesiąt procent stanowią kobiety. Kaczyński niestety nie ma zbyt rozwiniętej inteligencji emocjonalnej i trudno mu przewidzieć konsekwencje pewnych decyzji.

Wiceminister: – Na jednej z porad Szymczyk, czyli szef policji, mówił, że obawia się rebelii wewnątrz formacji. Opowiadał, że część policjantów jest na granicy niewykonania rozkazów. Przekonywał, że nie wyobraża sobie wydania polecenia o siłowym rozpędzeniu protestów. Oczywiście potem zdarzyły się przypadki użycia siły, jakiejś dziewczynie antyterrorysta z pałką złamał rękę, ale rozkaz, żeby w całym kraju na masową skalę w ten sposób załatwić sprawę, nie padł.

Poseł: – O wyroku Trybunału Konstytucyjnego przesądził nacisk tak zwanej frakcji pro-life, której twarzą jest Bartłomiej Wróblewski. On później kandydował na Rzecznika Praw Obywatelskich. Wróblewski stworzył Parlamentarny Zespół na rzecz Życia i Rodziny. Ludzie z tej grupy zatrzymali się gdzieś na 2016 roku. Kaczyński po protestach czarnych parasolek obiecał im, że sprawa aborcji wróci. Nie zdawali sobie sprawy, jak zmieniły się nastroje. Myśleli, że społeczeństwo zrozumie, iż przerywanie ciąży z powodu niepełnosprawności dziecka nie może być zaakceptowane. A tutaj do głosu doszła zupełnie nowa grupa ludzi.

Członek władz PiS: – Prezes chciał jakoś obłaskawić posłów, którzy wcześniej wierzgnęli przy okazji piątki dla zwierząt. Nam się przez to rozpadł klub, bo część ludzi nie uległa presji i zagłosowała przeciw prezesowi, który ten projekt firmował własną twarzą. Wystraszył się tego, zwłaszcza że odwrócili się od niego posłowie, którzy byli z nim jeszcze w czasach Porozumienia Centrum. Grozili, że utworzą własny klub parlamentarny.

I akurat to była w dużej mierze ta sama grupa, która walczyła o ograniczenie prawa do aborcji. Zaprosił ich na Nowogrodzką i obiecał, że da Przyłębskiej zielone światło, by sprawę odmrozić. Bo przecież skarga do TK w tej sprawie leżała tam od dłuższego czasu.

Poseł: – Nie chciałbym tutaj wchodzić w jakąś głębszą dyskusję, ale to orzeczenie jest kontynuacją linii werdyktu Trybunału kierowanego przez Andrzeja Zolla w 1997 roku. Wtedy Trybunał zakazał aborcji ze względu na trudną sytuację życiową kobiety. Z punktu widzenia prawnego wyrok z 2020 roku nie powinien być zaskoczeniem. Niestety w ciągu ponad dwudziestu lat myślenie ludzi się zmieniło. Coś, co kiedyś nie wzbudzało aż tak dużych emocji, dziś wywołuje wojnę. I nie jest przypadkiem, że po tej całej awanturze nie wróciliśmy już do poziomu poparcia rządu czterdzieści procent.

Znajomy prezesa PiS: – Jarosław nie lubi na ten temat rozmawiać. Uważa, że to nie była jego odpowiedzialność. A może tylko tak mówi... Poszedłem na spotkanie z nim kilka tygodni po kulminacji protestów. Było mi na początku niezręcznie, ale w końcu wziąłem się na odwagę i spytałem: „Jarek, naprawdę nie dało się uniknąć tej całej wojny? Po co to ruszałeś?”. On tylko rzucił wzburzony: „A ty myślisz, że to ja?”. Uciął temat i już do niego nie wracaliśmy.

Bywalec Nowogrodzkiej: – Jarosław osobiście nic nie ma do osób LGBT. Pan myśli, że u nas nie ma homoseksualistów?

Kamil Dziubka: – Oczywiście, że są. Jak w każdym środowisku.

Bywalec Nowogrodzkiej: – Proszę pana... Mieliśmy ministrów gejów, nawet i bardzo ważnych. Mamy wiceministrów, ambasadorów, doradców. Oni się z tym nie afiszują, ale nikt ich nie krzywdzi ani nie sekuje.

Kamil Dziubka: – I dobrze się czują w takiej partii?

Bywalec Nowogrodzkiej: – Widocznie dobrze, skoro nadal tu są. Zresztą większość dziennikarzy popełnia ten sam błąd. Nam nie chodzi o orientację seksualną, tylko o nurt w polityce wykreowany przez ludzi, którzy na sztandary wzięli właśnie tę sferę tylko po to, by osiągać cele polityczne.

Kamil Dziubka: – Czy legalne związki partnerskie osób tej samej płci to postulat polityczny, czy może jednak dążenie do usankcjonowania prawnego

tego, co i tak istnieje?

Bywalec Nowogrodzkiej: – Gdyby tylko o to chodziło... Spełnienie jednego postulatu pociąga za sobą kolejne. Tak to niestety działa. My wiemy, że większość Polaków tego po prostu nie zaakceptuje.

Kamil Dziubka: – Badania w sprawie związków partnerskich mówią co innego.

Bywalec Nowogrodzkiej: – Różne badania różnie mówią.

PR-owiec: – Kaczyński zaczął poruszać temat LGBT już w kampanii parlamentarnej w 2015 roku. Dzisiaj o tym mało kto pamięta, ale tak było, tylko prawie nikt nie zwrócił na to uwagi, bo wtedy tematem numer jeden byli uchodźcy. PiS powtórzył manewr z uchodźcami w kampanii samorządowej w 2018 roku. Trzymanie się tego tematu proponował wówczas profesor Waldemar Paruch, który był szefem doradców strategicznych Mateusza Morawieckiego. Premier był sceptyczny, ale Paruch go przekonał, że warto zbudować wokół tego część kampanii. Tymczasem badania mówiły o tym, że to już nie żarło. Potrzebny był nowy motyw i ten pojawił się chwilę później jako odpowiedź na warszawską deklarację LGBT Rafała Trzaskowskiego. I to dało PiS zwycięstwo w wyborach europejskich, które odbyły się w 2019 roku. Ten temat wciąż jest aktualny i w elektoracie PiS wzbudza emocje. I nadal może dać prawicy punkty w twardym elektoracie. W przeciwieństwie do tematu aborcji. To był koszmarny błąd Kaczyńskiego.

Znajomy prezesa PiS: – Jarosław kiedyś nie był kościółkowy. On jako młody człowiek rzadko chodził na mszę. Lech podobnie. To się zaczęło wyraźnie zmieniać w połowie lat dziewięćdziesiątych. Taką ważną cezurą był na pewno Smoleńsk. Inna sprawa, że on to traktuje trochę instrumentalnie. Nie podważam jego osobistej wiary, natomiast on wie, że opłaca mu się uderzać w tony bogoojczyźniane. Zaczął się też częściej spotykać z duchownymi. W trakcie podróży po kraju lokalni działacze regularnie organizowali spotkanie a to z biskupem, a to z proboszczem. Nigdy nie odmawiał.

Bywalec Nowogrodzkiej: – Jarosław zmienił swoje podejście do tych spraw po śmierci brata. Nurt narodowo-katolicki w Kościele był Lechowi najzwyczajniej w świecie obcy. Nie chciał mieć z tym nic wspólnego i do jego śmierci PiS było pod tym względem kontynuacją Porozumienia Centrum.

Nie to, że kwestionowaliśmy wartości chrześcijańskie, wręcz przeciwnie, ale nie była to linia ZChN, zwalczana aktywnie przez Jarosława. On zresztą kiedyś powiedział, że najkrótsza droga do dechrystianizacji Polski prowadzi właśnie przez ZChN. Jednak w ostatnich latach prezes zrozumiał, że bez tej narodowo-katolickiej odnogi nie zbuduje formacji, która będzie rządziła Polską.

Minister: – Kaczyński miał pewien kompleks na punkcie stosunku Episkopatu do samego siebie i on nie miał nigdy zażyłych kontaktów z nikim spośród biskupów. Z czasem biskupem, do którego się nieco zbliżył, stał się abp Marek Jędraszewski.

Kamil Dziubka: – Spotykali się?

Minister: – Takie spotkania zdarzały się z okazji miesięcznic pogrzebu Lecha i Marii Kaczyńskich. Prezes praktycznie co miesiąc zjawia się w Krakowie i składa kwiaty na grobie brata na Wawelu. Jadał z Jędraszewskim kolacje.

Senator: – Nas popierają głównie proboszczowie, a nie biskupi. Biskupi w większości są raczej zdystansowani. Wiem, że w świadomości ludzkiej widać i słyszeć tylko tych, którzy się wypowiadają wspierająco wobec nas, ale to jest garstka.

Poseł: – Jest dla nas jasne, że trzeba dobrze żyć z biskupem diecezji, z proboszczem, podsypać mu kaskę. Oczywiście to musiało też działać w drugą stronę. Oczekiwaliśmy pewnej lojalności. Na spotkaniach wewnętrznych się mówiło: „Ten biskup jest życzliwy, bo powiesił tablicę smoleńską w katedrze, a ten nie”. Kryterium oceny księży u nas stało się nie to, czy są dobrymi duszpasterzami, ale to, czy ładnie wyeksponowali tablicę smoleńską. Wielu księży w to poszło. Mówię to z bólem, bo to będzie pokutować jeszcze długo po tym, kiedy stracimy władzę. Kościół się skleił z PiS.

Minister: – Zgodnie z wizją prezesa Kościół powinien być narodowy, czyli państwowy. Racją stanu dla Kościoła powinno być to, by PiS rządziło, a racją stanu dla PiS jest to, żeby Kościół popierał takie państwo, w którym PiS rządzi. Kościół ma się zajmować duszyczkami, wiernymi, mówić o moralności, ale my będziemy pilnować, żeby Kościół tutaj po prostu nie zbłądził. I taka ma być jego rola. Na tym ma polegać autonomia tej instytucji

według Jarosława. Wynikiem wprowadzania tej wizji w życie jest sojusz tronu z ołtarzem.

Tron dla Julii

Poseł: – Wie pan, że Jarosław dał zielone światło, żeby wstawić do Trybunału na sędziego twardego alkoholika? Takiego już w zaawansowanym uzależnieniu, ale trzymającego fason, kiedy trzeba. I prezes wiedział, że ten gość ma problem. Wtedy pierwszy raz pomyślałem sobie: „Co my robimy?”. A chodzi o to, że po prostu kimś takim łatwo sterować.

Minister: – Mogę z ręką na sercu powiedzieć, że Kaczyński przed wyborami w 2015 roku w ogóle o Trybunale nie wspominał. Nie było to przedmiotem rozmów, a byłem świadkiem wielu spotkań na najwyższym szczeblu. Nie miał jasnego planu. Podjął decyzję o ataku na Trybunał dopiero wtedy, jak okazało się, że mamy samodzielną większość.

Poseł: – Gdyby nie akcja Platformy z wyborem sędziów na zapas, nie mielibyśmy punktu zaczepienia. Myśmy zresztą przed wyborami w 2015 roku zaskarżyli tę ustawę Platformy do Trybunału kierowanego przez Rzeplińskiego. A potem wyszły jaja. Kiedy się okazało, że mamy samodzielną większość, prezes kazał wycofać skargę, bo mogliśmy już to załatwić własnymi rękami. Tymczasem wtedy swoją skargę na własną ustawę złożyła Platforma.

Członek władz PiS: – Jarosław nie lubi się z Andrzejem Rzeplińskim jeszcze od czasów studiów. Miał niezły ubaw, jak tamten się kompletnie pogubił. Na przykład wtedy, gdy Trybunał wydał zabezpieczenie przed rozstrzygnięciem wniosku o stwierdzenie, czy ustawa jest zgodna z konstytucją, czy nie. Chcieli związać Sejmowi ręce. Zapomnieli, że TK już kilka razy wcześniej stwierdził, że takich zabezpieczeń wydawać nie można.

Członek władz PiS: – Ta ustawa Platformy to był skok na kasę ze strony tego starego Trybunału. Rzepliński poszedł do Bronisława Komorowskiego i przyniósł z pałacu nowelizację ustawy o TK, która gwarantowała sędziom Trybunału takie same bonusy finansowe, jakie mają sędziowie sądów powszechnych czy Sądu Najwyższego. Na przykład prawo do mieszkania, jak ktoś nie ma. Chcieli też mieć odprawę, choć odchodzili tylko w stan spoczynku, więc i tak dostawali pieniądze co miesiąc. No ale w Sądzie

Najwyższym odprawy były. Dlaczego Małgorzata Gersdorf nie chciała już być sędzią SN, choć po wygaśnięciu kadencji prezesa dalej mogła orzekać? Między innymi dlatego, że wiedziała, iż jak odejdzie od razu, dostanie odprawę wyliczaną na bazie pensji prezesa, a nie zwykłego sędziego. A to różnica.

Poseł: – Kaczyński powiedział, że jak nie zapewnimy sobie możliwości wyboru kolejnego prezesa Trybunału Konstytucyjnego, to nam Rzepliński usunie Dudę z Pałacu Prezydenckiego, a potem zablokuje 500 plus. Z tym Dudą to trochę kosmos, bo Trybunał może coś zrobić na wniosek marszałka Sejmu, a przecież marszałka myśmy wyznaczali. Prezes uzasadniał jednak, że „tamci” takie interpretacje wymyślą, że tak się stanie. Powiem szczerze, że ja wtedy w to absolutnie nie wierzyłem, ale większość kolegów z klubu w to poszła. Ja też nie będę udawał, że nie głosowałem za tymi wszystkimi rzeczami, które Nowogrodzka przysyłała. Głosowałem jak wszyscy. Nikt się nie chciał wychylać. To był taki blitzkrieg, że ludzie się czuli wypompowani jak po siłowni.

Doświadczony parlamentarzysta: – Z punktu widzenia posłów to był straszny czas. Sam początek kadencji, my przyzwyczajeni do posiedzeń co dwa tygodnie, a tu trzeba siedzieć od poniedziałku do piątku i po niedzieli znowu powrót do Warszawy. Głosowania do pierwszej, drugiej w nocy. Komisje do rana. Podszedł raz do mnie świeżo upieczony poseł i pyta: „Kurwa, to tak wygląda zawsze?”. I ciągnęła presja. Zdarzało się też, że przed głosowaniami dziewczyny z sekretariatu klubu miały listę posłów i obdzwaniały każdego. Siedziało sześć sekretarek i każda kilkadziesiąt telefonów musiała wykonać. Sprawdzały, czy będziemy. Normalnie jest tak, że dostaje się SMS i wiadomo, że trzeba iść.

Poseł: – Pamiętam taką rozmowę z Adamem Bielanem chwilę po wyborach. A on był już wtedy wicemarszałkiem Senatu. I mówił, że są dwie koncepcje, co zrobić z Trybunałem. Jedna łagodniejsza, druga taka na ostro i że prezes jeszcze nie podjął decyzji.

Członek władz PiS: – Jarosław chciał przejąć Trybunał, tylko bez pretekstu w postaci ruchu Platformy z nadmiarowymi sędziami byłoby ciężiej, bo musiałyby czekać, aż wygasną kadencje kolejnych sędziów. Latami starzy członkowie TK mieliby większość. Bo było tak. PO wybrała jesienią 2015 roku pięciu sędziów. Już po wyborach i po wybuchu afery wiedzieli, że dwóch nie

utrzymają, ale byli pewni, że pozostałej trójki nie ruszymy. A Kaczyński postanowił odpalić bombę.

Poseł: – Dostaliśmy SMS z klubu, że mamy być w gotowości, bo niedługo ważne głosowanie. Chwilę później się okazało, że chodzi o skasowanie wyboru tamtych nadmiarowych sędziów.

Kamil Dziubka: – Pan nie miał wątpliwości?

Poseł: – Nie jestem prawnikiem, a prezes jest przecież doktorem prawa. I prezydent Duda tak samo.

Kamil Dziubka: – Podobno on sam miał wątpliwości.

Poseł: – Tego nie wiem, ale panie redaktorze, no czyż Platforma nie poszła na rympał w tej sprawie? Na cholerę im to było? Chcieli się udławić tymi sędziami?

Współpracownik prezesa PiS: – Jarosław nie chciał czekać. Bał się, że Duda zostanie przekonany przez swoich znajomych prawników, żeby zablokować zmiany.

Doradca prezesa PiS: – Julia Przyłębska w Trybunale to owoc kolacyjek w saloniku Anny Bieleckiej. Tak zwany salonik na Wilczej. To część nieformalnego kręgu wokół Jarosława, która ma istotny wpływ na kształtowanie polityki personalnej. Anna Bielecka to była żona „Sławka”, czyli Czesława Bieleckiego, naszego dawnego kandydata na prezydenta Warszawy. Ludzie nie zdają sobie sprawy, jak to jest istotne ciało doradcze. Jeżeli w saloniku prezes usłyszał, że dana osoba nie wzbudza zaufania, nie jest godna sprawowania danej funkcji, to szybko wokół niej robiła się pustka i traciła stołek. A salonik tworzą osoby, które często nie ponoszą żadnej odpowiedzialności, bo nie są politykami. Bielecka jest architektem. Zapewnia Jarosławowi możliwość rozmowy z kimś bardziej wyrafinowanym niż Marek Suski czy Krzysztof Sobolewski. Być może dlatego prezes ma do tych osób zaufanie, zakładając, że one są jakby bezinteresowne, bo nie biorą udziału w bieżącej polityce. Ale do końca to tak nie jest. Przyłębskich przyprowadził do Bieleckiej profesor Krasnodębski, który znał Julię i Andrzeja z Niemiec, kiedy tamci byli na placówce, a on wykładał na uniwersytecie w Bremie. Podobno potem się stosunki między Bielecką a Julią nieco ochłodziły, bo Przyłębska sama zaczęła organizować posiedzenia.

Czysta zazdrość o to, kto lepiej gotuje. Odbywały się w mieszkaniu na Szucha naprzeciwko Trybunału, które jej wynajmują, żeby za daleko nie miała. I tam przyjeżdżał sam Jarosław, potem dołączył jeszcze Morawiecki. Przyłębska się idealnie nadawała. No bo z jednej strony jednak sędzia, z drugiej kopana przez swoje środowisko.

Kamil Dziubka: – Po prostu była słabą sędzią.

Doradca prezesa PiS: – No jakieś dokumenty na to są rzekomo. W każdym razie nie lubiła się z tymi elitami sędziowskimi. Prezes sobie doskonale z tego zdawał sprawę. Problem się zaczął, jak reszta naszych sędziów w Trybunale, zwłaszcza tych z ambicjami, zorientowała się, że Przyłębska po prostu się do tego nie nadaje.

Radny: – Była kiedyś taka impreza w filharmonii w Warszawie. To było chyba wręczenie jakichś nagród „Gazety Polskiej”. Gala się odbyła, potem nastąpiła część nieoficjalna. Wiadomo, jedzenie, picie. Wchodzę na salę, a tam ludzie usadzeni przy okrągłych stołach. Patrzę, przy jednym siedzą: Kaczyński, Suski, Przyłębska, Rachoń, Klarenbach. Czyli szef partii, giermek, najważniejsza sędzia i dwóch dziennikarzy. Proszę pana, ja jestem pisowiec i prosty chłop, ale cyce mi wtedy opadły. A to było jeszcze przed tym programem, w którym prezes powiedział, że Przyłębska to jest jego odkrycie towarzyskie.

Poseł: – Ludzie nie rozumieją, czemu Jarosław ujawnił tę prywatną znajomość z Przyłębską. A ja rozumiem. Zrobił to, bo może. I chciał to pokazać. Chciał dać do zrozumienia, że kręci Trybunałem i nikt nie może mu nic zrobić.

Poseł: – Niezapomniane chwile, jak robiliśmy ten Trybunał. No i nieśmiertelny duecik Piotrowicz – Pawłowicz. On akurat nie jest ekspertem od prawa konstytucyjnego. Miał tylko przepchnąć to przez komisję sprawiedliwości. Choć siłą rzeczy stał się twarzą tej sprawy. Prezes oczywiście doskonale wiedział, że w PRL Piotrowicz należał do partii, ale Jarosław mówił, że jako kara wystarczy mu to, że się Staszek tego wstydzi.

Kamil Dziubka: – A wstydzi się?

Poseł: – Wie pan, jak ktoś za komuny dostawał ordery i dobrze się miał w prokuraturze, a dziś klęka pod krzyżem i woła z mównicy sejmowej „precz

z komuną”, to czy taki ktoś ma w ogóle odrobinę wstydu?

Kamil Dziubka: – A powiedział mu pan o tym wprost?

Poseł: – No nie... Proszę pana, jestem zwykłym posłem. Mam iść na Nowogrodzką i mówić prezesowi o tym, co on sam dobrze wie? Widocznie mu był potrzebny. Ja z Piotrowiczem nie rozmawiam, nie szanuję go, ale co ja mogę. Kiedyś jeden z kolegów półgębkiem nadawał Eli Witek na Piotrowicza, jak już była marszałkiem Sejmu. Tylko się wkurzyła i powiedziała, że jak się kogoś ciągle obrzuca błotem, to się zawsze trochę błota do niego przyklei. I to są tego typu rozmowy.

Radny: – Pamiętam, że chwilę po tym, jak wyszło, że on był prokuratorem w PRL-u, że dostał jakieś odznaczenie w połowie lat osiemdziesiątych, odbywał się marsz w rocznicę wprowadzenia stanu wojennego. Nieśliśmy tam baner z napisem „13 grudnia – pamiętamy”. I tak było, że zazwyczaj z tym banerem szła młodzieżówka, a potem prezes i wierchuszka. Ja patrzę, a tam Piotrowicz w rzędzie z innymi ten baner trzyma. No muszę przyznać, że wstydu to on nie miał. Ale Jarosław kiedyś powiedział, że Stachu niczego złego nie zrobił, „a nawet pomagał”. A potem poszła plotka, że prezes go szykuje nawet na ministra sprawiedliwości, co się potem oczywiście nie zrealizowało.

Prawnik związany z PiS: – Dlaczego do tej misji został wybrany Piotrowicz? To musiał być człowiek na tyle skompromitowany i ze skazą, który doskonale wie, że to, co ma, zawdzięcza prezesowi, i się nie zawaha. Prezes akurat jeżeli chodzi o dobór ludzi czasami nie ma dobrej ręki, w sensie czasami ci ludzie są bierni itd., ale w takich sytuacjach wie, kogo dobrać do mokrej roboty. Piotrowiczowi nawet nie trzeba mówić, że on nie ma gdzie pójść, bo on o tym wie.

Bywalec Nowogrodzkiej: – Pawłowicz dostała propozycję zostania sędzią Trybunału Konstytucyjnego jeszcze przed wyborami parlamentarnymi w 2015 roku. Odmówiła, choć prezes uważał, że lepiej się sprawdzi w Trybunale. Chyba czuł, że z Kryską w Sejmie łatwo nie będzie. Co ciekawe, studenci chwalą ją bardzo za dobrze prowadzone zajęcia. Bo w ogóle ona jest pełna sprzeczności. Trochę jak doktor Jekyll i mister Hyde.

Poseł: – Jak prezes wystawił Piotra Glińskiego na premiera technicznego, było spotkanie posłów PiS z „Gliną”. Ten zaczął coś mówić o społeczeństwie

obywatelskim. Jak taki stary socjolog z przeszłością w Unii Wolności mówił, że trzeba szukać tego, co łączy, a nie dzieli. Nic kontrowersyjnego. Stoimy pod salą i nagle wybiega Pawłowicz. Krzyczy: „Co to jest za lewactwo? Ja za nim nie zagłosuję!”. A to było kilka dni przed głosowaniem. Ona ma jakieś problemy osobowościowe. Szukam słów, żeby nie powiedzieć wariatka, ale to do tego się sprowadza. Gdybym miał to ładniej ująć, to powiedziałbym, że to osoba z deficytami emocjonalnymi. Inna historia. Posiedzenie komisji sprawiedliwości. Trwają głosowania. Obok Pawłowicz siedzi poseł opozycji i głosuje oczywiście inaczej niż my. Ona co chwilę do niego rzuca: „Źle głosujesz”. I tak w każdym głosowaniu. Przez chwilę było to śmieszne, ale ona tak przez piętnaście minut mu docinała: „Źle. Nie będzie obiadu. A mielone dziś są”. I na końcu już nie było wiadomo, czy to są żarty, czy nie.

Bywalec Nowogrodzkiej: – Ona moim zdaniem przede wszystkim nie rozumiała polityki, nie rozumiała partii. A rościła sobie do czegoś prawo. Nie rozumiała pewnych mechanizmów, którymi się rządzi ugrupowanie, wchodziła z butami w pewne sprawy. Niestety też to staropanieństwo z niej wychodziło.

Kamil Dziubka: – Wiele osób, które znają ją z mediów, uważa, że ona wymyśliła ten swój wizerunek i wiele w tym jest gry.

Bywalec Nowogrodzkiej: – Nie, ona taka jest. Przy czym trzeba jasno powiedzieć, że jest głęboko nieszczęśliwą osobą. Nie mówię tego po to, żeby ją usprawiedliwić, tylko stwierdzam fakt.

Członek władz PiS: – Pawłowicz się dzisiaj zachowuje skandalicznie jako sędzia. Te wpisy na Twitterze są straszne. Ja tego nie akceptuję. Jarosław nie ma Twittera, ale mu tam czasem podrzucają co smaczniejsze kąski. Kiedyś się jeszcze z tego śmiał pod nosem, a teraz już mu się nie chce.

Poseł: – Prezes odetchnął, jak wreszcie wysłał ją do Trybunału. A Piotrowicz też już zrobił swoje. Zresztą on się po tej gorącej kadencji po 2015 roku nawet nie dostał do Sejmu ze swojego okręgu. To nie jest przypadek. Skarżył się kiedyś, że ludzie w metrze w Warszawie na niego plują. A tu się okazało, że nawet nasz podkarpacki lud pisowski kopnął go w dupę. Ja to się Dudzie nie dziwię, że jak odbierał od niego i Pawłowicz ślubowanie sędziowskie, to zakazał udostępniania gdziekolwiek zdjęć z tej uroczystości.

Były doradca prezesa PiS: – Ja wiem, że wy wszyscy macie Jarosława za genialnego stratega, ale niech pan zobaczy... Kaczyński przejął pełną kontrolę nad Trybunałem. Ma tam wyłącznie ludzi, którzy zostali wybrani przez jego posłów. Płaci za to cenę w Europie do dziś. I co? Wszyscy się tam pokłócili ze sobą. A teraz jeszcze na dodatek się kłóć z Kaczyńskim, bo żądają od niego, żeby za lojalność płacił jeszcze więcej. Genialna strategia?

Piątka dla zwierząt

Poseł: – Kaczyński wiedział, że Onet przygotowuje materiał o męczeniu zwierząt futerkowych, bo mu powiedział o tym Czabański, który sam wystąpił w tym materiale. A Czaban ma do zwierząt takie samo podejście jak Kaczyński, czyli bardzo radykalne, wręcz lewackie. On kiedyś interweniował w sprawie konkretnego stada krów, które miało być zgodnie z prawem wybite, bo kilka lat żyło bez jakiegokolwiek opieki. Prezes wezwał do siebie ministra rolnictwa i rozkazał mu załatwić tę sprawę pod groźbą dymisji. Zresztą już wcześniej Kaczyński próbował naciskać na nas przy okazji prac między innymi nad ustawą utrudniającą polowania. Dał nawet twarz kampanii sprzeciwiającej się przemysłowi futrzarskiemu. A jak w 2018 roku pojawił się w Sejmie pierwszy projekt w tej sprawie, to wtedy prezes musiał się wycofać, bo okoniem stanął ojciec Rydzyk. Ci futrzarze rzucili w Toruniu na tacę i Radio Maryja wytoczyło działa. Dwa lata później prezes pomyślał, że jest dobra okazja, żeby raz na zawsze załatwić ten temat i zakazać hodowli zwierząt futerkowych, uboju rytualnego. Było chwilę po wyborach prezydenckich, do tych parlamentarnych daleko, więc moment był idealny. Tak się wydawało.

Doświadczony parlamentarzysta: – Nacisk był przeogromny. Kaczyński napisał specjalny list do tych parlamentarzystów, którzy otwarcie się temu sprzeciwiali. On się straszliwie zirytował, bo to był jeden z nielicznych projektów, które osobiście firmował swoją twarzą, a i tak nie był w stanie przeforsować swojego zdania. Nowogrodzka zresztą posunęła się w co najmniej jednym przypadku do szantażu. Żona jednego z senatorów pracowała w spółce państwowej i została wezwana do szefa. Ten jej powiedział wprost, że jeżeli jej mąż nie zmądrzeje i nie poprze ustawy, to ona straci pracę. A ta rodzina była w niełatwej sytuacji osobistej i materialnej.

Poseł: – Próbowaliśmy prezesowi to tłumaczyć biznesowo, ale on podszedł do tej sprawy ideologicznie. A prawda jest taka, że polskie mięso bardzo powoli zdobywało sobie izraelski rynek i to nie jest tak, że można stamtąd wyjść, kiedy się chce, i kiedyś wrócić. W Izraelu sprawa bezpieczeństwa żywnościowego ma charakter po prostu racji stanu. To wszystko jest bardzo szczegółowo badane, certyfikowane. Polskie firmy zdobywały ten rynek, zaufanie, okazywały się wiarygodnym partnerem.

Senator: – Została urażona godność rolnika, ponieważ uznano, że właściwie produkcja zwierzęca de facto jest niemoralna z samej zasady i każdy, kto w jakikolwiek sposób się tym zajmuje, jest złym człowiekiem. Prezes wprost powiedział: „Każdy dobry człowiek powinien to poprzeć”. Pamiętam jak na posiedzenie komisji w Senacie przyszedł rabin Schudrich. Dla Żydów to był ważny temat, bo dotyczył również produkcji koshernej żywności. Powiedział coś takiego: „Jestem temu przeciwny, ale widocznie nie jestem dobrym człowiekiem”. To na ludziach zrobiło ogromne wrażenie.

Poseł: – Solidarna Polska powiedziała od razu, że będą przeciw. Gowin również zapowiedział, że nie poprą ustawy. Kaczyński próbował ich za wszelką cenę złamać w tej sprawie. Używał do tego wszelkich dostępnych metod. Nowogrodzka uruchamiała wszelkie możliwe kontakty. Jak jeden zaczął się otwarcie buntować, to do niego jakiś znajomy, wierny wyborca prawicy napisał: „Po tobie się tego, mój drogi, nie spodziewałem. Taka zdrada, taka zdrada. Ale dobry Bóg widzi to wszystko”.

Minister: – Jarosław podchodził do tej sprawy niezwykle pryncypialnie i naprawdę niewiele brakowało, żeby koalicja rozbiła się o tę ustawę. On to stawiał na ostrzu noża. Był gotów zgodzić się na pęknięcie w klubie, byle tylko to przeszło.

Poseł: – To się zaczęło zamieniać w kabaret, bo niektóre wielkie firmy produkujące żywność zaczęły sobie wyrąbywać własne ścieżki do rządu i załatwiać odstępstwa od tych przepisów, jak wielki producent drobiu z Ciechanowa, świetnie znający Morawieckiego. Mateusz bardzo często przyjeżdżał do tej firmy jeszcze jako wicepremier. Tamci go zapraszali na obiady. Na pewno mają bliskie relacje, bo kiedyś prezes tej firmy w imieniu Morawieckiego dzwonił do ludzi od Kukiza, jak nam brakowało większości do przegłosowania jakichś ustaw. Ta firma często się reklamowała w gazecie, którą do śmierci wydawał Kornel Morawiecki.

Wiceminister: – Piątka przeszła w Sejmie dzięki głosom części opozycji, ale Kaczyński wtedy zobaczył, że wierzgnęli mu tacy ludzie, jak Henryk Kowalczyk czy Ardanowski, dlatego nie mógł z tym dalej iść. Musiał się z tego wycofać. Przecież wszyscy ci ludzie, którzy zostali wtedy zawieszani w prawach członka klubu, potem wrócili. Ta sprawa pokazała, że można mieć odmienne zdanie od prezesa, jeśli się działa grupowo i jeżeli się przystawia Kaczyńskiemu odbezpieczoną broń do skroni.

Poseł: – Pewnie dlatego Ziobro postanowił szarżować dalej. Zobaczył, że można w Morawieckiego uderzyć sprawami unijnymi.

Wicepremier Kaczyński

Urzędnik: – Efektem zadymy rządowo-koalicyjnej było wejście Kaczyńskiego do rządu na wicepremiera do spraw bezpieczeństwa. W praktyce kierowanie partią przeniosło się z Nowogrodzkiej do Kancelarii Premiera, gdzie prezes zaczął urzędować. Zjawiał się tam najczęściej około godziny jedenastej. Przed jego gabinetem, położonym w części, którą nazywamy „akwarium”, zwykle już czekał Zbigniew Hoffmann, sekretarz komitetu bezpieczeństwa, którym formalnie kierował Kaczyński. To był zresztą dość żałosny widok. On czekał nawet nie w sekretariacie, tylko na takiej ławeczce przed drzwiami sekretariatu. Czasami potrafił czekać nawet i godzinę. Bardzo często bywał u prezesa Jacek Sasin. Co ciekawe, przychodził dość często również Łukasz Szumowski, który już wtedy nie był ministrem. Ochrona prezesa, czyli chłopaki z GROM Group mieli swój osobny pokój z telewizorem naprzeciwko gabinetu Kaczyńskiego. Prezes na biurku miał komputer, którego chyba nigdy nawet nie włączył, a także stos gazet. Chyba wszystkie możliwe tam leżały.

Kamil Dziubka: – Podobno nie chadzał do kancelaryjnej jadłodajni?

Urzędnik: – Tak, przynosili mu jedzenie, ale w KPRM to norma. Do poszczególnych gabinetów pracownicy przynoszą ważniejszym urzędnikom menu na dany dzień, z którego ci wybierają, co chcą jeść. Tamci dzwonią albo przez swoje sekretarki składają zamówienie i po kilkunastu minutach jedzenie ląduje na biurku.

Wiceminister: – To premier przychodził do gabinetu prezesa, nie odwrotnie. Ale to chyba pana nie dziwi? Trudno, żeby starszy człowiek

fatygował się do faceta w sile wieku.

Kamil Dziubka: – Trudno, żeby lider partii fatygował się do podwładnego.

Wiceminister: – Jak prezes siedział na Nowogrodzkiej, to przecież do niego premier przyjeżdżał. Nic się nie zmieniło pod tym względem.

Minister: – Kiedy Jarosław Kaczyński był w rządzie, posiedzenia odbywały się często zdalnie, bo to był jeszcze czas pandemii. Wszyscy ministrowie siedzieli w swoich ministerstwach, ewentualnie w swoich gabinetach w KPRM, a Kaczyński łączył się, siedząc zawsze w towarzystwie Morawieckiego. Dało się wyczuć, że obaj starali się unikać kłopotliwych sytuacji. Kaczyński dość rzadko zabierał głos. Jeśli miał inne zdanie niż premier, zgłaszał to w formie wątpliwości. Wtedy Morawiecki natychmiast zdejmował dany projekt z porządku posiedzenia albo po prostu przyjmował opinię prezesa jako przesądzającą. Nie pamiętam polemik między nimi. Natomiast przypominam sobie dyskusję na temat likwidacji urzędu rzecznika finansowego. Premier spierał się o to z Ziobro. Człowiek, który wtedy pełnił tę funkcję, ewidentnie znalazł dojście do Ministerstwa Sprawiedliwości i Ziobro zaczął go bronić. Zwłaszcza że kompetencje tego urzędu miały być przeniesione do UOKiK, a więc pod bezpośrednią kuratelę premiera. Wydawało się, że sprawa jest przesądzona. W pewnym momencie Ziobro oddał głos swojemu zastępcy, Marcinowi Warchołowi. Ten wygłosił bardzo profesjonalną, merytoryczną mowę, argumentując, że rzecznik finansowy musi zostać. Mimo to Morawiecki dalej parł do przeforsowania projektu. Nagle głos zabrał Kaczyński. Powiedział, że argumenty Warchoła są na tyle poważne, że sprawę trzeba jeszcze raz przemyśleć. Morawiecki był skonsternowany, ale natychmiast zdjął ten punkt z porządku obrad. Sprawa nigdy już nie wróciła na posiedzenie rządu.

Kamil Dziubka: – To świadczy na pewno o jednym. Mianowicie o tym, że Ziobro zaczął bywać na posiedzeniach rządu, bo podobno bardzo długo ignorował Morawieckiego i nie pojawiał się w Kancelarii Premiera.

Minister: – Jest w tym sporo prawdy. Rzeczywiście wcześniej często było tak, że Ziobro wysyłał na radę ministrów swoich zastępców. Jednak to wynikało też z tego, że jego obecność najczęściej w ogóle nie była konieczna. Decyzje w najważniejszych sprawach zapadały bowiem na naradach w wąskim gronie przed posiedzeniami. Ziobro spotykał się wtedy

z Morawieckim, Kaczyńskim i Gowinem. Ustalali stanowisko w kluczowych kwestiach, a Rada Ministrów tylko formalnie to akceptowała.

Urzędnik: – Pod koniec zasiadania w rządzie Kaczyński coraz rzadziej bywał w Kancelarii Premiera. Często już nawet nie przychodził na posiedzenia rządu. Chyba z ulgą wrócił na Nowogrodzką.

Z powrotem w rządzie

Minister: – Jak prezes był w rządzie pierwszy raz, to się w środku trochę uspokoiło. A teraz czuję, że wrócił po to, żeby właśnie spokojnie nie było. Mówię panu, będzie ostro.

Poseł: – Prezes jeszcze jak był w szpitalu po drugiej operacji kolana, miał poczucie, że wszystko rozłązi się w szwach. Szlag go trafiał, jak dochodziły do niego informacje, co Sasin i jego ludzie zrobili w PKO BP. Wysłał tam młodych junaków, którzy się rzucili na kasę. Od razu donosy zaczęły iść na Nowogrodzką. Jarosław znowu musiał wziąć do ręki miotłę. Potem była ta historia z ruską rakietą, która spadła w lasach pod Bydgoszczą. Morawiecki zaczął zwalać winę na Błaszczaka. Chwilę wcześniej afera ze zbożem z Ukrainy. Prezes musiał wywalić Henia Kowalczyka, który w Ministerstwie Rolnictwa zachowywał się jak dziecko we mgle.

Minister: – Prezes zauważył, że każdy koń próbuje pędzić w swoją stronę i wóz za chwilę może czekać wywrotka. Było takie posiedzenie sztabu wyborczego, którym wtedy kierował Tomek Poręba. Morawiecki go nie cierpi. Nigdy nie było chemii między nimi, ale w kampanii to się zaczęło przeradzać w otwartą wrogość. Zresztą Mateusz nie miał swoich ludzi w sztabie, więc nie miał powodu, by wspierać Porębę. Morawiecki zaczął mu wyrzucać, że wszystko jest do dupy, a sztab nie reaguje na żadne sugestie Kancelarii Premiera. Jarosław tego wszystkiego słuchał. Porębie podobno zaczęła się broda trząść. Taki był zdenerwowany.

Bywalec Nowogrodzkiej: – Poręba był jednym z bardziej zaufanych ludzi Jarosława. Europoseł, ale bardzo często siedział na Nowogrodzkiej. Czasem nawet opuszczał posiedzenia Parlamentu Europejskiego, żeby być w Polsce. Tracił przez to diety, a są niemałe. No i prezes zauważył, że on się kompletnie rozsypał. Myślał, że odgrzeje parę hasel z 2015 roku i jakoś to pójdzie. Ja ostrzegałem, że z Tuskiem łatwo nie będzie. W końcu Poręba się podał do

dymisji, ale miał szukać swojego następcy i go nie znalazł. Poszedł do prezesa i powiedział, że odchodzi. Pękł. Jarosław dostał piany, bo nie miał nikogo, kto mógłby pokierować kampanią. Dopiero po dwóch dniach spotkał się z Joachimem Brudzińskim w Krakowie. To było przy okazji mszy urodzinowej Jarosława i Lecha. Tam Achim usłyszał propozycję nie do odrzucenia. Prezes mu powiedział wtedy, że za kilka dni wróci do rządu.

Poseł: – Ta uroczystość wręczenia prezesowi kolejnej nominacji na wicepremiera wyglądała trochę jak stypa. A poza tym widać było, że Duda wykorzystał okazję, żeby upokorzyć prezesa. Najpierw mu palcem pokazywał, gdzie Kaczyński ma stanąć. Tak jakby prezes nie wiedział. A może się Duda bał, że to on będzie musiał podejść do Jarosława, a nie odwrotnie. Potem pół godziny przemawiał, wiedząc, że siedemdziesięcioletni prezes dopiero co miał operację kolana. I kazał mu tego słuchać na stojąco.

Media prezesa

Bywalec Nowogrodzkiej: – Wie pan, że kiedyś myśleliśmy o kupnie TVN24? Był taki pomysł jeszcze przed wyborami w 2015 roku. Właścicielem stacji byli wtedy Amerykanie ze Scrippsa, którzy kupili cały TVN kilkanaście miesięcy wcześniej. Mieliśmy sygnały, że byliby gotowi sprzedać kanał informacyjny, bo to było coś, co oni dostali z dobrodziejstwem inwentarza, wchodząc do Polski. A oni się skupiali głównie na rozrywce i tematyce podróżniczej. Wydawało nam się, że to może ich skłonić do rozważenia zgody na odkupienie TVN24. Nie wiem, kto o tym powiedział prezesowi, ale mieliśmy przekonanie, że z Amerykanami można się dogadać. Oni nawet się z nami spotkali w 2015 roku, ale wbrew informacjom, które się wtedy pojawiały, to była czysto kurtuazyjna rozmowa. Wchodzili na rynek i odbywali szereg takich spotkań, również z rządzącą wtedy jeszcze Platformą. Ostatecznie do żadnej transakcji nie doszło, bo się okazało, że Scripps wcale nie chciał sprzedać TVN24.

Kamil Dziubka: – I dlatego później chcieliście zmusić nowego właściciela TVN, czyli Discovery, do sprzedaży stacji?

Bywalec Nowogrodzkiej: – Wtedy nie było jasnego planu. Poza tym Amerykanie mieli różne ścieżki znalezienia się w nowej rzeczywistości prawnej. Mogliby to obejść na kilka sposobów, zresztą TVN24 uzyskał

w trakcie całej awantury holenderską koncesję na nadawanie. Discovery uruchomiło wszelkie możliwe kontakty, potrząsnęli wszystkimi dostępnymi sznurkami. Ambasada USA szalała. Dali nam do zrozumienia, że firma wykorzysta wszelkie możliwości prawne i finansowe, żeby obronić TVN. A czy ktoś mógłby przejąć udziały stacji? To na oko było co najmniej kilkanaście miliardów złotych, więc to mógłby zrobić tylko Orlen albo któryś z banków. Nikt inny. No przecież nie bracia Karnowscy.

Bywalec Nowogrodzkiej: – Karnowscy mocno trzymali kciuki za powodzenie tej operacji. Zawsze byli zwolennikami mechanicznej regulacji rynku mediów. Od lat mówili o tym prezesowi. Przekonywali go, że bez pewnych radykalnych ruchów media będą wiecznie przeciw „obozowi patriotycznemu”, bo to po prostu wynika z przewagi kapitałowej zagranicznych koncernów o nastawieniu liberalno-lewicowym. Początkowo wydawało się, że da się to załatwić ustawą, która wprowadziłaby dekoncentrację mediów według modelu francuskiego. Prezes kazał Glińskiemu się tym zająć, a ten tak się zajął, że do dziś nie ma ustawy.

Kamil Dziubka: – A skąd wpływ braci Karnowskich na prezesa?

Bywalec Nowogrodzkiej: – W dawnych czasach, jeszcze kiedy byliśmy w opozycji, przyjeżdżali z radiową ekipą na Nowogrodzką, żeby wieczorami robić wywiady z prezesem. Wieczory były najbezpieczniejsze, bo te rozmowy były emitowane rano. Była więc duża szansa, że przez noc nic wielkiego się nie wydarzy, o co trzeba byłoby zapytać. Po tych wywiadach siedzieli z prezesem jeszcze długo i rozmawiali już bardziej na luzie. To wtedy zbudowali relację z Jarosławem. Na pewno miało też znaczenie to, że są bliźniakami. Pamiętam, jak pojechaliśmy kiedyś z prezesem na Śląsk, do Jastrzębia-Zdroju. Do prezesa podszedł nasz poseł Grzegorz Matusiak, który po chwili przedstawił mu swojego brata bliźniaka. Jarosławowi od razu zaświeciły się oczy, szczerze się uśmiechnął. Tak, on innych bliźniaków traktuje w szczególny sposób. I może ten Matusiak nigdy nie będzie orłem, nie będzie odpowiedzialny za centralną kampanię wyborczą, ale Jarosław go będzie już zawsze kojarzył przez tego brata bliźniaka. Z Karnowskimi jest tak samo. Oni w pewnym momencie właściwie nie musieli długo czekać na wywiad jak inne redakcje. Zgłaszali prośbę i po dwóch, trzech dniach prezes ich zapraszał. Dzisiaj oni pełnią rolę przekaźnika woli prezesa. Jak chcesz się dowiedzieć, co się dzieje w głowie Jarosława, czytaj ich treści. Zresztą po ujawnionych mailach Dworczyka widać, że jak jest problem, to najważniejsi ludzie z obozu biegają do nich. A oni prawie wszystko przełkną. W trakcie

kryzysu związanego z nagrodami dla ministrów rządu Szydło wPolityce.pl napisało, że Kaczyński kazał Beacie pokazać pazurki w wystąpieniu sejmowym na ten temat. Później Jarosław się zorientował, że wyszło fatalnie, i właściwie wprost oskarżył Karnowskich o kłamstwo. A to któryś z braci bezpośrednio rozmawiał z prezesem, cytując później jego słowa, których ten się później wypierał. W normalnej sytuacji każde medium by się broniło wobec takich oskarżeń. A ci nic nie zrobili. Położyli uszy po sobie i cisza.

Wiceminister: – Karnowscy są cwani. Nawet jeśli PiS przegra, to oni jeszcze długo przetrwają, bo odłożyli kilka ładnych milionów. Bardzo dużo ciągną kasy od spółek i jej chyba nie przejadają tak, jak robi to Sakiewicz, który w pewnym momencie przestał płacić ludziom, a sam sobie kupił apartament w Krakowie. Ponoć mocno interesował się też nieruchomościami na południu Europy. Karnowscy sprytnie wyprowadzają też część kosztów na zewnątrz. Kilku ludzi włożyli do TVP, gdzie prowadzą programy, a telewizja im bardzo dobrze płaci. No i jednocześnie pracują u nich. Dla reszty prawicowych mediów utrata władzy przez PiS to będzie katastrofa na wielu poziomach. Kilka redakcji może nie przetrwać.

Bywalec Nowogrodzkiej: – Sakiewicz też pewnie przetrwa, ale będzie musiał zwalniać ludzi. No przecież ta Telewizja Republika bez reklam spółek państwowych od razu wpadnie pod wodę. Ich jeszcze przed 2015 rokiem ratował taki biznesmen, który jest właścicielem firmy produkującej duże wydarzenia dla różnych telewizji. Ma mnóstwo drogiego sprzętu. Włożył kilka milionów w tę Republikę, bo ma prawicowe poglądy. Zbliżył się do PiS po katastrofie smoleńskiej. Ze szczerego serca to robił. No i ponoć narzekał, że nic z tego ostatecznie nie miał. Nie chcę powiedzieć, że go oszukali, ale po prostu go zawiedli. A sami ciągną dla siebie jakieś ogromne pieniądze ze spółek. Gale organizują. Tymczasem po przejęciu władzy przez PiS Republika zaczęła ciąć ramówkę, zlikwidowała wóz transmisyjny i stała się właściwie taką osiedlową telewizją. Słyszałem, że niektórym posłom już się tam w pewnym momencie nawet nie chciało przychodzić. Odwoływali wizyty, bo dostali na przykład zaproszenie do TVP i lecieli tam.

Poseł: – Tomek Sakiewicz krytykuje prezesa tylko w bezpośrednich rozmowach z nim (śmiech). Jarosław go nie traktuje jak dziennikarza, tylko jako część obozu, więc do niego chodzi na wywiady. Do prywatnych mediów, oprócz tych prawicowych, już mu się nie chce chodzić. Kiedyś jeszcze zdarzało mu się bardzo rzadko pojechać do Rymanowskiego, jak ten był

jeszcze w TVN. No po co on ma dziś chodzić do dziennikarza, który będzie napastliwy, skoro on tego dziennikarza może sobie wybrać?

Kamil Dziubka: – A którego ceni najbardziej?

Poseł: – A to ciężko powiedzieć. Jest Raczyńska, ale ona bardziej jest po linii prywatnej, bo kiedyś się wkupiła w łaski matki Kaczyńskich. Oprócz Karnowskich, Sakiewicza jest jeszcze na pewno Wildstein, Holecka. Co ciekawe, kilka razy słyszałem, jak Jarosław chwalił Wojciecha Biedronia, tego brodatego dziennikarza od Karnowskich.

Bywalec Nowogrodzkiej: – Karnowscy i Sakiewicz ostatnio zawarli rozejm, ale oni przecież w pewnym momencie skoczyli sobie do gardeł. Poszło oczywiście o pieniądze, ale też wpływy. Zaczęło się na dobre wtedy, kiedy Czabański postanowił odwołać Kurskiego z TVP jeszcze w 2016 roku. Karnowscy, którzy bardzo dobrze żyli z Kurskim, uznali, że to efekt intrygi ludzi skupionych wokół Sakiewicza. Poszło na noże. Sakiewicz chodził do Kaczyńskiego i próbował go przekonywać, że Kurski z Karnowskimi w rzeczywistości konserwują stary układ na Woronicza, co oczywiście nie było prawdą. Po kilku miesiącach znowu się zaczęło, bo pozycja Macierewicza w rządzie zaczęła słabnąć, a za nim zawsze murem stał Sakiewicz. „Gazeta Polska” w pewnym momencie była nawet oskarżana przez część środowiska o to, że chce wysadzić z siodła Kaczyńskiego po to, by nowym szefem partii został Antoni Macierewicz.

PR-owiec: – Czy pan wie, jak się Jarosław ucieszył, kiedy mu Daniel Obajtek powiedział, że Orlen kupił gazety regionalne Polski Press i to od Niemców? Mówił, że to jedna z najwspanialszych wiadomości, jaką dostał w ciągu ostatnich lat. On sobie wbił do głowy te gazety regionalne, myśląc, że to jest niesamowita machina propagandowa. Ktoś mu dużo o tym mówił i potem na zamkniętych spotkaniach na Nowogrodzkiej wielokrotnie wracał do tego tematu. Jemu niestety nikt za bardzo nie wytłumaczył, jak zmienił się rynek mediów w ostatnim czasie. Ile rzeczy przeszło do internetu, ile gazet się zamknęło. Piętnaście lat temu Polska Press byłaby idealnym zakupem dla nas. To byłoby fajne miejsce, żeby lokować tam propagandę. Teraz ich ten papier ciągnie w dół, ale Obajtek może sobie w tak dużym biznesie, jakim jest Orlen, jakoś to kosztowo rozsmarować. Mniejsi nie byliby w stanie tego zrobić.

Menedżer: – Za tymi gazetami najpierw chodzili Karnowscy. Poszli nawet do dużego prywatnego medium z propozycją wspólnego kupna Polski Press. Mieli mieć na to kasę z jednego z państwowych banków. Projekt się wysypał między innymi dlatego, że jak dostali wyniki analizy biznesowej, to się okazało, że segment prasy w tym wydawnictwie jest warty bardzo niewiele. Tam internet jest siłą. Prawda jest taka, że Niemcy złapali Pana Boga za nogi, kiedy Obajtek przyszedł i wyłożył pieniądze, bo Polska Press to była firma w trudnej sytuacji finansowej, stojąca w obliczu restrukturyzacji. Tam trzeba było podjąć radykalne decyzje dotyczące zmniejszenia nakładu papierowych wydań gazet, bo papier idzie na dno. Niemcy uniknęli tych wszystkich problemów i oddali to za całkiem dobrą kasę.

Bywalec Nowogrodzkiej: – Na początku naszych rządów pojawił się pomysł nacjonalizacji „Rzeczypospolitej”. Potem ktoś wymyślił przejęcie częściowej kontroli nad Agorą, która wydaje „Gazetę Wyborczą”. Fundusz kontrolowany przez PZU, w którym rządzili już nasi, był wtedy jednym z największych udziałowców spółki. Pomysł nie był zły, ale ktoś zapomniał, że nie da się przejąć kontroli nad Agorą, bo tam są tak zwane złote akcje należące do starych wiarusów Michnika, które w praktyce uniemożliwiają taką operację. Ale dzięki akcjom funduszu zależnego od PZU można byłoby wprowadzić do rady nadzorczej spółki swojego człowieka. No ale wszystko się wysypało, bo fundusz sprzedał akcje Agory George’owi Sorosowi. Wybuchła afera, kilku ludzi w PZU spadło ze stołków. I tak marzenia o uderzeniu w Michnika uleciały.

Koperty

Poseł: – Dla Kaczyńskiego reelekcja Dudy w 2020 roku była na tamtym etapie wszystkim. On kilka miesięcy przed wyborami na wyjazdowym posiedzeniu klubu powiedział, że jak wygramy te wybory, to kolejne takie posiedzenie odbędzie się w wannach wypełnionych szampanem.

Kamil Dziubka: – I co? Był bal?

Poseł: – Niestety nie. Wie pan, pandemia...

Urzędnik: – Jarosław Gowin w swoim ministerstwie powołał zespół ekspercki, który doradzał w sprawie pandemii. Ekspertci przestrzegali, że wybory w normalnym trybie doprowadzą do gwałtownego spotęgowania

pandemii. Mocno sprzeciwiał się głosowaniu w takich warunkach również profesor Maksymowicz, który był wiceministrem nauki od Gowina. Jako lekarz rzucał cały swój autorytet na szalę i mówił, że ludzie będą umierać w tysiącach, że szpitale będą niewydolne i będziemy mieli stosy trumien na stadionach miejskich, nie będziemy nadążać z pozbywaniem się ciał. Ten obraz nie był całkiem oderwany od rzeczywistości, bo w tym czasie we Włoszech i w Hiszpanii można było oglądać dantejskie sceny.

Minister: – Po jednym z posiedzeń sztabu kryzysowego Morawiecki zaprosił do siebie Łukasza Szumowskiego i Jarosława Gowina. Zadał pytanie Szumowskiemu, jakie jego zdaniem będą skutki pandemii. Minister zdrowia nakreślił wtedy obraz totalnej katastrofy: dziesiątki tysięcy umierających ludzi, zapchane placówki, chorzy czekający w karetkach na miejsce w szpitalu. W gronie tych trzech osób zapadła decyzja, że nie można dopuścić do tego, żeby w takich warunkach odbywały się wybory prezydenckie. Jednak po tej naradzie Morawiecki został wezwany przez Kaczyńskiego i natychmiast zmienił zdanie. Został przywołany do porządku, a po jakichś kilkunastu dniach również Szumowski zaczął mówić w zupełnie innym tonie.

Poseł: – Wybory kopertowe wymyślił Adam Bielan. Pojechał z tym do Kaczyńskiego, który nie chciał odkładać głosowania. Bał się, że je przegramy, jeśli odbędą się w późniejszym terminie. W trakcie jednej z porad powiedział: „To mam czekać, aż nam się zawali poparcie?”. On zdawał sobie sprawę, że obostrzenia związane z pandemią i złe nastroje wśród ludzi mogą zmieść PiS. Co ciekawe, na początku był sceptyczny wobec idei przeprowadzenia głosowania kopertowego, ale z biegiem czasu coraz bardziej się do niej przekonywał. Sam pomysł nie był zły. W tym czasie wybory korespondencyjne odbywały się w Bawarii. Oczywiście skala była inna, bo tam uprawnionych do głosowania było dwa miliony ludzi. Problem stanowił czas. Ustawa ugrzęzła w parlamencie i finał byłby taki, że mielibyśmy dwa dni na dostarczenie trzydziestu milionów kart. To by się nie udało.

Wiceminister: – Morawiecki w głębi duszy był przeciwnikiem głosowania z użyciem kopert. Bał się, że kiedyś pójdzie za to siedzieć, bo podpisywał dokumenty zobowiązujące Poczta Polską do działania, choć nie miał do tego podstawy prawnej. Ale nie cofnął się. Mówił: „Rozumiem wątpliwości, ale Jarosław tego ode mnie oczekuje”. Co ciekawe, dopiero po czasie zamawiał ekspertyzy prawne, które miały dać mu dupokrytkę. A Jacek Sasin zacierał ręce i chełpił się, że niczego nie podpisał. Dlatego tak się dziś denerwuje, jak

mu media przypisują odpowiedzialność za przepalenie siedemdziesięciu milionów na wybory, które się nie odbyły. Na kluczowych papierach jest podpis Morawieckiego.

Polityk Porozumienia: – Pamiętam spotkanie w Sejmie z udziałem między innymi Morawieckiego i Kaczyńskiego. Odbywało się w gabinecie marszałek Sejmu. Drzwi pilnował od zewnątrz Marek Suski. Spytałem go, jak on sobie wyobraża przeprowadzenie wyborów kopertowych. A Suski powiedział z całkowitą pewnością w głosie: „Jak to? Wojsko z pocztą wszystko ogarnie. Spokojnie”. A ja mu na to: „Marek, ale chcesz, żeby świat zobaczył, jak wojsko z długą bronią pilnuje urn wyborczych?”. Odpowiedział: „Konstytucji pilnujemy. Wybory muszą być”.

Urzędnik: – Rozmawiałem wtedy z jednym z zastępców Jacka Sasina. Powiedział mi: „To jest wszystko związane na sznurek i gumę do żucia. Jak w tych warunkach nie wygramy w pierwszej turze, to leżymy”.

Poseł: – Gowin uważał, że przeprowadzenie głosowania w taki sposób będzie oznaczało złamanie porządku demokratycznego w Polsce i że to zepchnie kraj w przepaść. Tłumaczył, że to skomplikowana procedura, której nie da się wprowadzić w życie bez przygotowania, testów. Kaczyński był wściekły na Gowina.

Bywalec Nowogrodzkiej: – Pamiętam rozmowę, w której uczestniczyło kilka osób. Padło: „Gowin kopie sobie grób”. Wściekłość na niego Nowogrodzkiej była wyjątkowa. Wyjątkowa.

Współpracownik Jarosława Gowina: – Nowogrodzka wydzwaniała do naszych posłów i zapraszała ich na bezpośrednie rozmowy z Kaczyńskim. Jeden z kolegów po takiej rozmowie po prostu się zrzygał ze stresu. Oferta była prosta: zostajesz z PiS-em, to będziesz żył, a jak będziesz przeciwko wyborom kopertowym, nie żyjesz.

Polityk Porozumienia: – Wiedzieliśmy już wtedy, że Nowogrodzka pracuje nad niektórymi z naszych kolegów. Nie trzeba było prowadzić szeroko zakrojonego śledztwa, żeby się zorientować, o kogo chodzi. Na przykład Kamil Bortniczuk jednego dnia powiedział w radiu, że nie poprze wyborów kopertowych, a nazajutrz w telewizji już zmienił zdanie. Wtedy Gowin zwołał naradę wszystkich posłów i powiedział, że wyborów kopertowych poprzeć nie można. Bielan i Bortniczuk powiedzieli, że się nie

zgadzają z tym poglądem. Bortniczuk użył nawet takiego argumentu, że nie ma się czego bać, bo kto ma umrzeć, i tak umrze.

Były poseł Porozumienia: – To był w ogóle bardzo nerwowy czas. Dzwonili do nas rodzice, przyjaciele, wszyscy tym żyli. Dostawałem mnóstwo wiadomości o treści: „Nie rozpieprzajcie Zjednoczonej Prawicy”.

Współpracownik Jarosława Gowina: – Jeden z wiceministrów zaczął opowiadać, że mama go prosi, by nie niszczył koalicji. Nasi posłowie dostawali mnóstwo SMS-ów z jakichś bramek internetowych z podobnym apelem. Gowin poprosił Jana Strzeżka, naszego rzecznika, żeby zorganizował podobną akcję, ale z odwrotnym przekazem. Strzeżek poprosił młodzieżówkę z kraju, żeby każdy podpisał się pod SMS-em i wysłał do wszystkich naszych posłów. Jadwiga Emilewicz, która też dostała taką wiadomość, wpadła w szal. Przyjechała do biura krajowego Porozumienia i zaczęła krzyczeć: „Gdzie jest Strzeżek? Ja go zajebię! Ja go zniszczę, będzie nikim!”. Była w absolutnym szale, a ona bardzo łatwo się podpałała. Gowin, jak się o tym dowiedział, to się strasznie zaczął śmiać. Ale przyniosło to efekt.

Minister: – Gowinowcy wymyślili projekt zmiany konstytucji, który przesuwał wybory prezydenckie o dwa lata, ale jednocześnie dawał możliwość urzędowania prezydentowi tylko przez jedną, siedmioletnią kadencję. O dziwo, Kaczyński dał zielone światło. Mówił Gowinowi: „Próbuj, może ci się uda przekonać opozycję”. To nie była z jego punktu widzenia zła opcja. Przedłużała kadencję prezydenta, który i tak najważniejsze ustawy podpisywał, a z drugiej strony stawiała w trudnej sytuacji nielubianego przez niego Dudę, który nie mógłby liczyć na pełną dekadę w Pałacu Prezydenckim. Samemu Dudzie ten pomysł się z oczywistych względów nie spodobał, ale powiedział, że jeśli parlament tak zdecyduje, to przecież on i tak nie będzie miał nic do gadania. Sprawa rozbiła się jednak o opozycję, która nie chciała słyszeć o zmianie konstytucji.

Były poseł Porozumienia: – Gowin znalazł w którymś wydaniu „Rzeczpospolitej” tekst o tym, że jeśli wybory nie zostaną zorganizowane w terminie, Sąd Najwyższy będzie miał podstawę, żeby stwierdzić ich nieważność. To otworzyłoby drogę do rozpisania nowych wyborów. Kaczyński od razu kupił tę propozycję, bo klincz był już całkowity. Obawiał się jedynie tego, że Platforma zmieni Małgorzatę Kidawę-Błońską, która miała słabiutkie notowania, na innego kandydata. Ale ostatecznie nie było

innego wyjścia. Wtedy w gabinecie Terleckiego w Sejmie podpisał z Gowinem tak zwane porozumienie dwóch Jarosławów.

Minister: – Widać było, że wszystkim ulżyło. Wjechał nawet jakiś koniak. Po czym dwa dni później Gowin dostał ostrzeżenie od kogoś z Nowogrodzkiej, że Jacek Kurski pobiegł do Kaczyńskiego i prezes pod jego wpływem jednak zmienił zdanie i chce robić normalne wybory jeszcze w maju, dwa tygodnie po pierwotnym terminie. Witkowi już była umówiona na Woronicza, żeby jako marszałek Sejmu w orędziu telewizyjnym ogłosić decyzję o przesunięciu głosowania o czternaście dni. Nazajutrz odbyła się narada na Nowogrodzkiej. Przyjechał na nią Gowin i zagroził, że jeśli zostanie przeforsowany wariant, do którego przekonywał Kaczyńskiego Kurski, to Porozumienie wychodzi z koalicji. Negocjacje trwały wiele godzin. Gowin rozmawiał z Kaczyńskim, po czym ten schodził na dół do swoich najbliższych współpracowników i ustalał z nimi, co dalej. I tak kilka razy. Ostatecznie przez Glińskiego prezes przekazał, że będzie tak, jak zostało wcześniej ustalone, i wyborów w maju jednak nie będzie.

Ten od Merkelowej

Bywalec Nowogrodzkiej: – Mnie się wydaje, że prezes szczerze nienawidzi Tuska, wbrew temu, co kiedyś publicznie powiedział, jak mu w 2014 roku w Sejmie podawał rękę po wybraniu na szefa Rady Europejskiej. Jest strasznie zacięty właśnie na niego, niekoniecznie na ludzi Tuska. No bo proszę sobie wyobrazić, że Jarosław dał zielone światło, żeby nasi europosłowie zagłosowali za kandydaturą Ewy Kopacz na wiceprzewodniczącą Parlamentu Europejskiego w 2019 roku. Ileś lat po Smoleńsku, po tych wszystkich rzeczach, o które ją oskarżaliśmy. Uznał, że to można zrobić, bo to się będzie potem liczyło w jakimś parytecie dla Polski. Parę osób u nas się mocno tym zdziwiło.

Wiceminister: – Angela Merkel w lutym 2017 roku przyjechała do Warszawy z oficjalną wizytą. Przy okazji doszło w hotelu Bristol do jej spotkania z Kaczyńskim. Nie była to ich pierwsza bezpośrednia rozmowa po przejęciu przez nas władzy. W 2016 roku rozmawiali na zamku w Brandenburgii. Prezes był wtedy niedaleko, pływał po jeziorach Pomorza Zachodniego. I pojechał do Niemiec na zaproszenie pani kanclerz, choć formalnie był wtedy tylko szeregowym posłem. Dał jej w prezencie jakiś

obraz z widoczkim Elbląga, gdzie są pochowani jej pradziadkowie. No i w tym Bristolu Angela wprost spytała Jarosława, czy Polska poprze Tuska w staraniach o drugą kadencję w Brukseli. Prezes powiedział jej, że nie ma takiej możliwości. Próbowala go namawiać, tłumacząc, że tu chodzi o naturalną reelekcję. Mówiła, że jeśli nie zostanie wybrany, trzeba będzie szukać nowego kandydata, a to nie jest takie proste, bo zostało zaledwie kilka tygodni do końca kadencji szefa Rady Europejskiej. Kaczyński twardo był na nie. Podkreślał, że Tusk jest nieformalnym liderem opozycji w Polsce i nie może się na niego zgodzić. Merkel wyjechała z Warszawy i zamiast szukać nowego kandydata, zaczęła nakręcać kampanię na rzecz Tuska. Kaczyński jej tego nie zapomniał.

Bywalec Nowogrodzkiej: – Jarosław zaczął poważnie myśleć o tym, żeby grillować Tuska prokuraturą. Kazał też wysłać sygnał do Brukseli, że Tusk może wkrótce usłyszeć zarzuty prokuratorskie w związku z katastrofą Smoleńską i byłoby wizerunkowo fatalne, gdyby człowiek podejrzany o przestępstwo pełnił tak ważną funkcję. Waszczykowski kazał wtedy grzebać w archiwum MSZ, a nawet przetrzepać skrzynki mailowe kierownictwa ministerstwa za czasów Platformy. Pobiegł do prezesa z informacją, że znalazły się dokumenty, które rzucają nowe światło na rolę Tuska. Te kwity miały go jakoś mocno obciążać, choć jeden kolega je widział i mówił, że przed sądem to by prokurator tego nie dał rady pociągnąć. No ale Jarosław się nakręcił.

Doradca Jarosława Kaczyńskiego: – Fakty są takie, że Tuska formalnie nikt nie zgłosił na drugą kadencję. Jedynym kandydatem zgłoszonym był Jacek Saryusz-Wolski, tyle że tej kandydatury nie poddano pod głosowanie, bo chwilę wcześniej przegłosowano reelekcję Tuska.

Kamil Dziubka: – A kto wymyślił ten manewr z Saryusz-Wolskim?

Doradca Jarosława Kaczyńskiego: – Rysio Czarnecki. Zaprosił do swojego mieszkania prezesa. Czekał tam już Saryusz-Wolski. Tam dobili targu.

Minister: – Jarosław Gowin pokłócił się z Kaczyńskim o Tuska, mimo iż przecież sam rozstał się z nim w konflikcie. Uważał, że PiS powinien co do zasady popierać każdego Polaka, który ma szansę na ważne stanowisko. Zresztą decyzja w sprawie Tuska zapadła w ostatniej chwili, tuż przed wyjazdem Szydło na szczyt do Brukseli, na którym zapadały decyzje dotyczące wyboru szefa Rady Europejskiej na kolejną kadencję.

Urzędnik: – Wydaje mi się, że Beata Szydło by się wstrzymała, gdyby sama miała decydować w tej sprawie. Słyszałem, że taką miała koncepcję, ale została zmuszona do głosowania przeciw Tusкови i musiała to wziąć na siebie. Z tego co wiem, już po tej całej awanturze na szczycie podchodzili do niej inni premierzy, jeden powiedział, że jest mu przykro, że musiała wziąć udział w cyrku Kaczyńskiego. Jak wracała do kraju, to na lotnisku wierchuszka partii jej zgotowała huczne powitanie. Słyszałem, że do Kaczyńskiego doszły informacje, że Szydło jest tak psychicznie wyczerpana, że jest skłonna nawet rozważyć podanie się do dymisji. Miała dość.

Minister: – Niestety to głosowanie było przejawem małostkowości i krótkowzroczności. Kaczyński był przekonany, że Niemcy wycofają kandydaturę Tuska. Natomiast jego antyniemieckość ma oczywiście głębsze korzenie. Jednym ze źródeł takiej jego postawy jest etos Powstania Warszawskiego, w którym został wychowany. To jest w nim bardzo silne. Z tego wynikały różne mniejsze czy większe spięcia na przykład z Gowinem. On presowi mówił wprost, że Polska, mając takie położenie geograficzne, musi prowadzić politykę proniemiecką. Dystansowanie się wobec Niemców przy jednoczesnym silnym skonfliktowaniu z Rosją było dla niego niezrozumiałe.

Doświadczony parlamentarzysta: – Gdyby szefem PiS był Lech, a nie Jarosław, nie byłoby problemu. Między Lechem i Tuskiem była chemia. A Jarek nigdy nie miał sympatii do Donalda. Polityczne zaszłości to jedno, ale psychologia odgrywa tu niebagatelną rolę. Kaczyński nie mógł przyklepać posady dla człowieka, którego oskarża o zakopanie w grobie własnego brata.

Minister: – Miałem wrażenie, że Jarosław cieszył się z powrotu Tuska, bo jest przekonany, że Donald ma nad sobą szklany sufit. Owszem, Platforma się odbudowała, ale pewnej bariery nie potrafią przebić. Zresztą ja uważam, że my jesteśmy z PO w śmiertelnym uścisku i nie potrafimy się z tego wyrwać, bo nie chcemy. Ktoś ładnie powiedział, że jesteśmy oparci o siebie plecami. Jak jedna partia zniknie, druga też się może przewrócić, bo straci punkt podparcia. Na Platformę mamy przygotowany cały arsenał tych samych motywów ataku, haki i tak dalej. Z tego punktu widzenia to jest dość bezpieczny przeciwnik.

Rozdział II

Z trzeciego szeregu



Andrzej jest przekonany, że to pisowcy opowiadali rzeczy, które potem się znalazły w „Uchu Prezesa”.

Te wszystkie historie o tym, że prezydent czeka w przedpokoju na spotkanie z Jarosławem... Kaczyński chciał, żeby tak mówiono o prezydencie. Z czystej zemsty, bo nie mógł się pogodzić z tym, że Andrzej mu się zerwał z łańcucha. Prezes kazał rozpuszczać plotki, że prezydent tak się zestresował, że parę kilo przytył, bo zaczął na potęgę żreć.

Współtwórca kampanii wyborczych: – Dla Kaczyńskiego zwycięstwo Dudy w 2015 roku było szokiem. Zdał sobie sprawę, że teraz po Pałacu Prezydenckim będzie się przechadzał jakiś zwykły Andrzej (który chwilę wcześniej był zaledwie rzecznikiem PiS), a nie jego brat. Poza tym pojawiło się wrażenie, że jeśli udało się po latach coś wygrać bez udziału prezesa, to znaczy, że przez kogo do tej pory przegrywaliśmy?

Poseł: – Na początku kampanii Kaczyński się śmiał z tych, którzy mówili, że Duda wygra. Uznawał to za żart. Bo prawda jest taka, że Andrzej nie szedł po prezydenturę, tylko po to, by zostać potem premierem, może ministrem sprawiedliwości. Chodziło o to, żeby wyrobił sobie twarz i pozycję. A wiele nie ryzykował, bo był europoseł z świetną pensją, więc miał gdzie ewentualnie wracać.

Współpracownik prezydenta: – Pamięta pan wystąpienie Jarosława w trakcie wieczoru wyborczego, kiedy Andrzej świętował zwycięstwo w drugiej turze z Komorowskim?

Kamil Dziubka: – Szczerze mówiąc, nie.

Współpracownik prezydenta: – Nikt nie pamięta, bo go w ogóle tam nie było. Pojechał na Jasną Górę, gdzie niby miał się modlić za nową prezydenturę. Prawda jest jednak taka, że on po prostu nie chciał widzieć na własne oczy triumfu Andrzeja. Oczywiście cieszył się z tego, że Komorowski, który został głową państwa po śmierci Lecha, dostał łomot. Jednak ta wygrana była dla Jarosława bolesna. Zresztą nie było go też na Zamku Królewskim, gdzie Andrzej odbierał insygnia prezydenckie w dniu zaprzysiężenia. To są jasne sygnały.

Współpracownik Jarosława Kaczyńskiego: – Prezes nie chciał już startować w wyborach prezydenckich. 2010 rok to była siła wyższa po katastrofie smoleńskiej. Był wtedy zmuszony okolicznościami. Mówił nam wówczas, że wyobrażał sobie, że „Leszek by tego chciał”. Ale naprawdę on

zawsze marzył, by być wyłącznie szefem partii. Nawet nie premierem. Zresztą wynik z 2010 roku go w tym utwierdził. Przecież po śmierci Lecha część ciepłych uczuć ludzi spłynęła na niego, a i tak przegrał z Komorowskim i to nie o włos, tylko o kilkaset tysięcy głosów.

Poseł: – Prezes w pewnym momencie zaczął przebąkiwać o Piotrze Glińskim jako o kandydacie na prezydenta. To było już po tych akcjach z wystawieniem go na premiera technicznego, więc miał jakoś wyrobione nazwisko. Jarosław wiedział, że tamten porzucił dla niego życie profesora, wyszedł ze strefy komfortu, posłużył jako żywa tarcza. Ale tak naprawdę nie było dobrego kandydata. Pamiętam rozmowy na temat Glińskiego i nie było wielkiego entuzjazmu, ale wielkiej alternatywy również. Pewnego razu pojechaliśmy z Kaczyńskim do Szczecina. Przy okazji tej wizyty prezes dał wywiad w lokalnym dzienniku. I tam został zapytany o kandydata na prezydenta. Powiedział od razu, że chce, by był nim Gliński. A było to półtora roku przed wyborami. Kiedy wywiad trafił do nas do autoryzacji, ludzie z biura prasowego partii złapali się za głowę. Nie robi się czegoś takiego. Nie ogłasza się kandydata na prezydenta w jakiejś lokalnej gazecie kilkanaście miesięcy przed startem kampanii. Wywaliliśmy ten fragment i się zrobiła afera, bo ta dziennikarka zadzwoniła z pretensjami i groziła, że puści wywiad bez autoryzacji. A poszliśmy na ostro, bo wyrzuciliśmy jej cały ten wątek. Dziennikarze tego nie lubią. Jakoś ją obłaskawiliśmy.

Współtwórca kampanii wyborczych: – Z grona profesorów jeszcze krążyło nazwisko Andrzeja Nowaka. Taki historyk z Krakowa. Cud boski, że Jarosław się na niego nie zdecydował. On chyba naprawdę wierzył, że będzie kandydatem, i później, jak się okazało, że nie został wskazany, opublikował tekst, w którym napisał, że Jarosław jest już stary i powinien się odsunąć w cień. Podobno miał go nawet wygłosić na konwencji inaugurującej kampanię prezydencką Andrzeja Dudy, ale chyba choroba go zmogła i nie przyjechał. Czy pan wie, co by się działo, gdyby on w takim momencie zaapelował do prezesa o przejście na emeryturę? Przecież to byłby skandal. Już pomijam, że Nowak spotykał się z prezesem prywatnie, bo to dobry znajomy Ryszarda Legutki i razem czasami biesiadowali, a mimo wszystko był gotów na zadanie ciosu.

Poseł: – Potem się jeszcze różne nazwiska przewijały. Na przykład Grzegorz Bierecki, ten od SKOK-ów. Ale on się okazał za bogaty. Jarosław myślał, że ma co najwyżej kilka milionów złotych na koncie, a miał kilkadziesiąt. W akcjach i obligacjach zaparkował kolejnych kilkanaście

milionów. Prezes uznał, że to za dużo. Uważał, że nasz elektorat by tego nie zrozumiał, iż jakiś oligarcha ma być głową państwa. Co oczywiście dzisiaj jest dość zabawne w kontekście Morawieckiego, który odłożył przez lata pewnie kilkadziesiąt milionów złotych, pracując w prywatnym banku z zagranicznym kapitałem, i jakoś to prezesowi nigdy nie przeszkadzało.

Bywalec Nowogrodzkiej: – Ojciec Andrzeja Dudy udzielił kiedyś wywiadu jednej gazecie. Powiedział w nim, że jak się dowiedział o tym, iż jego syn będzie kandydował na prezydenta, to pomyślał sobie, że to wszystko zasługa Pana Boga, który powierzył Andrzejowi zadanie służenia Polsce. Czytaliśmy ten wywiad z dwoma kolegami. Jeden wypalił: „Nie pokazujcie tego Jarosławowi, bo się wścieknie!”.

Budowanie od zera

Współtwórca kampanii wyborczych: – Niech pan sobie przypomni listopad 2014 roku, kiedy Andrzej Duda był ogłaszany jako kandydat na prezydenta. Dziś wiele osób myśli, że PiS już wtedy szedł po władzę. To są bzdury. Wie pan, dokąd szliśmy? Do ściany. To było w czasie wyborów samorządowych, które według Jarosława zostały sfałszowane. To było pół roku przed wyborami prezydenckimi.

Poseł: – W listopadzie 2014 roku zaufanie dla Komorowskiego dochodziło do siedemdziesięciu procent. PiS miał swoje stabilne trzydzieści procent poparcia. Było mało czasu. Sukcesem dla nas na tamtym etapie była druga tura.

PR-owiec związany z PiS: – Duda pasował do profilu prezydenta. Był wiceministrem sprawiedliwości, ministrem w Kancelarii Prezydenta u Lecha, europosem. Atutem była fajna rodzina, a przede wszystkim fajna żona. No i jak Andrzej dostał propozycję, to oczywiście powiedział, że najpierw skonsultuje się z żoną.

Bywalec Nowogrodzkiej: – Jarek na pewno zapamiętał to, że po katastrofie smoleńskiej Andrzej nie chciał uznać przejęcia przez Bronisława Komorowskiego obowiązków głowy państwa, zanim zostanie przedstawiony niezbity dowód na to, że Lech rzeczywiście zginął. Zresztą po Smoleńsku Duda zbliżył się też do Marty Kaczyńskiej, co oczywiście nie było bez

znaczenia. Andrzej organizował jej wizyty w Krakowie, kiedy przyjeżdżała na grób rodziców na Wawelu. Kupował wieniec, świeczki.

Poseł: – To był generalnie świetny pomysł, żeby ogłosić kandydaturę Andrzeja 11 listopada. Po pierwsze, pięć dni później odbywały się wybory samorządowe. Po drugie, 11 odbywał się w Warszawie Marsz Niepodległości, a myśmy od paru lat od niego uciekali właśnie do Krakowa. No i Duda jest z Krakowa. Zatem pomysł super, tylko wykonanie beznadziejne. Bo nikogo nawet nie uprzedziliśmy, że tego dnia w sali „Sokoła” cokolwiek ważnego się wydarzy. Nie puściliśmy szczura, jak to się mówi, do mediów na zasadzie: „Słuchajcie, wyślijcie więcej kamer na przemówienie Jarosława, bo coś wyjątkowego będzie się działo”. No i potem trzeba było tłumaczyć, o co w ogóle chodzi.

Współtwórca kampanii wyborczych: – Musieliśmy zbudować praktycznie od zera jego wizerunek. Jego znali głównie dziennikarze, ludzie, którzy się interesowali polityką. Część myliła go początkowo z szefem „Solidarności” Piotrem Dudą. Uznaliśmy, że to w sumie nie jest najgorzej. Ważne, że się nazwisko oklepuje w ludzkiej świadomości. Raczej był lubiany w partii. Może dlatego, że nie wzbudzał wielkich emocji. Z nikim nie miał kasy. No może z Terleckim, który też jest z Krakowa. Ale reszta krakusów, jak Szydło czy Andrzej Adamczyk, miała z nim dobre relacje. Taki normalny gość to był. Tu zapalił papierosa, tu zagadał, tu przyciął komara na sesji Rady Miasta w Krakowie, jak jeszcze krótko był radnym miejskim chwilę po tym, kiedy przegrał wybory na prezydenta Krakowa. Z Majchrowskim oczywiście nie miał szans. Potem dostał się do Sejmu po serii nieudanych startów.

PR-owiec związany z PiS: – On, startując w wyborach prezydenckich, wchodził do pierwszej ligi politycznej i o tym wiedział. Wcześniej w partii był nikim. Rzecznikiem prasowym był. Ktoś nawet na początku kampanii zwrócił uwagę na to, że on nie jest nawet członkiem komitetu politycznego PiS, i trzeba było to szybko zmieniać. A żeby to się nie rzucało w oczy, to jeszcze ze dwie albo trzy osoby razem z nim weszły wtedy w skład komitetu.

Współtwórca kampanii wyborczych: – Zaczęło się poszukiwanie szefa sztabu wyborczego. To było tuż po wyborach samorządowych, w których wielu znanych samorządowców zrobiło słabsze wyniki. I przychodzi pani Stachowiak-Różecka z Wrocławia, która zrobiła niezły wynik w wyborach na prezydenta miasta z Rafałem Dutkiewiczem, ale każdy na jej miejscu zrobiłby taki wynik. Poza Wrocławiem nikt jej nie znał. Jarosław pewnego dnia robi

spotkanie. A wszyscy są przybici po wyborach samorządowych, bo summa summarum wzięliśmy władzę tylko na Podkarpaciu, gdzie i tak wcześniej rządaliśmy. Prezes ogłasza Stachowiak-Różecką jako szefową sztabu. Siedzi Błaszczak, siedzi Brudziński, siedzi Szydło. Cisza. A babka w stylu fafarafa, co to nie ona. Do Jarosława od razu wali na ty. Ludzie patrzą po sobie. Szok. A prezes już chce informować media, że ona będzie kierować sztabem. Udało się to zablokować. Zresztą okoliczności tej historii są po prostu kuriozalne.

Poseł: – Był kręcony klip z życzeniami bożonarodzeniowymi, w którym Duda cytował Lecha Kaczyńskiego. Nagle wpada Stachowiak-Różecka i mówi, że wszystko jest beznadziejnie, nie tak jak trzeba, no i że musimy nakręcić nowy spot.

Kamil Dziubka: – Co jej nie pasowało?

Poseł: – Powiedziała, że Andrzej musi być politykiem samodzielnym i w związku z tym nie może się powoływać w tym klipie na Lecha Kaczyńskiego, który był tam zacytowany. Ostatecznie zostały nakręcone dwie wersje. Pokazaliśmy prezesowi wersję ze słowami brata. Spot mu się spodobał, dał zielone światło, żeby wykupić czas antenowy. Po czym puściliśmy mu też wersję bez cytatu z Lecha. Oczywiście prezes dopytał o kulisy tego nagrania. Zaniemówił. Wstał. Zaczął chodzić dookoła gabinetu. Powtarzał: „Czego ona chce od Leszka? Czego ona od niego chce?”. Jak się pan domyśla, był to koniec kariery Stachowiak-Różeckiej jako szefowej sztabu. A na jej miejscu pojawiła się Szydło.

PR-owiec związany z PiS: – Była naturalną kandydatką, bo trzymała się z Andrzejem. Razem są z Małopolski. Poza tym ona odegrała nieocenioną rolę dla kampanii, bo jednocześnie pełniła funkcję skarbnika partii, o czym mało kto pamięta. Dzięki niej sztab miał na koniec kampanii zabukowane duże pieniądze. To był zresztą dla nas ewenement, bo PiS końcówki zawsze miał słabe pod tym względem. Tym razem mieliśmy sporą rezerwę, a Platforma nie, bo myślała, że Komorowski wygra w pierwszej turze.

Uczestnik kampanii prezydenckich: – Wie pan, że w kampanii Andrzeja nie padło nigdy hasło „Dobra zmiana”, choć dziś wszyscy są o tym przekonani? A wie pan dlaczego? Bo z badań wychodziło, że ludzie nie chcą zmiany. Badania robił Piotr Agatowski, który dziś już jest takim badaczem, nazwijmy to, pisowskim.

Kamil Dziubka: – Co to znaczy?

Uczestnik kampanii prezydenckich: – Robi takie badania, które się mają na Nowogrodzkiej podobać. Zwłaszcza że jego żona ma posesję w PZU, więc mu zależy na dobrym klimacie wokół niego. Ale w 2015 roku jeszcze nie wiedział, że tak trzeba, i Jarosław był w szoku, bo on chciał koniecznie hasło ze słowem „zmiana”. Po prostu zdębiał. Rozłożył ręce i spytał, jaka ma być w takiej sytuacji kampania. Agatowski mu powiedział, że jedynym dobrym pomysłem jest gra na zderzenie wizerunków. I tak to poszło. Natomiast sama „zmiana” nigdy nie zaistniała. Cichcem pojawiły się napisy „Dobra zmiana” w spotach, ale już pod koniec kampanii.

Członek sztabów wyborczych: – Pierwsze spotkania wyborcze Andrzeja to była bida z nędzą. Jakieś malutkie salki na kilkadziesiąt, może sto osób. Zainteresowanie było średnie. Nawet działacze PiS ciężko było zmobilizować, żeby się angażowali, bo przecież powszechne przekonanie było takie, że Duda idzie na pożarcie, a ta cała jego kampania to trochę taka rutynowa celebra. Brakowało nam tego „wow”. Wtedy pojawił się w sztabie pomysł, żeby ten marazm przełamać i zrobić wielką konwencję. Chodziło o pokazanie Andrzeja, że jego kandydatura to jednak na serio. To miała być impreza za duże pieniądze, w amerykańskim stylu. Pracowaliśmy bardzo dużo nad tą konwencją, nad każdym szczegółem. Próbowaliśmy przewidzieć najmniejsze komplikacje, jak choćby awaria generatora prądu. A potem się okazało, że aż za dużo ludzi przyjechało i musieli czekać na zewnątrz. Oczywiście część z nich była niezadowolona, a Jarosław i Andrzej trochę się nawet tego wystraszyli. A myśmy w sztabie uznali, że to nawet lepiej. I to był pierwszy moment, w którym pomyśleliśmy, że od teraz będzie dobrze, przynajmniej organizacyjnie. Kolejne spotkania wyglądały coraz lepiej i praca była coraz bardziej profesjonalna. Bo na początku jeździliśmy jakąś skodą partyjną. To z niej przesiedliśmy się do Dudabusa. Zresztą on miał chyba nawet dwie wersje. Pierwsza była dość przaśna, druga już lepiej wyglądała. Dbaliśmy, żeby na każdym spotkaniu byli młodzi ludzie.

Poseł: – Postawiliśmy sobie za zadanie objechanie wszystkich miast powiatowych. Trudne, ale do zrobienia. Rozdawaliśmy ludziom zdjęcia Andrzeja z żoną z tej pierwszej konwencji, potem jeszcze Duda je podpisywał. „A dziękuję, to jeszcze dla sąsiadki poproszę”. Zaczynało się dziać. Potem zdjęcia na Facebooka, Twittera, raczkujący Instagram, popularny wtedy Snapchat. Na tej trasie w pewnym momencie trochę się śmiałyśmy, że do miasta przyjeżdża cyrk, bo za kandydatem jechały wozy transmisyjne TVP,

TVN, Polsatu, stacji radiowych. I to przyciągało uwagę. Jedni przychodzili, bo popierali PiS, inni z ciekawości. Zaczynała się wiosna, więc większość tych spotkań odbywała się na zewnątrz. Było coraz więcej ludzi, w większości już tylko wyłącznie działacze PiS.

Współpracownik Andrzeja Dudy: – Po każdym takim spotkaniu Andrzej zostawał na coraz dłuższe chwile, by pozować do zdjęć i dawać autografy. Musieliśmy przez to korygować kalendarz, bo zaczynaliśmy się coraz bardziej spóźniać na kolejne punkty programu. Zdaliśmy sobie sprawę, że musimy mu dać więcej czasu. Jak rozdasz autograf, jeszcze uściśniesz komuś rękę czy zrobisz z nim zdjęcie, to jest większa szansa, że ten człowiek na ciebie zagłosuje.

Poseł: – Czuliśmy, że kampania weszła na właściwe tory, ale jeszcze nie było tego widać w sondażach. My w sztabie raczej byliśmy spokojni, ale w partii zaczęło się kręcenie nosem. Zaczęły się ukazywać teksty w mediach, inspirowane oczywiście z wewnątrz PiS, próbujące udowodniać tezę, że Dudzie idzie źle. Bryłował zwłaszcza Jacek Kurski, który formalnie nie był w sztabie, ale bardzo chciał w nim być. Zaczął saczyć Jarosławowi, że kampania jest zbyt łagodna i trzeba ostrzej, mocniej, głośniej.

Współtwórca kampanii wyborczych: – Jarosław kilka razy przyszedł na posiedzenia sztabu. Na początku miał pretensje, że idzie słabo. Mówił: „Ja muszę porozmawiać z Andrzejem, że on musi bywać teraz cały czas w kraju, zrezygnować z Brukseli”. A był europoseł i każdy pobyt na komisji czy posiedzeniu Parlamentu Europejskiego oznaczał dla niego wypłatę diety. Partia mu przecież nie płaciła.

Poseł: – A my uznawaliśmy, że wszystko ma swój czas. Jak na siłowni. Najpierw robisz masę, a dopiero później rzeźbę. Wiedzieliśmy, że jest nieźle. Zamówiliśmy na przykład kilka tysięcy banerów do powieszenia na posesjach, które rozeszły się bardzo szybko. Mało tego. Niektórzy prosili tylko, żeby im wysłać plik JPG, i mówili, że sami sobie wydrukują, bo to tylko pięćdziesiąt złotych kosztuje. Ja uważam, że te banery są bardziej efektywne niż te wielkie billboardy. Bo jak ktoś sobie wiesza taki baner, to zaraz jego sąsiad to zobaczy i może sam będzie chciał taki mieć. To jest bardzo angażujące. Poza tym prawie nic nie kosztuje. Ekspozycja takiego baneru jest praktycznie darmowa.

Minister: – Kaczyński, który na wiele tygodni właściwie zupełnie się zaszył i nie pokazywał publicznie, tuż przed pierwszą debatą nagle się uaktywnił. Chciał się publicznie pokazać. To oczywiście był efekt podszeptów tych, którzy przekonali go, że Duda po wygranej w pierwszej turze szybko obrośnie w piórka i będzie chciał się zerwać z łańcucha. Na szczęście udało się prezesowi wybić ten pomysł z głowy.

Poseł: – No ale rzeczywistość była, jaka była. Komorowski miał w badaniach cały czas 57–58 procent, co dawało mu zwycięstwo w pierwszej turze. Andrzej miał trochę ponad 20 procent. Ludzie w partii się zastanawiali: „Jak to? Partia ma 30 procent, a kandydat 20? Co tu się dzieje?”. Nie chcieli zauważyć, że to jeszcze nie był ten moment. Baliśmy się jednego: że Sikorski, który był marszałkiem Sejmu, zarządzi wybory w pierwszym możliwym terminie. Dla faworyta, jakim był Komorowski, szybsze głosowanie jest korzystne, bo krócej musi się starać utrzymać poparcie. A jak my goniliśmy, to nam dwa dodatkowe tygodnie pozwalały objechać pięćdziesiąt powiatów. Cztery, pięć dniennie to spokojnie. No ale wreszcie zaczęły płynąć pozytywne sygnały z mediów. Nagle dziennikarze zaczynają pisać, że kampania Dudy jest całkiem dobra, a Komorowskiego nieciekawa. Tutaj kandydat sam jeździ, a tam jeżdżą wizerunki kandydata. Bo proszę pamiętać, że Platforma puściła szesnaście autobusów, a w żadnym nie było Bronka.

PR-owiec związany z PiS: – No i wreszcie jeden z bardziej bolesnych strzałów w kolano, jakie sam sobie sprokurował sztab Komorowskiego. Szef jego kampanii wyszedł na konferencję prasową i ogłosił słynne hasło „Rozstrzygnijmy wybory w pierwszej turze”. I jeszcze uzasadniał to w kretyński sposób, że trzeba to szybko załatwić, bo to będzie mniej kosztowało podatnika. A my jechaliśmy ze spotkaniami, konwencjami, na których pojawiała się już nawet po tysiąc osób i więcej. Nie byliśmy tylko pewni, czy zdążymy.

Współtwórca kampanii wyborczych: – Nie pamiętam jakichś szczególnych konfliktów w sztabie, bo to była naprawdę fajna grupa. Nie było wielkich indywidualności, spin doktorów w stylu Bielana, Kamińskiego i Kurskiego. Więc z jednej strony to dawało nam poczucie, że walczymy o coś, ale też nie było żadnego gwiazdorzenia. Pracowałem przy kampanii prezydenckiej Jarosława Kaczyńskiego w 2010 roku, kiedy przegraliśmy z Komorowskim. Widziałem, jak Adam Bielan pokłócił się z Kamińskim, z Kluzikową i z całą tamtą ekipą. Zbyt wielu było generałów, a zbyt mało

oficerów, już nie mówię o szeregowych. To było momentami chore. Sztab coś ustalał, a Bielan i Kamiński biegli do prezesa i on potem kazał wywracać plany do góry nogami.

Sztabowiec Andrzeja Dudy: – Jednym z naszych największych zmartwień było to, ile procent głosów zgarną pozostali kandydaci. To od nich w dużej mierze zależało, czy w ogóle będzie druga tura. Ciułaliśmy w głowach ich poparcie i wychodziło nam, że szanse na to są niewielkie. Kluczowe było to, czy znajdzie się trzeci kandydat, który weźmie 8–10 procent poparcia. Do głowy by nam nie przyszło, że do gry wejdzie Kukiz i od razu rozbije bank ze swoimi 20 procentami, które w niemałej części wyrwał Komorowskiemu. Widzieliśmy, że Kukiz rośnie, i już wtedy myśleliśmy, że jak będzie druga tura, to trzeba będzie wyjść do jego wyborców, żeby zagłosowali na nas, a nie na Bronka. Jego popularność była dla nas dużym zaskoczeniem, bo pamiętam, że jeszcze kilka tygodni wcześniej pojawiały się informacje, że on może nawet nie zebrać podpisów. A później zrobiliśmy analizę i widzieliśmy, że jego elektorat jest łatwiejszy do pozyskania przez Andrzeja, bo jest bardziej antysystemowy, więc raczej nie będzie chciał popierać urzędującego prezydenta.

Poseł: – Mieliśmy informację, że jest dość poważny konflikt pomiędzy Kancelarią Prezydenta a sztabem wyborczym kierowanym przez Roberta Tyszkiewicza z Platformy. Dwa ośrodki decyzyjne to de facto brak takiego ośrodka. Tam zaczęła się panika. My byliśmy na fali. W ogóle się nie spodziewaliśmy, że wygramy pierwszą turę. Zakładaliśmy, że jeśli Komorowski będzie miał poniżej 45 procent, to można jeszcze walczyć w drugiej turze. Jeśli miałby 47 procent, to było jasne, że jakoś dozbiera resztę. A nie dość, że różnica była niewielka, to jeszcze na korzyść Dudy. Jak się okazało, że Andrzej wygrał pierwszą turę, to nam szczęki opadły.

Współtwórca kampanii wyborczych: – Komorowski ogłosił chwilę później ten tragiczny pomysł z referendum. To wymyślili w Belwederze jego doradcy nocą, tuż po przegranej pierwszej turze. Może w innym wypadku ten pomysł stworzony pod kątem wyborców Kukiza by się przyjął, ale nie w momencie, kiedy oni komunikują następnego dnia nieprzemyślane, nieuzgodnione z Kukizem pomysły. Bo chcieli walczyć o jego wyborców. I wyszło niewiarygodnie, bo przecież Komorowski miał pięć lat na złożenie w Sejmie odpowiednich projektów ustaw dotyczących spraw, o które on chciał w tym referendum pytać.

Poseł: – Potem przyszły debaty. Marcin Mastalerek tłumaczył, żeby nie myśleć, że Komorowski je przegra z kretešem. On w polityce był od ćwierć wieku. Można go oceniać różnie, ale to był zawodnik wagi ciężkiej: marszałek Sejmu, minister obrony narodowej, wiceminister, ileś tych funkcji sprawował. Komorowski pięć lat wcześniej wywalczył sobie w Platformie nominację w otwartych wyborach. Więc nawet jeśli on uchodził za safandulę, to jednak umiał się spiąć na debaty. Nie liczyliśmy, że Andrzej go rozjedzie.

PR-owiec związany z PiS: – Andrzej po tej debacie wyszedł z przekonaniem, że ją zupełnie położył. Położył w tym sensie, że miał Bronka pokonać, a ten mu wyprowadził kilka celnych ciosów. I nawet jeśli go nie znokautował, to co najmniej kilka razy spowodował, że Duda był liczony. Na szczęście druga debata wypadła zdecydowanie lepiej.

Uczestnik kampanii wyborczych: – Nie da się ukryć, że Broniek miał ileś wpadek. Andrzej też miewał wtopy, ale w takiej sytuacji po ludziach to już spływało. A błędy bywały poważne. Na przykład raz powiedział, że należy się zastanowić nad wysłaniem polskich wojsk na Ukrainę. Rozumie pan? To już było po aneksji Krymu przez Rosję, a w Donbasie trwała regularna wojna. To nie jest tak, że jak prowadzisz kampanię przez pół roku, to kandydat nie popełni żadnego błędu. Najważniejsze, żeby popełnić tych błędów mniej niż przeciwnik. Jak w piłce.

PR-owiec związany z PiS: – Pojawiła się jeszcze Agata Duda ze swoim przesłaniem na koniec kampanii. Zrobiliśmy spot rodzinny, kilka jeszcze innych nowych spotów. Wymyśliliśmy fajną rzecz, czyli dwudziestoczwierogodzinną jazdę Andrzeja Dudabusem w ostatnim dniu kampanii. Zaczynaliśmy o północy i kończyliśmy o północy następnego dnia.

Członek sztabu wyborczego: – Było już po drugiej turze, wyniki znane. Wszyscy pijani z radości, a tu Andrzej wymyślił, że następnego dnia o szóstej rano będzie rozdawał kawę na ulicy.

Uczestnik kampanii wyborczych: – Pamiętam spotkanie ludzi ze sztabu wyborczego dzień po pokonaniu Komorowskiego. A było ono wyjątkowe, bo pojawili się na nim i Andrzej, i Kaczyński. To się w kampanii prawie nie zdarzało, bo prezes siedział w Warszawie, a Duda wiecznie krążył Dudabusem po kraju. Zresztą Jarosław w ogóle rzadko przychodził na sztab. A jak już był, to na szczęście nie za bardzo się wtrącał. Kaczyński przyznał wtedy

publicznie, że uznał przed startem kampanii, iż sukcesem Dudy będzie porażka z Komorowskim mniej więcej taką różnicą, jaką on z nim przegrał pięć lat wcześniej. Mówił, że przed Andrzejem się otwiera zupełnie nowy rozdział i że ma nadzieję, iż przestanie być prezydentem dopiero po dziesięciu latach, będąc wciąż młodym człowiekiem. Życzył mu też kariery w organizacjach międzynarodowych. Atmosfera była naprawdę dobra i wydawało się, że prezes mówi szczerze.

Poseł: – Myślę, że w Jarosławie pojawiła się zadra, ale nie z tego powodu, że Duda wygrał z Komorowskim, który go wcześniej pokonał. Tu chodziło o Lecha. Ten lekceważony Andrzej dokonał tego co Lech. Szybko obudziły się braterskie uczucia. Kaczyński chyba miał wrażenie wtedy i ma pewnie do dzisiaj, że prawdziwym prezydentem to był jego brat, a nie jakiś chłystek, który kilka miesięcy wcześniej był rzecznikiem partii. Plus to, że Lechowi nie było dane powalczyć o drugą kadencję, bo zginął. To w nim jakoś siedziało od samego początku.

Wojna o sądy

Urzędnik: – Duda się początkowo straszliwie stresował swoją rolą. Do tego stopnia, że bał się nawet, jak ktoś go zaczepił w łoży VIP na jakimś meczu na Stadionie Narodowym. Chciał z nim pożartować, a ten wyglądał, jakby miał kij w dupie. Oburzył się, jak jakiś dowcipniś zaproponował mu „jednego”. Miał wrażenie, że wszędzie czyhają na niego złe wilki, które szukają okazji, by go skompromitować.

Poseł: – W pierwszych miesiącach prezydentury Duda był stłamszony przez prezesa. Jarosław meblował mu kancelarię, jak chciał. Prezes na przykład nie zgodził się na stanowisko prezydenckiego ministra dla byłego rzecznika PiS Marcina Mastalerka, który był jednym z głównych macherów kampanii wyborczej. I choć Duda dużo mu zawdzięczał, przystał na to.

Członek władz PiS: – Duda zgodził się wtedy na Małgorzatę Sadurską jako szefową kancelarii, choć prawie jej nie znał. Sam wolał kogo innego, ale Sadurska była blisko związana z prezesem i często bywała w Radiu Maryja. Szydło też ją polecała.

Współtwórca kampanii wyborczych: – Kaczyński uważał, że Andrzej po cichu gra z Szydło i ustala jakieś rzeczy poza jego plecami. Od początku nie

lubił też jego żony. Agata bała się mediów, całego tego kampanijnego zgiełku. Dlatego w niewielkim stopniu zaangażowała się w kampanię. Tłumaczyła się w sposób, który mi zaimponował. Mówiła, że ma klasę maturalną pod opieką i nie może sobie pozwolić, żeby ją zostawić w kluczowych miesiącach przed egzaminem dojrzałości. I miała rację. Zresztą do tego stopnia było to dla niej ważne, że nawet kulminacyjną konwencję kampanii ustawiliśmy pod jej maturalny harmonogram. Zabrała głos w trakcie tej konwencji i powiedziała z szerokim uśmiechem, że się nie boi Kaczyńskiego. W założeniu to była odpowiedź na oskarżenia wobec Dudy, że będzie niesamodzielny, uległy wobec prezesa, który będzie rządził z tylnego siedzenia. Miał to też być sygnał, że Jarosław wcale nie jest taki straszny, jak o nim mówią. Niestety prezes odebrał to jako drwinę i do dziś jej to pamięta. Komuś nawet powiedział: „Ona jest niekulturalna, źle wychowana”.

Współpracownik prezydenta: – Kiedy Andrzej zostawał prezydentem, był trzy półki pod Kaczyńskim. I jeszcze trzeba zrozumieć, jaki on jest w rzeczywistości. On się wywodzi z dobrego, krakowskiego, profesorskiego domu. Jest uprzejmy, wszystkim się kłania, w autobusie ustępuje miejsca starszym paniom, to jest ten typ osobowości. Z niego się wszyscy śmiali, jak ścigał rękawiczkę, żeby się przywitać z Jarosławem. Ale on tego nie robił ze względu na Kaczyńskiego, tylko po prostu ma taki charakter. To, że na początku był tak uległy wobec Jarosława, wynikało z pewnego poczucia przyzwoitości. Proszę mnie dobrze zrozumieć, bo widzę, że pan się krzywi...

Kamil Dziubka: – Przecież dostał silny mandat od ludzi w wyborach.

Współpracownik prezydenta: – To nie jest takie proste. On został w ciągu kilku miesięcy wywindowany z pozycji człowieka trzeciego szeregu do fotela w dużym pałacu. To jest naprawdę psychologicznie bardzo trudny proces.

Znajomy Andrzeja Dudy: – To faktycznie nie jest proste. Weźmy Rafała Trzaskowskiego. Przecież on po wyborach prezydenckich, w których przegrał w sumie niewielką różnicą głosów, miał autostradę do władzy w Platformie. Prezydent Warszawy, za którym stała potęga dziesięciu milionów głosów, mógł jedną ręką wziąć sobie partię i tego nie zrobił. A potem przyszedł Donald Tusk, który stworzył Platformę i to są jego ludzie, powiedział: „Rafał, idź do kąta”. No i Trzaskowski poszedł do kąta. Ani on, ani Duda nie są politykami typu partyjnego. Ich taka codzienna aktywność w strukturach po prostu męczy, nie lubią za bardzo konfliktów. I kiedy się zderzają z siłą gościa, który stworzył partię, jest brutalny i cyniczny, mają problem. Andrzej

Duda potrzebował prawie dwóch lat prezydentury, żeby zacząć sobie z tym jakoś radzić.

Współpracownik prezydenta: – Kaczyński od początku chciał zmusić prezydenta do tego, żeby ten unurzał się w błocie. Dobrą okazją do tego była wojna o Trybunał Konstytucyjny, kiedy Nowogrodzka postanowiła skasować piątkę sędziów wybranych jeszcze przez Platformę. Jarosław zdecydował się na najostrejszy wariant, czyli wybór pięciu zupełnie nowych sędziów z nadania pisowskiego. Prezydent, choć od początku szedł w tej sprawie z linią partii, był pogubiony. Bał się. Chciał spowołnić całą operację, zagrać trochę na czas. Przez chwilę nawet Szydło nie miała z nim kontaktu, wyłączył telefon. Doszło nawet do tego, że prośbę o jakikolwiek kontakt przekazali otoczeniu Dudy ochraniający go funkcjonariusze BOR. W końcu prezydent wysłał sygnał na Nowogrodzką, że jest w stanie przyjąć ślubowanie od trójki sędziów, którą powołał w październiku Sejm kontrolowany jeszcze przez Platformę. Warunkiem miało być uznanie tego wyboru przez Trybunał Konstytucyjny. Jarosław się wściekł. Prezesem Trybunału był Rzepliński, z którym się nie cierpiało. I był przekonany, że Duda spiskuje z opozycją. Dla Kaczyńskiego samo wahanie się Andrzeja już było dowodem na zdradę.

Poseł: – Andrzej wiedział, że idzie walec i jak spróbuje go zatrzymać, to może się to dla niego źle skończyć. Zgodził się na nocne ślubowania sędziów, bo nie miał wtedy siły, żeby walczyć z prezesem. Poza tym czuł, że został z tym sam, bo Beata Szydło stanęła murem za Jarosławem. Ale miał świadomość, że został upokorzony, i mocno to przeżył. Zwłaszcza że część bliskich mu ludzi ze środowiska krakowskich prawników odwróciła się wtedy od niego. Tak jak promotor jego doktoratu profesor Zimmermann, o którym Andrzej wspominał w trakcie konwencji inaugurującej jego kampanię prezydencką. To naprawdę było dla niego bolesne. A jak potem zaproponował, że będzie pracował nad swoim projektem ustawy w tej sprawie, to prezes drwiąco powiedział: „Niech robi, co chce”. Mało tego. Jak uchwaliliśmy przed Bożym Narodzeniem swoją ustawę o Trybunale, to Andrzej musiał wracać do Warszawy helikopterem z urlopu w górach, żeby ją podpisać.

PR-owiec: – Po wojnie o Trybunał Andrzej na kilkanaście miesięcy zapadł w zimowy sen. Ogarnęła go apatia. W kraju został sprowadzony do roli długopisu, w sprawach zagranicznych też mu się specjalnie nie wiodło. W Białym Domu siedział Obama, który jak przyjechał do Warszawy na szczyt

NATO, to stojąc obok Dudy na konferencji, wytknął PiS-owi ten Trybunał. To było upokarzające.

Bywalec Nowogrodzkiej: – Duda wywołał konsternację w partii, kiedy w trakcie blokady sejmowej mównicy przez opozycję w grudniu 2016 roku zapowiedział, że jest gotowy do mediacji pomiędzy PiS a opozycją. Jarosław był wściekły. Wysłał sygnał Dudzie, żeby przestał się wtrącać, bo to wszystko wina Platformy i trzeba iść z nimi na twardo. Dostał furii, jak się dowiedział, że prezydent ma wątpliwości, czy głosowanie budżetowe w Sali Kolumnowej Sejmu było legalne. Duda bez konsultacji z kimkolwiek zaprosił do siebie opozycję.

Współpracownik prezydenta: – Myślę, że to był jeden z zapalników. Prezydent uznał, że walenie go po głowie za próbę rozwiązania bardzo poważnego kryzysu to już za dużo. Kilka miesięcy później dał sygnał, że sytuacja się zmieniła. Zapowiedział referendum w sprawie zmian w konstytucji. Do dziś wielu ludzi nie rozumie, po co to było. Bo to referendum w istocie nie było dla ludzi. To miało uderzyć w Kaczyńskiego. Samo ogłoszenie tego pomysłu zdetonowało bombę. Prezydent ujawnił to w trakcie przemówienia z okazji święta Konstytucji 3 maja. Przecież Sadurska, która była szefową kancelarii Andrzeja z nadania partii, prawie zemdląca na tej trybunie, a ówczesny marszałek Senatu Karczewski nieomal z niej spadł. I Andrzej był zadowolony z tego efektu, bo Kaczyński dostał szału. Zaczął wysyłać umyślnych, którzy naciskali, żeby wycofać się z tego pomysłu. No ale niestety prezydent ma bardzo słabą kancelarię, która przez wiele miesięcy nie potrafiła sformułować kilku dobrych pytań referendalnych. Inna sprawa, że dla Andrzeja referendum stało się czymś, co pozwoliło się psychologicznie przygotować do zawetowania ustaw sądowych.

Znajomy Andrzeja Dudy: – Wśród osób, które namawiały prezydenta do wet, była oczywiście Zofia Romaszewska. Jednak istotne były również rozmowy z jego znajomymi ze środowiska krakowskiego. Mam na myśli środowisko prawnicze. Taką ważną osobą jest na pewno doktor Rafał Kos. To jest przyjaciel prezydenta, z którym lubią razem wędrować po górach. Bardzo majątny człowiek, który jest doradcą społecznym Andrzeja. Zaczepił się teraz w spółkach państwowych, ale on ma własną wielką kancelarię, która wysłała córkę Dudy na staż do USA. Gdyby Andrzejowi się kiedykolwiek noga powinęła, on natychmiast wyciągnie do niego rękę. Bardzo ważną osobą jest również taka stara pani sędzia z Krakowa, która trochę dla Andrzeja jest jak ciocia. Istotne było również to, że Duda ma złe relacje z Ziobrą, które

wynikają z tego, że kiedy Zbyszek odchodził z PiS, to Andrzej za nim nie poszedł, choć to on go wciągnął do dużej polityki. To Ziobro załatwił mu stanowisko ministra u Lecha Kaczyńskiego.

Minister: – Gowin też próbował namawiać Dudę do wet. Jego były wiceminister z czasów Platformy Michał Królikowski, który doradzał wtedy prezydentowi, w przeddzień głosowań w Sejmie przesłał na Nowogrodzką poprawki do tych ustaw. Kaczyński był wkurzony, ale przekazał je Suskiemu, który pilotował tę sprawę w Sejmie. No i Suski te poprawki schował. Gowin zarzucał potem Kaczyńskiemu, że go oszukał. Jarosław udawał zdezorientowanego. Mówił, że „przecież przeszły poprawki”, które zostały zgłoszone. W rzeczywistości go okłamał.

Poseł: – Mieliśmy informacje, że Duda do końca nie był pewien, co zrobi. Kilkadziesiąt godzin przed ogłoszeniem wet Krzysztof Szczerski puścił przeciek przez prawicowe media, że prezydent podpisze ustawy i wyśle do Trybunału Konstytucyjnego.

Doradca prezydenta: – Andrzej w niedzielę pojechał na Jasną Górę. Długo się tam modlił. W poniedziałek ogłosił, że wyrzuca ustawy do kosza. Wiedzieliśmy, że Kaczyński wpadł w furję. Wtedy podjęliśmy decyzję, żeby szybko nakręcić orędzie prezydenta. Nie chcieliśmy tego robić z udziałem TVP. Wzięliśmy produkcję na siebie. W trakcie przygotowań do nagrania dostaliśmy informację, że jedzie do nas Beata Szydło z marszałkami Sejmu i Senatu. Nie pamiętam już, ile trwało spotkanie z nimi, ale Andrzej wyszedł z niego po prostu wkurwiony. Zażądali od niego wycofania się z deklaracji o zawetowaniu ustaw i podpisania ich. To było oczywiście życzenie Kaczyńskiego. Duda nie chciał uwierzyć, że oni mogą domagać się od niego zmiany decyzji, którą już ludziom ogłosił. Uznał to za obraźliwe w stosunku do siebie. Zabolalo go też, że Szydło trzymała stronę Jarosława. A potem Kurski wyemitował najpierw jej orędzie, a dopiero potem prezydenta. To był skandal. Zresztą przed emisją ludzie z TVP nas ponaglali. Chcieli jak najszybciej dostać nagranie. Było im to potrzebne do tego, żeby Szydło mogła je wcześniej obejrzeć i w swoim orędziu obalić argumenty prezydenta.

Poseł: – Beata Szydło w sprawie wojny o sądy mocno trzymała stronę Jarosława, bo wiedziała, że jak pokaże, iż gra z prezydentem, to już jest po niej. Dopiero potem dowiedzieliśmy się, że ona grała wtedy o polityczne życie. Przeczuwała, że jej czas się kończy.

Urzędnik: – Ją szlag trafił, jak tabloidy opisały jej urlop z rodziną w prezydenckim ośrodku na Helu. To było kilka tygodni po wetach do ustaw sądowych. Okazało się, że przebywała tam w tym samym czasie co Duda. Prawda jest taka, że nie miała pojęcia, iż prezydent tam też będzie. Mieszkała w domu położonym kilkaset metrów od głównej rezydencji. Dudę spotkała tam na miejscu, ale zamienili kilka kurtuazyjnych zdań. Między nimi był chłód, tymczasem oczywiście do Jarosława doszły informacje o rzekomo wspólnych wakacjach. To było idealne potwierdzenie tezy o tym, że duży i mały pałac spiskują. Tymczasem, kiedy kilka miesięcy później Szydło została zmuszona do dymisji, prezydent nawet nie kiwnął palcem w jej obronie.

Współpracownik prezydenta: – Po wetach Kaczyński napuścił na Dudę wszystkich, żeby go złamać. Wszędzie szukał intryg. Mścił się na każdym, kogo podejrzewał o inspirowanie decyzji podjętych przez Dudę. Marcin Mastalerek, na którego zatrudnienie w Kancelarii Prezydenta prezes nie zgodził się w 2015 roku, już dwa lata później nieformalnie doradzał Andrzejowi. Brał między innymi udział w naradzie poprzedzającej weta. Ktoś doniósł na Nowogrodzką, że tam był i nawet namawiał Dudę do wyrzucenia do kosza tych ustaw. A że Mastalerek w tamtym czasie zatrudniał w Orlenie kumpel prezesa, czyli Wojciech Jasiński, ten dostał prikaz, żeby go natychmiast zwolnić. I tak się stało.

Ważny urzędnik: – Dudę ostro zaatakowała „Gazeta Polska”, Karnowscy. Oni to oczywiście musieli robić, bo siedzieli w kieszeni spółek Skarbu Państwa, na które prezydent nie ma żadnego, nawet nieformalnego wpływu. Kaczyński chodził zły jak osa, powiedział w jakimś wywiadzie później, że trzeba sprawdzić, czy prezydent jest nadal z PiS. Z drugiej strony wiedział, że Andrzej jeszcze co najmniej trzy lata będzie prezydentem, więc musiał się z nim jakoś ułożyć. No i zaczęli rozmawiać o nowych ustawach sądowych. Jarosław przyjeżdżał do Belwederu uzgadniać te projekty. Nie chciał rozmawiać w Pałacu Prezydenckim, bo po śmierci brata ma traumę i tam się nie pojawiał. To, że w ogóle przyjechał do Dudy, było jakościową zmianą. Przecież tuż po jego zaprzysiężeniu spotkali się, ale na Żoliborzu. To Andrzej przyjechał do niego. Kaczyński zresztą dość sprytnie rozegrał te negocjacje w sprawie sądów po wetach w 2017 roku. Duda był przekonany, że prezes przyjedzie do Belwederu nabuzowany i zacznie od frontalnego ataku na niego. Dlatego się spiął i w takim nastroju wszedł na te pierwsze rozmowy. Był nawet gotowy szybko je zerwać, jeśliby Kaczyński próbował go obrazić,

czy wręcz upokarzać. A tu się okazało, że Jarosław przyjechał z sercem na dłoni. Był do rany przyłoż. Ciśnienie spadło. To pokazuje, jak prezes potrafi zagrać, kiedy czegoś potrzebuje. Zagrać, ograć i oszukać. Potrafi też kłamać w żywe oczy. No i ostatecznie efektem tych rozmów były ustawy raczej niezbyt różniące się co do zasady od tych, które Duda wcześniej zawetował. Trochę stracił Ziobro na rzecz prezydenta, ale istota zmian została zachowana. Prezydent zmiękł również dlatego, że Kaczyński zasugerował mu w rozmowach, że niedługo to on zostanie premierem. A jeśli tak, to przekaże mu więcej kompetencji w polityce zagranicznej. Będzie mógł jeździć do Brukseli na unijne szczyty. Ale jak premierem został Morawiecki, to temat uciekł.

Znajomy Andrzeja Dudy: – Mam wrażenie, że Andrzej już nie miał siły na kopanie się z koniem. Dostał taki wpierdol od prawicowej prasy, od polityków PiS, których uważał za bliskich. Posłanka Joanna Lichocka na przykład wysyłała do niego SMS-y z pretensjami. Ludzie potrafili do niego pisać wiadomości w stylu: „Kim ty w ogóle jesteś? Coś ty zrobił? Zdradziłeś nas”. On nie ma mocnej konstrukcji psychicznej. Nie jest tak twardy, wbrew temu, co mówił na jednym z filmików, które krążą po sieci. Bardzo przeżył to, że został odepchnięty przez niektórych.

Człowiek z otoczenia prezydenta: – Andrzej jest przekonany, że to pisowcy opowiadali rzeczy, które potem się znalazły w „Uchu Prezesa”. Robili to za pośrednictwem Roberta Mazurka z RMF FM, który jest kumplem Roberta Górskiego. Te wszystkie historie o tym, że prezydent czeka w przedpokoju na spotkanie z Jarosławem...

Kamil Dziubka: – Niech pan nie żartuje. W „Uchu” po prostu namalowano symboliczny obraz prezydenta w oparciu o jego medialny wizerunek.

Człowiek z otoczenia prezydenta: – Niech mi pan wierzy... Mazurek ma szerokie kontakty w PiS-ie. To, co się pojawiało w tym serialu, było efektem między innymi spinu Nowogrodzkiej. Kaczyński chciał, żeby tak mówiono o prezydencie Polski. Z czystej zemsty, bo nie mógł się pogodzić z tym, że Andrzej mu się zerwał z łańcucha. Prezes kazał rozpuszczać plotki, że prezydent tak się zestresował, że parę kilo przytył, bo zaczął na potęgę żreć.

Poseł: – Kiedy w 2020 roku Kaczyński wchodził do rządu, uciekł z uroczystości zmian w gabinecie Morawieckiego, która odbywała się w ogrodach Pałacu Prezydenckiego. Po prostu. Odebrał od Dudy akt

powołania w skład Rady Ministrów, obrócił się na pięcie i poszedł. Później ktoś tam tłumaczył, że było chłodno i Jarosław się bał, iż się przeziębi. Prawda była taka, że on po prostu wręcz fizycznie nie był w stanie znieść sytuacji, w której przyjmuje coś z rąk Dudy i musi stać jak jakiś petent.

Pod żyrandolem

Członek sztabów wyborczych: – Pamiętam, jak na początku pierwszej kampanii Andrzeja Dudy zastanawialiśmy się razem z nim, jakie cechy przemawiają na jego korzyść. Wymienialiśmy: dobrze wyglądał, wykształcony, młody, lubiany, mówi po angielsku... A na to Andrzej: „No, z tym angielskim to nie przesadzajcie”.

Znajomy Andrzeja Dudy: – Prezydent niespecjalnie się przejmuje tymi podśmiejkami z jego angielskiego. Bo to są zwykle głosy ludzi, którzy nie są mu przychylni. Inna sprawa, że on moim zdaniem robi błąd, używając w wystąpieniach języka obcego. Nie ma takiej potrzeby. A on naprawdę dobrze mówi, ma bardzo duży zasób słów. Zna bardzo skomplikowane, specjalistyczne słownictwo. Natomiast gdy zaczyna publicznie się posługiwać tym językiem, to się zacina. Znam go i widzę, że mu się włącza jakaś blokada. On z Zełenskim rozmawia po angielsku dzień w dzień, wymieniają się informacjami dotyczącymi spraw wojskowych, nie ma z tym problemu. Kiedyś przyjechał do pałacu szef dużego zachodniego funduszu. Siedzieli razem godzinę i ani razu nie był potrzebny tłumacz. A przychodzi do mówienia publicznie o prostych rzeczach i ten problem się zaczyna.

Poseł: – Myślę, że Duda byłby o wiele lepszym prezydentem, gdyby miał mocną kancelarię. Niestety tak nie jest. Początkowo mówiło się, że jej szefem będzie Maciej Łopiński, który wcześniej przecież blisko pracował z Lechem Kaczyńskim. Odmówił. Oficjalnie chodziło o rekonwalescencję po operacji kręgosłupa, ale on po prostu chyba nie chciał pełnić tej funkcji u Andrzeja. Dostał mniej eksponowane stanowisko szefa prezydenckich doradców. Zresztą potem i tak się ewakuował do spółek. Po jego odejściu z kancelarii dość wąskie kanały komunikacyjne z Nowogrodzką prawie całkowicie zostały zasypane. On wcześniej był jednym z odpowiedzialnych za utrzymywanie relacji z Kaczyńskim.

Urzędnik: – Chyba najdziwniejszą postacią w Pałacu Prezydenckim był Marcin Kędryna. Taki charakterystyczny gość z długą, ciemną brodą. Straszny intrygant i krętacz. Nigdy nie odgrywał roli politycznej. Zajmował się nagrywaniem filmików telefonem i rozmawianiem z dziennikarzami. Dostarczał Andrzejowi plotki z miasta. To jest jego szkolny kolega, z którym przez prawie dwadzieścia lat nie miał kontaktu. Spotkali się przypadkiem niedaleko placu Trzech Krzyży w Warszawie i tak zaczęła się jego kariera u boku Andrzeja. Najpierw był jego asystentem w Parlamencie Europejskim, a potem poszedł do pałacu. Kędryna nie miał wydeptanych w PiS-ie ścieżek. Po pewnym czasie ludzie życzliwi prezydentowi zaczęli go przekonywać, że Kędryna ma destrukcyjny wpływ na przekazy Pałacu Prezydenckiego. Wypuszczał do mediów informacje, podkreślając przy okazji swoją rzekomą rolę w jakichś wydarzeniach. Wypaplał w jakimś wywiadzie, że do jednego z ministrów codziennie kelner niesie tacę, choć ma w biurze ekspres. Po co gadać takie rzeczy?

Posel: – Polityka medialna na początku prezydentury Dudy to był dramat. Andrzej wziął do pałacu kilka młodych osób, które miały dla niego obsługiwać media społecznościowe. Jedna dziewczyna raz wrzuciła z oficjalnego profilu kancelarii wpis, z którego wynikało, że prezydent jest zwolennikiem odebrania gdańskiemu lotnisku imienia Lecha Wałęsy. Problem w tym, że Duda niczego takiego nie powiedział. Wpis szybko zniknął, ale wybuchła afery. Dziewczyna musiała publicznie przeproszać.

Urzędnik: – Rwaliśmy sobie włosy z głowy, jak prezydent wieczorami zaczynał sam tweetować. Pisał do jakichś młodych panien. Pocieszał, jak zerwały z chłopakiem, instruował je, jak poprawić sobie nastrój. Jedna, z którą wymieniał wpisy, obiecała nawet, że się rozbierze, jak on podpisze jakąś tam ustawę.

Były współpracownik prezydenta: – W pierwszym roku prezydentury Duda chyba kilkadziesiąt razy latał na weekendy do Krakowa. Czasami miałem wrażenie, że więcej siedzi w Małopolsce niż w Pałacu Prezydenckim. Nawet na kilka godzin potrafił się wyrwać. A to córkę odwiedził, a to rodziców, a to znajomych. No i oczywiście czmychał na narty. Na początku się śmialiśmy: „Zobaczycie, zaraz w pałacu instruktora jazdy zatrudni”. I co? Zatrudnił gościa od nart jako doradcę do spraw sportu. Wydaje mi się, że prezydent w tym pierwszym okresie urzędowania wręcz szukał okazji, żeby uciekać z Warszawy i polityki. Ten Kraków i te narty to był jakiś sposób. I tak do niego to przyłgnęło, że w trakcie pandemii koronawirusa poszła wśród

posłów plotka, że Duda poleciał na trzy dni do Kanady na narty, kiedy w Polsce stoki były zamknięte. Wiem, że to opozycja sprawdzała, bo do nas też te plotki doszły.

Współpracownik prezydenta: – Andrzej nie mógł się zdecydować, w którą iść stronę. Nie wiedział, czy w ogóle budować swoją podmiotowość. Bo to oznaczałoby konieczność poszukiwania sojuszników w PiS albo wśród tych, którzy z jakichś powodów znaleźli się na marginesie partyjnej polityki. On nie miał do tego głowy. W kancelarii wybuchały nieustanne konflikty. Nieszczęściem Andrzeja było to, że kluczową osobą w pałacu był Krzysztof Szczerski, który marzył o karierze międzynarodowej. On nie mógł się konfliktować z Nowogrodzką, bo to od Kaczyńskiego zależało, czy dostanie posadę za granicą, czy nie.

Urzędnik: – Szczerski, ksywka Szczery, próbował otorbić prezydenta. Jeździł z nim na wszystkie wyjazdy zagraniczne. To był zresztą prosty i sprytny pomysł. W trakcie takich podróży jest mnóstwo przestrzeni do bezpośredniej rozmowy. Samolot, hotel, transfery na lotnisko i z lotniska. Jak zorganizujesz dobry hotel z fajną obsługą, to zyskujesz w oczach głównego gościa. Takich przykładów było więcej. Tego otorbiania inni mieli szybko dość. Szefowa kancelarii Małgorzata Sadurska w pewnym momencie znalazła się na kursie kolizyjnym ze Szczerskim i odeszła po niecałych dwóch latach pracy. Po pierwsze, miała już trochę dość użerania się z nim, po drugie, była w pałacu z nadania Nowogrodzkiej i nigdy z Andrzejem nie miała specjalnie bliskich relacji. Po trzecie, chciała zarobić trochę pieniędzy i poszła do spółek. Parę banieczek jej wpadło od tego czasu.

Minister: – Szczerski chciał zostać szefem MSZ. Miał jednak pecha. Nie mógł być ministrem u Szydło, bo ona go nienawidziła. Znała go z okręgu chrzanowskiego. Beata go uznawała wręcz za robaka. Ale Morawiecki, który w 2017 roku został premierem, też go nie chciał, bo on siebie samego uważa za najlepszego ministra spraw zagranicznych. Natomiast przy zmianie rządów rzeczywiście była pewna szansa dla Szczerskiego na tekę w MSZ, ale Krzysiek przelicytował. Chciał jeszcze dodatkowo być wicepremierem. I na to się już nie zgodził Kaczyński. Chyba dobrze się stało dla Szczerskiego, bo Morawiecki by go traktował jak popychadło.

Znajomy Andrzeja Dudy: – Życie partyjne straszliwie nudziło Andrzeja, kiedy funkcjonował w parlamencie. Nie ma też cierpliwości do ludzi, którzy go szybko męczą. A polityk niestety powinien umieć rozmawiać z każdym.

Kaczyński to potrafi. On doskonale wie, z kim ma do czynienia, kogo w obozie ma dobrego, kogo z potencjałem, kto jest debilem. I ze wszystkimi sobie radzi. A Andrzej ma takie poczucie, że on by z tymi debilami na dłuższą metę zwariował. Dlatego nie wierzę w to, że on ma jakiegokolwiek ambicje bycia liderem partii czy przywódcą jakiegoś środowiska. On nie ma na to ani papierów, ani najmniejszej ochoty. Jak chcesz być liderem partyjnym, to musisz mieć dużo wyrozumiałości wobec ludzi. To jest straszne, bo to jest nieustanne cierpienie. To jest samotność w podejmowaniu decyzji. Możesz słuchać miliona doradców, otaczać się kilkudziesięcioma „Markami Suskimi”, a wiesz, że ostatecznie i tak to ty musisz powiedzieć „idziemy tu”.

Pierwsza dama

Urzędnik: – Dla Agaty start Andrzeja to był wielki stres. On dopiero co został europoseł z bardzo dobrą pensją. To oznaczało jakąś większą stabilizację niż do tej pory, bo wcześniej Duda w polityce kokosów nie zarabiał. Ona jako nauczycielka tym bardziej. Mieszkali w trzypokojowym mieszkaniu w Krakowie. I to nie były żadne luksusy. Ona sama stała się wtedy nagle obiektem zainteresowania mediów. Dziennikarze pojawili się w szkole, w której uczyła. Natomiast myślę, że wbrew plotkom, które się później pojawiały, jej spodobało się bycie pierwszą damą. Jeździ po świecie, ma swój gabinet, asystentkę, sekretarkę, pełną obsługę.

Były współpracownik prezydenta: – Niektórzy plotkowali, że Agata złożyła papiery rozwodowe w sądzie, ale nawet jeśli mieli jakieś problemy małżeńskie, to jeszcze przed kampanią w 2015 roku temat ucichł. Miałem okazję obserwować ich z bliska i nigdy nie widziałem scen, które pozwoliłyby na stwierdzenie, że to jest małżeństwo w kryzysie. Jak to w życiu, zdarzały się różne spięcia, ale nie tego typu.

Współtwórca kampanii wyborczych: – Nie chcę powiedzieć, że Andrzej jest pod jej butem, ale ona jest typem nauczycielki również w codziennym życiu. Jak nauczycielka wydaje polecenie dzieciom, to one jej słuchają. Jej zdanie dla prezydenta jest niezwykle ważne. W kampanii bardzo często do siebie dzwonili.

Współpracownik prezydenta: – Agata wypełnia rolę prezydentowej tak jak sama tę rolę widzi. Ona się angażuje bardzo na przykład w pomoc

charytatywną, ale absolutnie nie chce tego robić z udziałem mediów. Przez pewien czas uczyła niemieckiego. Do pałacu przychodziły dzieci na jej lekcje. Potem miała przerwę, ale teraz do tego znowu wróciła. Nie chciała stracić kontaktu ze zwykłym życiem.

Kamil Dziubka: – A jaki ma światopogląd?

Współpracownik prezydenta: – Myślę, że w głównym nurcie PiS by się nie zmieściła. Zresztą ona nie bardzo może mieć tego typu poglądy, bo pochodzi z domu, w którym przeważała inna wrażliwość. Ojciec poeta, brat poeta o mocno lewicowym światopoglądzie. Córka ma zdecydowanie bardziej liberalne poglądy niż Andrzej. I to jest fakt. Ona mu mówi o różnych rzeczach, stara się go przekonywać do pewnych spraw. Żona zresztą też. Tak było na przykład dwa razy w sprawie lex Czarnek. Za pierwszym razem prezydent doszedł do wniosku, że ten projekt uderza bezpośrednio w to, co on mówił w kampanii. A mówił, że to rodzice powinni decydować o tym, co dzieje się w szkołach ich dzieci. „Rodzice decydują”. Z takim hasłem szedł po zwycięstwo. No i zawetował ustawę, ale z takim uzasadnieniem, że robi to w imię spokoju społecznego. Za drugim razem Czarnek postanowił, że będzie konsultował ustawę z ministrami prezydenckimi. I po roku tych uzgodnień przyjechał do pałacu, żeby się upewnić, że nie będzie drugiego weta. Prezydent mu wtedy powiedział, że ustawę podpisze. No i wtedy do akcji znowu wkroczyła Agata, która od początku była przeciwna tym zmianom. Andrzej uznał ostatecznie, że to jest lewacka ustawa. Lewica na całym świecie chce, żeby urzędnicy wchodzili z buciorami do szkół i decydowali za rodziców, a to jest clou lex Czarnek. Prawica walczy o coś zupełnie innego. Poza tym to prawo przed niczym by nie chroniło. Przecież w miejsce kuratora Nowak z Krakowa za chwilę może wejść ktoś o zupełnie innych poglądach. I co wtedy? No i prezydent znowu dał weto. Potem Czarnek rozpowiadał wśród posłów, że do Dudy zadzwonił sekretarz stanu USA Antony Blinken i obiecał, że Andrzej dostanie posadę w strukturach międzynarodowych w zamian za weto, bo to jest ważne dla środowisk LGBT.

Reelekcja

Współtwórca kampanii wyborczych: – W 2020 roku Duda nie miał dobrego wejścia w kampanię. Klimat w jego sztabie niczym nie przypominał atmosfery z 2015 roku. Panował chaos. Prezydent dał sobie wsadzić na

szefową sztabu kobietę, której nikt nie znał. Potem media ujawniły, że w 2018 roku roznosiła jakieś ulotki w trakcie trwania ciszy wyborczej i ugryzła w rękę człowieka, który chciał ją powstrzymać. Tłumaczyła się, że tylko się broniła, ale mleko się rozlało. Początek zmagania o reelekcję to był ewidentny falstart i być może Kaczyński próbował to wykorzystać.

Polityk PiS: – Jarosław w gronie najbliższych współpracowników po akcji, jak Duda zażądał odwołania Jacka Kurskiego z TVP, zaczął na głos rozważać zmianę kandydata na prezydenta. To była rozmowa w stylu: „A może ty, Beata, wystartujesz? A może ty, Mateusz?”. Żeby była jasność... Oboje od razu odmówili. No ale prezes ciągnął temat. Powiedział do Morawieckiego: „Mateusz, ale w gruncie rzeczy dlaczego nie? Przecież byłbyś świetnym prezydentem”. I teraz są dwie interpretacje tej sytuacji. Pierwsza, że realnie był wkurzony na Dudę i chciał pójść z nim na frontalną wojnę. Ale ludzie, którzy dobrze znają Kaczyńskiego, uważają, że chciał trochę wypuścić Morawieckiego i Szydło, żeby sprawdzić, jak zareagują. Natomiast taka rozmowa się odbyła.

Współpracownik prezydenta: – Andrzej zadzwonił wtedy do Jarosława Gowina z pytaniem, czy gdyby była taka potrzeba, pomógłby mu w zbieraniu podpisów. Gowin powiedział, że ma ludzi i to nie będzie problem.

Współpracownik Jarosława Gowina: – Do Gowina bladym świtem zadzwonił osobiście prezydent i zapytał, czy Porozumienie gotowe byłoby zebrać dla niego podpisy, ponieważ ma informację, że Kaczyński rozważa wycofanie poparcia dla niego i wystawienie Morawieckiego. Nowogrodzka zaczęła nawet puszcząć w miasto plotkę, że zrobili badania i okazało się, że po wprowadzeniu tych wszystkich funduszy covidowych dla przedsiębiorców Morawiecki bardzo mocno zyskał wizerunkowo. Gowin obiecał Dudzie, że jeżeli trzeba będzie, to zbierze te podpisy, tym bardziej że nasi ludzie uczestniczyli w kampanii zbierania podpisów i mieli ich już wtedy blisko sto tysięcy niezależnie od PiS.

Współpracownik prezydenta: – Ale tak naprawdę Duda niespecjalnie wierzył w to, że Kaczyński decyduje się na wymianę kandydata. No i się nie zdecydował. Bo on może sobie gadać różne rzeczy na Nowogrodzkiej, prowadzić swoje małe gierki, ale na końcu jednak nie jest wariatem. Jednak to pokazało, jak bardzo żądanie wywalenia Kurskiego go wkurzyło.

Były współpracownik Andrzeja Dudy: – Chyba najgorszy był okres pomiędzy wetami do ustaw sądowych w 2017 roku a początkiem kampanii w 2020 roku. Duda był totalnie wyczerpany wojną z Kaczyńskim. Zdał też sobie sprawę z tego, że nie może iść na frontalne zderzenie z Nowogrodzką, bo ktoś musi mu sfinansować kampanię reelekcyjną. No przecież ze zrzutek by tego nie zrobił. Poza tym jego otoczenie bardzo wtedy się przerzedziło. Odszedł jego rzecznik Krzysztof Łapiński, który był jednym z najsensowniejszych gości, jacy pojawili się w Pałacu Prezydenckim po 2015 roku. Przez lata pracował przy najważniejszych kampaniach, miał doświadczenie partyjne, znał słabe punkty Kaczyńskiego, co było cholernie istotne. Ale był sekowany przez Szczerskiego, który go wyciął z zagranicznych podróży prezydenta. Ostatecznie stwierdził, że ma dość i idzie zarabiać pieniądze na wolnym rynku. Dla mnie symbolem kryzysu głowy państwa w tamtym okresie była sytuacja, do której doszło w jakiejś małej miejscinie. Duda miał tam spotkanie z mieszkańcami i w pewnym momencie jakiś człowiek zaczął do niego wołać: „Panie prezydencie, tutaj nam zakład zatrudniający dwieście osób zamykają”. I wie pan, co usłyszał w odpowiedzi? „Spokojnie, otworzą następny”. Powiało wtedy końcówką prezydentury Bronisława Komorowskiego, która była pełna wpadek. Zaczęliśmy się bać.

Współtwórca kampanii wyborczych: – Skąd pomysł na wątek LGBT w kampanii w 2020 roku? Chodziło o zderzenie z podpisaną przez Rafała Trzaskowskiego w Warszawie kartą LGBT. Dzień przed Bożym Ciałem prezydent przedstawił Kartę Rodziny. Niestety to się wymknęło spod kontroli, kiedy Czarnek powiedział o ludziach LGBT, że oni nie są równi ludziom normalnym.

Kamil Dziubka: – Prezydent to przecież powtarzał po nim...

Uczestnik kampanii prezydenckiej: – Prezydent powiedział co innego. Mówił, że „LGBT to nie ludzie, to ideologia”. To był skrót myślowy, przyznaję, że niezbyt fortunny. Natomiast cała akcja była świadoma. Chodziło o polaryzację, bo to nam dawało szansę. To nie była łatwa kampania dla Andrzeja, bo na nim się skupiła cała nienawiść do PiS, TVP, obciążenie latami rządów. Kiedy do gry wszedł Rafał Trzaskowski, było jasne, że tamta strona będzie zmobilizowana i pójdzie tłumnie do wyborów. Naszych trzeba było zmobilizować, nie patrząc na tamtych, bo tamci i tak byli zmobilizowani. Co ciekawe, osobą, która początkowo bała się pójścia w tę stronę, był Morawiecki. Wolał spokojniejszą kampanię, ale nie miał racji. Trzeba to było

zrobić i ponieść pewne koszty, które ostatecznie okazały się mniejsze od zysków. Na pewno jednym z tych, którzy opowiadali się za ostrzejszym kursem, był Joachim Brudziński.

Szarża na TVN

Współpracownik Andrzeja Dudy: – Prezydent nie miał żadnych wątpliwości w sprawie lex TVN od samego początku. On od dnia, kiedy ten projekt wpłynął do Sejmu, wiedział, że tego nie podpisze.

Poseł: – Georgette Mosbacher, jak jeszcze była ambasadorką z nadania Donalda Trumpa, mówiła Kaczyńskiemu w bezpośredniej rozmowie, że TVN jest nie do ruszenia. A on jej próbował tłumaczyć, że to jest stacja założona przez ubecję.

Współpracownik Jarosława Gowina: – Słyszałem, że lex TVN to był pomysł Jacka Kurskiego. Jarosław Gowin się zapienił, jak usłyszał od Kaczyńskiego, że PiS chce to przeforsować. W tym czasie do Polski przyjechała amerykańska sekretarz handlu i spotkała się z Gowinem. Powiedziała mu, że jeśli ta ustawa przejdzie, Polska zacznie być traktowana jak kraj o statusie zbliżonym do Białorusi. A to jeszcze było wiele tygodni przed przekazaniem przez USA ostrzeżenia dotyczącego możliwej inwazji Rosji na Ukrainę.

Bywalec Nowogrodzkiej: – Namawiał do tego Kurski, namawiał Adam Bielan. To oczywiście trochę dziwne, bo Bielan jest mocno proamerykański i ma kontakty w Stanach.

Urzędnik: – Wszystko zaczęło się od Witolda Kołodziejskiego, który był szefem Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji. W pewnym momencie zaczął analizować ustawę o radiofonii i telewizji. Zobaczył, że jest luka dotycząca właścicieli stacji telewizyjnych. Były wątpliwości co do tego, kto może mieć w Polsce koncesję na nadawanie. Kołodziejski stwierdził, że w obecnym stanie przepisów kanał telewizyjny będą mogli kupić nawet Rosjanie, którzy sobie założą spółkę w schowku na miotły na lotnisku w Amsterdamie. I ta luka naprawdę jest. Jemu chodziło tylko o doprecyzowanie przepisów, a nie wysadzenie w powietrze TVN. Ale on jest umiarkowany, a większość ówczesnej rady taka nie była. Jeden z jej członków, związany z Radiem Maryja, na którymś posiedzeniu podchwycił temat i powiedział: „Jak to? Ja

mam dać koncesję dla TVN24? Nigdy”. Kołodziejski odpowiedział: „No ale mamy w ogóle nie dać? Przecież to jest stacja, która ma mnóstwo widzów”. Tak się zaczęła afera.

Współpracownik Andrzeja Dudy: – Prezydent wiedział, że zawetuje ustawę, zastanawiał się tylko, czy dać jasny sygnał w trakcie przemówienia piętnastego sierpnia, czy pierwszego września. Tylko tego dotyczył dylemat. Doszedł do wniosku, że najlepiej jest to zrobić bardzo szybko. Miał podjętą decyzję i wtedy swoje trzy grosze postanowił dorzucić Jarosław Gowin, który ogłosił publicznie, że jest umówiony z prezydentem, żeby rozmawiać o tej ustawie. A wiadomo już było, że zostanie zdymisjonowany z funkcji wicepremiera i członka rządu. Postanowiliśmy go utemperować, żeby nie wyszło, że to on przekonał Andrzeja Dudę do weta. Wykorzystaliśmy do tego uroczystość wręczenia aktu odwołania go z rządu. Każdy może sobie wybrać, czy stanie się to publicznie, czy nie. Gowin nie chciał obsługi medialnej. Przyszedł do Pałacu Prezydenckiego bez krawata, po czym zorientował się, że my jednak zaprosiliśmy kamery. Zrobiliśmy to z premedytacją. Daliśmy mu nawet krawat, żeby nie czuł się dziwnie. Prezydent powiedział wtedy przy kamerach, że z nim się nie spotka w sprawie lex TVN, bo nie wie, czy Gowin jest nadal częścią obozu prawicy, czy już totalnej opozycji. Dzień później Andrzej Duda wystąpił w trakcie uroczystości Święta Wojska Polskiego i powiedział, że stoi na straży konstytucyjnych zasad, jak wolność słowa, i że umów należy dotrzymywać. Proszę sobie przypomnieć, co było potem. Sejm uchwalił ustawę, wysłał do Senatu. Senat ją odrzucił i wróciła do Sejmu, po czym wylądowała na kilka miesięcy w zamrażarce, bo Nowogrodzka dostała od nas jasny przekaz: nie macie po co tego w ogóle do nas przesyłać.

Kamil Dziubka: – Tak było przez kilka miesięcy. Po czym Amerykanie w listopadzie przyjeżdżają do Warszawy i przedstawiają konkretne informacje o planach rosyjskiej agresji na Ukrainę. Miesiąc później PiS wyciąga z zamrażarki lex TVN, choć wiedzieli, że to jest oczko w głowie Amerykanów. Dlaczego tak się stało?

Współpracownik prezydenta: – Niech mi pan wierzy, prezydent też tego nie wie. Był zszokowany. Zwłaszcza że dał jasny sygnał, jak się zachowa. I nie dlatego że wiedział, iż będzie wojna. Po prostu tak uważał. To był absurd ze strony Kaczyńskiego. Weto było naturalne i zgodne z zapowiedziami.

Wiceminister: – Pan prezydent powinien był poszukać odpowiedzi w swojej kancelarii. W tym czasie jego minister Jakub Kumoch chodził po

mieście i mówił, że trzeba Amerykanów skopać po dupie. Być może to przekonało kogoś na górze u nas, że Duda może jednak dać zielone światło. Dopiero potem się okazało, że Kumoch wyrażał własne poglądy w tej sprawie, a nie prezydenta.

Minister: – Nie rozumiałem tej szarży, gdyż ona była nie do wygrania. Nie wiem, czemu to miało służyć. Pamiętam tylko, że już po tej całej akcji doradca Dudy Andrzej Zybertowicz powiedział, że w sumie dobrze się stało, bo to nam pozwoliło nawiązać lepsze relacje z Amerykanami. Oni nas zaczęli bardziej słuchać. Zybertowicz też uważa, że Duda dostał gwarancję nietykalności w TVN, więc ugrał swoje. Ja tak nie uważam, ale skoro on tak myśli...

Urzędnik: – Już po wecie do lex TVN pojawił się problem decyzji w sprawie koncesji dla TVN7. No i znowu była ta sama gadka. Ci skrajni członkowie Krajowej Rady nie chcieli jej dać. A już było coraz bardziej prawdopodobne, że Rosjanie zaatakują Ukrainę. Nawet prezydencyjni członkowie rady musieli być osobiście przekonywani przez prezydenta. Jeden z nich stał kiedyś przy oknie w budynku KRRiT, zaciągał się papierosem i mówił: „Eeee, ci ruscy tam nie wejdą”. Rozumie pan? Stosunki ze Stanami Zjednoczonymi u progu wojny zależały od teorii gościa, który sobie popalał przy oknie. Rada przyklepała tę koncesję dopiero w dniu przyjazdu amerykańskiego sekretarza obrony, który ogłosił sprzedaż Polsce czołgów Abrams.

Wiceminister: – Myślę, że było w tym dużo chęci odegrania się.

Kamil Dziubka: – Na kim?

Wiceminister: – Na Amerykanach. Wiem, że to teraz dziwnie brzmi, ale myślę, że prezesowi Kaczyńskiemu mocno w pamięć zapadły połajanki, jakie nam fundowała administracja USA w końcówce rządów Obamy. Prezes wtedy spotkał się z ówczesnym ambasadorem Stanów w Polsce. Kaczyński był wściekły po tej rozmowie. Mówił, że Amerykanie mu dali do zrozumienia, iż Polska nigdy nie będzie Turcją, więc nie pozwolą na to, żeby tu się pojawił drugi Erdogan. Choć myślę, że w gruncie rzeczy prezes nie wierzył, że ustawa krępująca TVN w ogóle zacznie działać.

Wojna

Poseł: – Przepraszam, bo to może zabrzmieć niezręcznie, ale ta Ukraina spadła Dudzie z nieba. On przez półtora roku od ponownego wyboru na prezydenta nic nie robił. Jego głównym zajęciem było wybieranie, do którego ośrodka prezydenckiego pojedzie i czy weźmie narty wodne, czy jednak te śnieżne.

Wiceminister: – Trzy tygodnie po ataku Rosji na Ukrainę wybuchła awantura na linii rząd – prezydent, o której do dziś mało kto wie. Powodem kłótni była kolejowa podróż do Kijowa Kaczyńskiego, Morawieckiego i premiera Słowenii. To było absolutnie brawurowe i ryzykowne, bo ruscy stali wtedy pod Kijowem i zagrożenie było ogromne.

Kamil Dziubka: – Awantura była o to, że podróż w takich warunkach to niepotrzebne ryzyko?

Wiceminister: – Nie. Duda się wkurzył, bo nic o tej podróży nie wiedział. Dostał sygnał w ostatniej chwili. Morawiecki zadzwonił do niego, kiedy wsiadał do pociągu w Przemyślu. Powiedział: „Andrzej, chciałbym cię poinformować, że jedziemy do Kijowa i rano spotkamy się z Zełenskim”. Prezydent był wściekły, bo jest trochę zazdrosny o relację z prezydentem Ukrainy. Natomiast dyskrekcja była konieczna ze względów bezpieczeństwa. W to było zaangażowane dość wąskie grono najważniejszych urzędników, w tym Mariusz Błaszczak jako szef MON, bo trzeba było zabrać na Ukrainę żołnierzy GROM. Mówiąc delikatnie, nie mieliśmy pełnego zaufania do szczelności Kancelarii Prezydenta.

Współpracownik Andrzeja Dudy: – Prezydent nie jest o nic zazdrosny, tylko uważał, że powinien być informowany o takich rzeczach w pierwszej kolejności. Bo jest głową państwa. Poza tym co oni osiągnęli tą podróżą? Wszyscy pamiętają dziwną propozycję Kaczyńskiego, który mówił coś o misji pokojowej NATO. Z nikim tego wcześniej nie konsultował i jedyny efekt, jaki osiągnął, to zmieszanie po ukraińskiej stronie i śmiech w Polsce. To było niepoważne. Prezes wyraźnie nie posiada zdolności wyczucia historycznego momentu. To miał jego brat, kiedy wygłaszał historyczne przemówienie w Tbilisi w 2008 roku, kiedy na stolicę Gruzji jechały rosyjskie czołgi.

Współpracownik Andrzeja Dudy: – Prezydent szedł w sprawie Ukrainy drogą Lecha Kaczyńskiego, czyli trochę wbrew Nowogrodzkiej. Nie miał dobrych relacji z Poroszenką, czyli poprzednim prezydentem, ale czynił gesty

w tamtą stronę, tyle że tamci nie byli specjalnie zainteresowani ociepleniem stosunków. A jak Zełenski został prezydentem, to już po trzech miesiącach był w Polsce. Potem Duda pojechał do Kijowa i po wszystkich oficjalnych punktach programu prezydenci pojechali coś zjeść. Siedzieli w restauracji w ogrodzie. To była długa rozmowa nie tylko o polityce, ale też o rodzinach, dzieciach. To wtedy zaiskrzyło między nimi. A potem było spotkanie w prezydenckim pałacyku w Wiśle, tuż przed wojną. Długo wtedy siedzieli, spacerowali w zimowej aurze, jakiś alkohol się pojawił.

Wiceminister: – W Wiśle oni tam sobie miło spędzali czas i się dogadywali. To prawda. Ale żadnego przełomu nie było. Przełom zasadniczy w relacjach z Ukraińcami nastąpił po wybuchu wojny i tak naprawdę był konsekwencją z jednej strony reakcji społeczeństwa polskiego, z drugiej strony postawy rządu polskiego.

Współpracownik Andrzeja Dudy: – Wszyscy będą teraz wypinać pierś do orderów i deprecjonować rolę prezydenta w relacjach z Ukrainą. Ale to chemia między Dudą a Zełenskim pozwoliła wprowadzić stosunki Warszawa – Kijów na zupełnie inny poziom.

Minister: – Amerykanie i Brytyjczycy byli jedynymi, którzy mówili, że prawdopodobieństwo wybuchu wojny jest duże i cały czas wzrasta. Ten ton był coraz bardziej alarmistyczny, natomiast bardzo długo nie mówili wprost: „Tak, będzie wojna, wyciągajcie z magazynów, co macie, i wysyłajcie na Ukrainę”. W listopadzie 2021 roku przyjechała do Polski szefowa wywiadu USA i przekazała konkrety, ale niczego nie przesądzała.

Urzędnik: – Dwa tygodnie przed jej wizytą Amerykanie udostępnili nam część danych poprzez swoją ambasadę kierowaną wówczas przez chargé d'affaires, bo Mark Brzezinski był wtedy jeszcze przed objęciem funkcji ambasadora. Inna sprawa, że bardzo przeciągaliśmy mu zgodę na przyjazd. No ale komunikat był jasny: Rosjanie szykują wojnę na pełną skalę, z zajęciem całej prawobrzeżnej Ukrainy włącznie ze zdobyciem Kijowa. Amerykanie uważali, że Rosja chce kontrolować dwie trzecie powierzchni kraju. Atak miał pójść ze wszystkich stron, w tym z Białorusi. To było szokujące. Można wtedy było sobie wyobrażać, że Kreml rozważa włączenie do Rosji Donbasu, tak jak wcześniej stało się z Krymem. Jednak informacje, które zostały wtedy nam przekazane, przekraczały granice wyobraźni.

Współpracownik Andrzeja Dudy: – Kiedy Putin ogłosił uznanie niepodległości separatystycznych republik we wschodniej Ukrainie, prezydent powiedział: „Jedziemy do Kijowa”. Złapaliśmy się za głowy. Ale Duda nie odpuścił. Ta wizyta spędzała sen z powiek służbom. Nie chcieliśmy lecieć samolotem. Pojechaliśmy tam samochodami. Było już wtedy jasne, że Rosjanie idą na całość. Co ciekawe, pojechał z nami również prezydent Litwy Gitanas Nauseda. Wyjechaliśmy razem z nim nad ranem z hotelu blisko granicy. Jak pan sobie przejrzy zdjęcia z tej wizyty, to tak, jakby pan oglądał fotografie, na których uwieczniono nieistniejący świat. No bo tam Zełenski jest ubrany w garnitur, białą koszulę i krawat. I jest ogolony. On na odchodnym powiedział Dudzie, że spodziewa się ataku w ciągu kilkunastu godzin. Stwierdził też, że być może jest to ich ostatnie spotkanie. Wtedy Andrzej odpowiedział: „Bzdura. Spotkamy się jeszcze wiele razy”. Do Polski też wracaliśmy samochodami. Pamiętam, że zatrzymaliśmy się na stacji benzynowej w jednej z miejscowości na zachodniej Ukrainie. Potem się dowiedzieliśmy, że na tę miejscowość kilkanaście godzin później spadły rosyjskie rakiety. W Warszawie byliśmy przed północą. A bladym świtem trzeba było obudzić prezydenta, bo się zaczęło. Chwilę później Duda rozmawiał z Zełenskim. A potem rozmawiali już codziennie, najczęściej późnym wieczorem.

Dyplomata: – Zełenski załatwiał z Dudą też bardzo konkretne sprawy. Kiedyś zadzwonił do niego z prośbą, żeby prezydent pomógł, bo na lotnisku w Rzeszowie utknął dron przywieziony z Turcji dla ukraińskiej armii. Nie miał go kto rozładować i przepakować na podróż koleją na wschód. Jakiś burdel się na tym lotnisku zrobił, bo jedna zmiana poszła do domu, a drugiej jeszcze nie było. A dla Ukraińców każda minuta się liczyła. No i udało się to jakoś załatwić. Ale to pokazuje, że w tych pierwszych dniach i tygodniach było sporo chaosu.

Urzędnik: – Kilkanaście dni po wybuchu wojny odegraliśmy rolę w negocjacjach, które przez chwilę prowadzili Rosjanie i Ukraińcy. Delegację ukraińską na czele z szefem MON Ołeksijem Reznikowem z granicy polsko-ukraińskiej odebrały polskie śmigłowce z żołnierzami GROM-u na pokładzie. Wcześniej trzeba było załatwiać z Mińskiem zgodę na wlot tych maszyn w białoruską przestrzeń powietrzną bez jakichkolwiek formalnych pozwoleń, bo normalnie załatwienie papierów trwałoby tygodniami. Przewieźliśmy negocjatorów do Brześcia na Białorusi. Po wylądowaniu naprzeciwko naszych black hawków i GROM-owców z karabinami stali Rosjanie uzbrojeni

po zęby obok swoich Mi-17. Bardziej to nawet wyglądało jak przekazanie jeńców niż początek negocjacji. Z tego, co pamiętam, nie było czasu nawet na zdemontowanie całej broni pokładowej w naszych maszynach.

Urzędnik: – Nasze VIP-y już od wiosny 2022 roku regularnie jeździły do Kijowa. A nie jest to łatwa podróż. Leci się najpierw do Rzeszowa. Stamtąd samochodami trzeba się przemieścić do Przemyśla. W nocy wsiada się do pociągu. Są dwa postoje. Jeden na granicy, gdzie odbywa się kontrola celno-paszportowa, drugi już po ukraińskiej stronie, gdzie zmieniane jest podwozie na kompatybilne z szerokimi torami. Do Kijowa jedzie się całą noc. I prawie cały czas jest zupełnie ciemno, bo trasa prowadzi głównie lasami. Bliżej stolicy Ukrainy widać umocnienia, okopy. Prezydent i premier jeżdżą w kilkudziesięcioosobowej obstawie. Trzon ochrony stanowią funkcjonariusze Służby Ochrony Państwa, ale też jest bardzo dużo żołnierzy GROM. Nigdy nie nocuje się na miejscu. Pamiętam, że kiedy raz jechaliśmy przez Lwów, to akurat był alarm przeciwlotniczy.

Poseł: – Andrzej Duda ma szansę zostać zapamiętany przez pryzmat Ukrainy. I to byłoby jego wielkie szczęście, bo w rzeczywistości on nie miał żadnego swojego projektu. Oprócz nieudanego pomysłu referendum konstytucyjnego. Będzie też oczywiście zapamiętany przez to, że dwa razy wygrał wybory, w tym raz z urzędującym prezydentem, co do tej pory udało się tylko Kwaśniewskiemu. Jego problem polega na tym, że on głównie spinał się na kilka miesięcy w okolicach wyborów, potem na kampanię, a później długo to już była wyłącznie celebracja.

Rozdział III

„Chińczyk”



Mateusz jest maniakiem władzy. Emocjonalnie jest nastawiony na trzymanie się jej. Jemu chodzi tylko o to, bo pieniędzy już więcej nie potrzebuje. Oczywiście jest pytanie, czy jego marzeniem było zostać takim premierem, jakim jest. No bo on tej władzy realnie ma niewiele. I przez te lata w hierarchii obozu władzy przesunął się co najwyżej o milimetry.

Minister: – Wie pan, jaką ksywkę ma Morawiecki u niektórych ministrów? „Chińczyk”.

Kamil Dziubka: – A skąd się to wzięło?

Minister: – Nie jest to bardzo wyrafinowane, przyznaję. Niech pan spojrzy na niego. No on wygląda jak Chińczyk. Te rysy twarzy, oczy, które przez szkła okularów wyglądają jak skośne...

Kamil Dziubka: – Przyznaję. Niezbyt wyrafinowane.

Były współpracownik Mateusza Morawieckiego: – Mateusz powiedział kiedyś, że polubił bycie premierem. Rozumie pan? „Polubił”. Nie wiem, czy ktokolwiek normalny mógłby tak powiedzieć. Rozumiem, że można się do tego przyzwyczaić, ale polubić? Nie wydaje mi się, by Tusk lubił bycie szefem rządu. Myślę, że ta jedna wypowiedź dość dobrze pokazuje, jakim Morawiecki jest człowiekiem.

Bywalec Nowogrodzkiej: – Mateusz jest maniakiem władzy. Emocjonalnie jest nastawiony na trzymanie się jej. Jemu chodzi tylko o to, bo pieniędzy już więcej nie potrzebuje. Oczywiście jest pytanie, czy jego marzeniem było zostać takim premierem, jakim jest. No bo on tej władzy realnie ma niewiele. I przez te lata w hierarchii obozu władzy przesunął się co najwyżej o milimetry.

Minister: – Wie pan, co dla niego jest ważne? Urządził raz karczemną awanturę swoim ludziom. Poszło o obsługę wizyty w Warszawie szefa Rady Europejskiej Charles’a Michela. PR-owcy od Mateusza wymyślili, że po wszystkich oficjalnych punktach wizyty panowie chwilę pospacerują po warszawskiej Starówce. Jak premier zobaczył potem zdjęcia z tego spaceru, to dostał szału. Prawie na każdej fotografii pierwsze skrzypce grali ochroniarze. Morawiecki opieprzył potem tych swoich harcerzy. Dostało się też... ochroniarzom. Uznał, że brzydko wygląda na tych zdjęciach, i efekt był

odwrotny do zamierzonego. Sprawa oparła się o kierownictwo Służby Ochrony Państwa. Szef SOP dosłownie się musiał kajać.

Trudny człowiek

Znajomy Mateusza Morawieckiego: – To jest trudny człowiek. Ciężko odnajduje się w trakcie spotkań towarzyskich. Często jest tak, że idzie w ką, bierze telefon do ręki i odpływa. Nie patrzy w oczy, w trakcie rozmowy ucieka w setki dygresji. Ten problem w relacjach na pewno po części wynika z tego, że się wychowywał praktycznie bez ojca. Jego wychowywał Wojciech Myślecki, działacz „Solidarności Walczącej” z Wrocławia, znajomy Kornela. To jest dość ciekawa postać. Już za czasów rządów AWS pracował w spółkach energetycznych. Kiedy PiS doszedł do władzy, znowu trafił do spółek. Dziś prowadzi swego rodzaju salonik, który odwiedzają politycy z różnych stron barykady. I proszę mi wierzyć, to są czołowe nazwiska, w tym szefowie obecnych i byłych służb. Nazywamy to salonikiem na Postępu, bo tam Myślecki rezyduje.

Poseł: – Mateusz musiał mieć przez pewien czas z Kornelem trudne stosunki, bo Kornel zostawił jego matkę. Syn z matką ma bardzo bliską relacje i osobiście odbiera to, że ta matka jest krzywdzona. To są potworne napięcia. A Kornel tych kobiet poza małżeństwem miał kilka. I to porzucenie nie pozostało bez wpływu na Mateusza. Zresztą Kornel miał potem syndrom ojca, który porzucił dziecko. I starał się mu wynagrodzić pewne rzeczy. Nie wiem, czy mu się to udało. Wiem, że dziadkiem był raczej słabym.

Minister: – W dniu nominacji Morawieckiego na premiera odezwał się Kornel. Przyszedł z propozycją zatrudnienia w ministerstwie jednej osoby. Ona ostatecznie nie została zatrudniona, ale ciekawa była sama rozmowa. Ojciec premiera przedstawił mi tę osobę jako dobrą, uczciwą, która może pomóc zmieniać Polskę. Uderzał właśnie w takie tony. Stwarzał wrażenie, że naprawdę nie ma złych, prymitywnych intencji, tylko cały czas podkreślał, że chodzi o jakieś wyższe dobro. Bardzo kulturalny, uprzejmy starszy pan. Tyle że przychodził z jakimiś dziwnymi ludźmi. Zresztą ktoś mnie wtedy ostrzegł, że jego otoczenie jest lekko podejrzan.

Menedżer: – Wie pan, kiedy wyszła ta zimna osobowość Mateusza? Kiedyś w Niemczech odpowiadał na pytanie izraelskiego dziennikarza. To

było w trakcie zamieszania dotyczącego ustawy o IPN. I ten dziennikarz przytoczył historię swojej matki, która miała złe wspomnienia wojenne z Polski. Część jej rodziny zginęła z powodu zadenuncjowania ich przez Polaków. W myśl tamtych przepisów ten dziennikarz za przytoczenie tej historii mógł zostać uznany za przestępcę. Wie pan, co Mateusz mu odpowiedział? Że w trakcie wojny, owszem, byli polscy sprawcy, ale byli i żydowscy. Wybuchł skandal. Morawiecki powinien był użyć jakichś delikatnych słów, zwłaszcza że chodziło o rodzinną historię tego dziennikarza. A zadziałał jak automat w myśl zasady: „Byleby odeprzeć oskarżenie”.

PR-owiec: – Mateusz ma dystans do ludzi. Jest oschły. Typowy introwertyk. To nie jest gość, którego po pierwszym spotkaniu poprosisz, żeby został chrzestnym twojego dziecka. A jednak potrafił zbudować relacje zarówno w świecie finansów, jak i w polityce. Do tego jednak było mu potrzebne stworzenie swoistej bańki, która da mu poczucie bezpieczeństwa. Dlatego właśnie otoczył się grupą młodych ludzi, dzieci i wnuków działaczy „Solidarności Walczącej”. Ci ludzie skakali wokół niego, zamknęli do niego dostęp, dzięki czemu mógł się poczuć pewnie.

Poseł: – Jest człowiekiem dość wycofanym, a jednocześnie bardzo czułym na swoim punkcie. Były rzadkie sytuacje, że któryś z parlamentarzystów poszedł do mediów i powiedział coś nie do końca zgodnego z linią rządu, przede wszystkim w sprawach gospodarczych. Wtedy Mateusz potrafił przez jakichś wspólnych znajomych przekazywać uwagi, że nie wypada krytykować własnego rządu.

Skąd on się wziął?

Prezes spółki: – On nie był prezesem banku dzięki zdolnościom biznesowym, tylko dzięki kontaktom środowiskowo-politycznym. Zresztą on dlatego też postanowił przeskoczyć do polityki, bo i tak by został usunięty z banku. Zmarł jego irlandzki patron, który z ramienia właścicieli banku czuwał nad polskim rynkiem, i było jasne, że bank będzie układany na nowo. To oznaczałoby odwołanie Mateusza z zarządu firmy.

Znajomy Mateusza Morawieckiego: – Mateusz budował sobie zaplecze poprzez kasę. Przepuszczał pieniądze bankowe przez kolejne fundacje, głównie konserwatywne, ale nie tylko. On inwestował przed 2015 rokiem w wielu polityków. Wśród nich był na przykład Jarosław Gowin. Żeby wejść

w politykę w późnym wieku, trzeba mieć środowisko i zasoby ludzkie, aby nie być niczym klientem.

Współpracownik Mateusza Morawieckiego: – Mateusz miał kontakty z Nowogrodzką jeszcze w czasach, gdy należał do rady gospodarczej przy Tusku. Dostał przecież nawet w 2013 roku propozycję objęcia teki ministra finansów po Jacku Rostowskim, ale nie był tym zainteresowany. Już wtedy czuł, że Platforma idzie na dno, i wolał zacząć się orientować na PiS.

Poseł: – Mateusza z Kaczyńskim poznał Jan Emeryk Rościszewski, który lata temu działał w Porozumieniu Centrum. Rościszewski w pewnym momencie na pewno był osobą z dostępem do ucha prezesa. Potem został prezesem PKO BP, a następnie wyjechał do Paryża na ambasadora.

Poseł: – Było takie spotkanie na Nowogrodzkiej z Jarosławem Kaczyńskim. Przyszedł Kornel Morawiecki z kilkoma ludźmi. No i w trakcie tej rozmowy Kornel rzucił do prezesa: „Dziecko moje”. On tak mówił do wszystkich, ale generalnie było to dość zabawne, kiedy siedemdziesięciosiedmiolatek zwrócił się w ten sposób do sześćdziesięciodziewięciolatka. Takich spotkań było więcej, bo Kornel miał relacje z Kaczyńskim od bardzo dawna. Co też ułatwiało Mateuszowi funkcjonowanie na Nowogrodzkiej po wejściu do polityki.

Prezes spółki: – Morawiecki znał się od lat między innymi z Rysiem Czarneckim, który w czasach AWS kierował Komitetem Integracji Europejskiej. Inna sprawa, że Rysio już wtedy był eurosceptykiem, więc był to dość specyficzny wybór personalny. Ale tych relacji na prawicy Mateusz miał sporo już wcześniej.

Minister: – Mieliśmy konwencję programową w Katowicach tuż przed wyborami w 2015 roku. Mateusz był odpowiedzialny za napisanie części programu, która dotyczyła gospodarki. Wtedy robił to jeszcze incognito. Proszę zwrócić uwagę, że on przecież nie startował wtedy w wyborach. Jego nazwisko zaczęło krążyć później. To znaczy, że chciał sobie zostawić furtkę na pozostanie w biznesie, gdyby jednak PiS nie rządziło.

Poseł: – Przed wyborami w 2015 roku Kaczyński właściwie w każdym wystąpieniu powtarzał, że najważniejsze będzie Ministerstwo Rozwoju, które będzie miało pod sobą najważniejsze spółki, a jego szef będzie wicepremierem. Szydło w kuluarach powtarzała, że na to stanowisko

szykowany jest Paweł Szałamacha. Nie wiedziała, że Jarosław jest już po słowie z Morawieckim.

Bywalec Nowogrodzkiej: – Morawiecki od początku budził emocje wśród kluczowych polityków PiS, bo jest banksterem spoza kręgu partii. On był związany długo z Platformą, zresztą był w radzie gospodarczej przy Tusku, więc związki z platformerskim establishmentem były oczywiste i jednoznaczne. Ale chyba kluczowe było to banksterstwo, czyli skojarzenie z sektorem, do którego PiS programowo był wrogo nastawiony. Ziobro dość szybko w prywatnych rozmowach zaczął sączyć opowieść o tym, że za Morawieckim ciągną się jakieś śmierdzące sprawy, niewyjaśnione afery. Z tym że konkrety wtedy nie padły.

Poseł: – Niektórzy w partii powtarzali spiskową teorię, że za nominacją Mateusza stało obce państwo.

Kamil Dziubka: – Jakie?

Poseł: – Izrael.

Kamil Dziubka: – Pan żartuje?

Poseł: – Nie, naprawdę niektórzy tak mówili. Kilka faktów im się składało do kupy. Po pierwsze, chwilę przed odwołaniem Szydło odbyła się kolacja z okazji święta Chanuka. Na zaproszenie Jonny'ego Danielsa, dość wpływowego człowieka z paszportem USA, Wielkiej Brytanii i Izraela, na spotkanie przybyli Piotr Gliński, Adam Bielan i właśnie Morawiecki. Po sieci krążyły zdjęcia z tej kolacji. Niektórzy uważali, że wtedy dopinano wymianę premiera. Kilka miesięcy później Polska ustąpiła Izraelowi w sprawie ustawy o Instytucie Pamięci Narodowej, która pozwalała ścigać tych, którzy oskarżają Polaków o współudział w Holokauście. To była mina, na którą nas wrzucił Patryk Jaki. On był twórcą tej ustawy i potem sam był przerażony, jakie to miało skutki. Mateusz i MSZ to odkręcili. Te sprawy oczywiście ze sobą nie miały kompletnie nic wspólnego, ale były osoby, które tak myślały. A na dodatek Kornel Morawiecki w jakimś wywiadzie powiedział, że ich rodzina ma żydowskie korzenie.

Minister: – Mieliśmy dyskusje na temat tego, skąd on się w ogóle wziął. One się wzmogły po tym, gdy został premierem. Trzeba przyznać, że wykonał tytaniczną pracę i godziny spędzone na Nowogrodzkiej u prezesa nie poszły

na marne. Jarosławowi nie przeszkadzało to, ile on ma pieniędzy na koncie, co w przypadku innych osób budziłoby wielkie podejrzenia. On nawet jeszcze dwa lata po wejściu do rządu miał akcje BZ WBK warte kilka milionów złotych. A przecież przez ten czas swoimi wypowiedziami jako minister rozwoju czy finansów mógł mieć wpływ na ich wartość. Sprzedał je z zyskiem dopiero wtedy, kiedy został premierem.

Bankster, ale nasz

Minister: – Kaczyński marzył o premierze, który ma wizerunek polityka europejskiego formatu, a jednocześnie konserwatywne poglądy. Bankster, ale nasz bankster, który przynajmniej w pewnym zakresie byłby akceptowalny na Zachodzie.

Poseł: – Jednym z głównych problemów Jarosława jest słaba znajomość świata, procesów globalizacji, zmian cywilizacyjnych, które się dokonują, i w ogóle pewnej zmiany paradygmatów, na których żoliborscy inteligenci byli wychowywani w czasach komuny jeszcze przez pokolenie pamiętające okres przedwojenny. Dla Jarosława to jest obcy świat. On też właściwie nie jeździł na Zachód. Nie włada żadnym językiem, nie ma kontaktów międzynarodowych. Uważa, że to załatwiają za niego inni. Z tego się bierze brak znajomości mechanizmów rządzących Unią Europejską. On to próbuje traktować w sposób emocjonalny, tymczasem po drugiej stronie są brukselscy technokraci. Z nimi nie trzeba się bić, tylko rozbierać problemy na czynniki pierwsze. Tak jak silnik. Rozbieramy go po kolei. Odkręcamy każdą śrubkę, wspornik, potem tłok i tak dalej. I stąd się wziął Morawiecki, który sprawiał wrażenie salonowca, który się poruszał wśród członków światowej finansjery jak w swoim naturalnym środowisku.

Bywalec Nowogrodzkiej: – Na tle Beaty Szydło jawił się jako panaceum na załatwienie za Kaczyńskiego tych wszystkich spraw. Przepraszam, że użyję takiego sformułowania, ale „babę ze wsi” miał zastąpić świetny menedżer w zachodnim stylu. Jarosławowi podsuwali tabloidowe zdjęcia męża Beaty, który taszczył jakieś wiadro, idąc przez tę ich wieś: „Jak to wygląda?”. A to na niego działało.

Członek władz PiS: – Już po roku, jak Szydło została premierem, pojawiły się pierwsze sygnały, że Mateusz wyjątkowo dużo czasu spędza na

Nowogrodzkiej. Do Szydło docierały te sygnały, ale chyba po prostu nie miała czasu zorientować się w sytuacji. Pewnie to był jej błąd.

Poseł: – Morawiecki przyjeżdżał do prezesa kilka razy w tygodniu. Potrafił siedzieć po trzy, cztery godziny. W trakcie tych spotkań wykuwało się jego premierowanie, tego jestem pewien. Jak mu się udawało łączyć to z kierowaniem Ministerstwem Rozwoju? Po pierwsze, do dziś nie bardzo wiadomo, czym się ono zajmowało, bo wielka strategia Morawieckiego, którą kiedyś pokazał na tych słynnych slajdach, nie została zrealizowana. Jednak wiem, że on przekonał prezesa tą swoją wielką wizją. Obaj świetnie znają historię, więc Morawiecki wiedział, jak to zrobić. Nawiązywał do wielkich projektów II Rzeczypospolitej. CPK to miała być druga Gdynia, program budowy promu, który miał powstać w Świnoujściu, nazywał się „Batory”, jak słynny transatlantyk zwodowany jeszcze przed II wojną światową.

Wiceminister: – On moim zdaniem chciał być premierem, zanim PiS doszło do władzy. Miał plan, który dość skutecznie realizował. Budował sobie zaplecze. On ma niesamowity ciąg na bramkę. Ale kluczem były oczywiście relacje z Jarosławem. Jemu chyba nawet udało się stworzyć z nim więź quasi-ojcowsko-synowską. Co ze względu na skomplikowane relacje Morawieckiego z Kornelem jest jakoś tam zrozumiałe.

Poseł: – Mateusz wiedział, jak wkradać się coraz mocniej w łaski prezesa. Kiedy zaczął się pojawiać na miesięcznicach smoleńskich, to od razu siadał w pierwszym rzędzie. Jeśli prezes szedł w marszu, obok niego był on. Jeśli prezesowi zabrakło akurat zniczy, to Mateusz od razu podawał mu dwa.

Minister: – Wiedział, że nie będzie w stanie zastąpić Tuska w Platformie, bo nie miał takiej pozycji. Musiałby wejść w grupę, która funkcjonowała jako obóz władzy już któryś rok. W PiS-ie było inaczej. Tu miał szansę zbudować sobie relację od zera z wodzem w partii wodzowskiej, która dopiero zdobywa władzę. I to też była partia, której brakowało kogoś w stylu eurokraty, wykształconego, o „miłej” twarzy. Tylko że nikt chyba nie zauważył jednego: że za tą fasadą kryje się człowiek nienawistny i chorobliwie podejrzliwy.

Menedżer: – Mateusz wziął do współpracy w Ministerstwie Rozwoju gościa, który był synem działacza „Solidarności Walczącej”. To było na samym początku jego pracy w rządzie. Premierem była Beata Szydło. I ten gość, z doświadczeniem menedżerskim za granicą, zaczął pomagać Szydło, która wtedy w Brukseli brała udział w negocjacjach jakiejś unijnej umowy.

On jej pomagał w ogóle wgryźć się w temat. Mateusz się o tym dowiedział i zaczął mieć do niego o to pretensje. „Dlaczego ty jej pomagasz?” – mówił. A jak chwilę później ten człowiek dostał od Szydło posadę w spółce, to Morawiecki definitywnie zerwał z nim relacje, bo uznał, że tamten musiał prowadzić jakieś intrygi, żeby zdobyć tę fuchę. Był pewien, że donosił Beacie na niego. Zwłaszcza że Szydło udawało się kilka miesięcy blokować tak zwaną ustawę kompetencyjną, która przesuwiała spore uprawnienia w ręce Morawieckiego. Aż doszło do tego, że Jarosław musiał interweniować. Były też drobne złośliwości z jej strony. Beata potrafiła w ostatniej chwili zmienić termin jakiejś narady, upewniając się, że Mateusz na nią nie zdąży, bo wiedziała, że w tym czasie on ma inne spotkania.

Bywalec Nowogrodzkiej: – Jarosław bawił się tą ich wojenką. Raz zaprosił do siebie Morawieckiego, wiedząc, że zaraz po spotkaniu z nim umówiona jest Szydło. Tak przeciągał rozmowę z Mateuszem, że Beata musiała czekać dobre pół godziny na wejście. Kiedy Morawiecki wyszedł, ta czekała na ławeczce przed gabinetem prezesa. Była zła jak osa.

Bywalec Nowogrodzkiej: – Mateusz jest cały czas ciałem obcym. Oczywiście, przeszedł jakąś drogę z nami, ale nie jest i nigdy nie będzie kimś z jądra PiS. To nie jest naturszczyk, który zrobił karierę dzięki prezesowi. Zawsze wierny. Czy deszcz padał, czy wiał wiatr, on zawsze stał przy Jarosławie. Tak nie było. Nie jest Markiem Suskim, który nigdy nie dorobił się pieniędzy. Z Marka się śmieją, że to jest ostatni ideowiec w PiS. Gdyby polityczne wiatry wiały w ostatnich latach inaczej, Morawiecki mówiłby, że od zawsze jest z Platformy. Jestem co do tego przekonany. Dlatego nie jestem pewien, czy on w ogóle miałby szansę na jakąś większą rolę niż tylko premier bez realnej władzy. Choć oczywiście jego pozycja przez lata się zmieniła. Zaczął przelewać krew razem z nami. Stał się obiektem ataków medialnych ze strony wrogich nam mediów, co nasz elektorat raczej odbiera pozytywnie.

Znajomy Mateusza Morawieckiego: – Moim zdaniem jego realnie interesuje bycie przywódcą prawicy. Bycie prezydentem eliminowałoby go z partyjnej polityki na co najmniej kilka lat. A on traktuje ten projekt długoterminowo. Oczywiście przyszedł do rządu jako jego nowa, gospodarcza twarz, ale z tych pozycji liberalnych, na których niewątpliwie był, przesunął się w stronę tej sfery socjalnej. Kiedy był jeszcze ministrem rozwoju, delikatnie krytykował 500 plus. Mówił, że to jest program na kredyt. Wspierał go w tym podejściu Gowin. Natomiast zrozumiał, że w PiS z takimi poglądami nie wypłynie na szerokie wody, porzucił to. I podjął tę decyzję

świadomie. Wszedł do polityki, a jego mentorem politycznym został Jarosław Kaczyński. Ze wszystkimi tego konsekwencjami.

Kamil Dziubka: – Co pan ma na myśli?

Znajomy Mateusza Morawieckiego: – Mam wrażenie, że Jarosław bardzo dużo zainwestował w Mateusza. Oczywiście tam nigdy nie było jakiejś szczególnej emocjonalnej chemii. Natomiast mam wrażenie, że prezes uznał, że to jest jakiś długofalowy projekt, a nie premier zderzak w stylu Beaty Szydło. Jeśli mówię o konsekwencjach, to mam na myśli to, że jednak Kaczyński pozwala, żeby różni ludzie skakali Mateuszowi do gardła. I taki stan czasami trwa nawet kilka miesięcy. Myślę, że niejednokrotnie mógłby przerwać te harce, a dziwnym trafem tego nie robi. Z tego punktu widzenia jest takim sadystycznym trenerem politycznym, który uważa, że jeśli unurza swojego ucznia we krwi i błocie, to w ten sposób pokaże mu, na czym polega prawdziwa polityka.

Gość nie do zaorania

Minister: – Polityka była paradoksalnie mniej chamska i mniej partyjna za rządów Szydło niż za czasów Morawieckiego. To jest dziś szokujące dla ludzi, którzy go znali wcześniej i wiązali z nim nadzieje. Te nadzieje dotyczyły spraw gospodarczych, deregulacji gospodarki, wspierania eksportu i tak dalej. Nikt nie przypuszczał, że jego cele są wyłącznie polityczno-partyjne.

Wiceminister: – Za Szydło nie było tak, że wszystko skupiało się wokół niej. Powiem więcej. Ministrowie byli wręcz zachęcani do tego, żeby promować siebie i swoje projekty. Przekaz był taki: „Jak coś fajnego robisz, pokazuj to, idź z tym do mediów”. Kiedy premierem został Morawiecki, przekaz z Kancelarii Premiera się zmienił: „Jeśli robisz coś fajnego, pomyśl, jak można dzięki temu wypromować premiera. Zastanów się, jaką mógłbyś wymyślić dla niego rolę w tym projekcie”. Gdzie się dało, tam pana premiera musieli przykleić, żeby się ogrzał przy jakimś projekcie. Wszędzie go wciskali. Oczywiście niektórzy ministrowie się cieszyli, bo zawsze, jak na twoją konferencję przyjedzie szef rządu, to jest to jakaś wartość dodana. Ale potem to już się przerodziło w jeszcze inną narrację. Harcerze od Mateusza dawali do zrozumienia, że jak się coś robi dobrego, to trzeba im o tym

powiedzieć, bo Morawiecki może się wkurzyć. Nie było to oczywiście powiedziane wprost, ale sugestie były ewidentne.

Minister: – Trzeba mu oddać, że jest niesamowicie pracowity. Pracuje do późnych godzin nocnych. Jest cały czas w trasie, również w weekendy. Gość nie do zaorania. Odetniesz mu żyły, to wyrosną druty.

Ważny urzędnik: – Kilkanaście dni po nominacji Mateusza na premiera przypadało Boże Narodzenie. Kiedy Szydło była premierem, organizowała opłatki z jakąś kolacją, winkiem. Wódki nie było. Była okazja, żeby spokojnie usiąść, porozmawiać, pożartować. Przychodził ksiądz, który udzielał błogosławieństwa. No i nadeszły pierwsze święta z Morawieckim, i nic. Było posiedzenie rządu, po którego zakończeniu Mateusz życzył wszystkim wesołych świąt. I już. Ludzie spojrzeli po sobie, byli trochę zaskoczeni. Czuli się, że idzie nowe.

Minister: – Dla mnie to był szok, że on potrafił wysłać maila o drugiej w nocy w sprawie, którą spokojnie można załatwić w ciągu dnia w trakcie zwykłej rozmowy telefonicznej, która trwałaby pięć minut. Przy okazji pisał w tych mailach elaboraty na temat mało ważnych spraw, a o szóstej rano dopytywał, dlaczego jeszcze nie dostał odpowiedzi. Pamiętam jeden taki przypadek. Morawiecki o jakiejś dzikiej porze wysłał maila do jednej z pań minister i miał pretensje, że ta mu nie odpisała. A ona: „Mateusz, ja pracuję od szóstej do dwudziestej drugiej. Zatem wybaczyć, ale nie będę ci odpisywać na maile, które wysyłasz mi w nocy. Ja wtedy śpię. I to się nie zmieni”. To nie jest efektywne zarządzanie. Pomijam już, że te wiadomości przychodziły ze skrzynki na Gmailu, więc jak potem okazało się, że się hakerzy włamali do skrzynki Dworczyka, nikt z ministrów nie był zaskoczony, co tam znaleźli.

Urzędnik: – Nie było łączności szyfrowanej, choć padła taka propozycja ze strony służb. No ale nikt nie był tym realnie zainteresowany. Sprawy za czasów Szydło załatwiano się głównie face to face. To był taśmociąg. Wyglądało to zresztą dość zabawnie, trochę jak kolejka do lekarza. Wychodził Macierewicz, wchodził Ziobro, a w tym czasie już ustawiał się Kamiński. Beata przykładowo miała kwadrans na każdą osobę i w ciągu tych piętnastu minut naprawdę można było dogadać kluczowe rzeczy. To dało się zrobić. Zresztą zarządzanie administracją za jej czasów i za czasów Mateusza to jest jak niebo i ziemia. Nie ma co porównywać. Jeśli ludziom się wydaje, że Morawiecki to świetny menedżer, to nie mają pojęcia, o czym mówią.

Minister: – Za Beaty nie trzeba było tworzyć grup na jakichś komunikatorach, bo ministrowie regularnie się widywali. Nawet kilka razy w tygodniu. Non stop byliśmy w kontakcie. Jak był do przegadania jakiś poważniejszy temat, po prostu wsiadało się w samochód i jechało się do Szydło. A przed oficjalnymi posiedzeniami rządu mieliśmy jeszcze nieoficjalne narady, żeby uzgodnić pewne rzeczy. Nie pamiętam, żebyśmy jakiegokolwiek maile od Szydło dostawali.

Poseł: – Morawiecki nie ma pełnej swobody w polityce personalnej i to nawet w zakresie swojego najbliższego otoczenia. Wcześniej wbrew swojej woli dostał Suskiego jako szefa gabinetu. Teraz ma Kuchcińskiego, który szefuje Kancelarii Premiera po Dworczyku.

Współpracownik Mateusza Morawieckiego: – Przeżyliśmy Suskiego, przeżyjemy i Kuchcińskiego. Nie było szans, żeby uratować Dworczyka. Trzeba go było poświęcić. A Kuchciński jest dość wygodny, bo premier budował z nim relacje od dłuższego czasu, a poza tym on więcej czasu spędza na Podkarpaciu niż w Warszawie. Nie jest to nasz zapiekły wróg.

Poseł: – Mateusz nigdy nie budował swojego zaplecza wewnątrz PiS, żeby broń Boże nie być oskarżonym o tworzenie frakcji. Zarządzał rządem mailami jak korporacją. Działał tak, żeby mieć jak najmniej kontaktu z ludźmi, a przynajmniej z zapleczem politycznym. Częściej spotykał się z tymi swoimi harcerzami, może z urzędnikami. To jest dziwne, bo ktoś taki jak premier powinien starać się jakoś pozyskiwać parlamentarzystów. To jest po prostu wygodne i buduje kapitał na przyszłość. Tak jak w Stanach, gdzie czasem prezydent dzwoni do konkretnego senatora i mówi: „Liczę na ciebie w tej sprawie”. On się czuje wtedy dowartościowany. Później powie ciepłe słowo o prezydencie. I wszyscy są zadowoleni. Morawieckiemu bardzo długo na takich kontaktach w ogóle nie zależało. Inna sprawa, że jak się pojawiał na klubowych opłatkach jeszcze jako wicepremier, to nie był otoczony wianuszkami ludzi. To się oczywiście później zaczęło trochę zmieniać, jak młodzi ludzie Morawieckiego zaczęli być oskarżani o zlecenie brudnej medialnej roboty przeciwko starym działaczom PiS. Mateusz się wystraszył, bo Kaczyński powiedział na jednym spotkaniu, że „młodzież” się może zdziwić przy ustalaniu list wyborczych. To wtedy powołał tak zwaną radę doradców politycznych złożoną ze „starych”. Oczywiście to jest kompletnie fasadowe ciało, ale chodziło o pokazanie, że dla Mateusza stara wiara też się liczy. Zwłaszcza że mniej więcej w tym czasie z powodu wojny z grupą

skupioną wokół Jacka Sasina musiał poświęcić prezesa PKO BP Zbigniewa Jagiełłę, swojego przyjaciela.

Były współpracownik Mateusza Morawieckiego: – Jagiełło poleciał, bo naciski na jego odwołanie były zbyt duże. Zresztą relacje Zbyszka z Morawieckim popszyły się już wcześniej. Jagiełło miał do niego pretensje o to, że nie był w stanie zablokować wizyty CBA u siebie w biurze. To było kilka miesięcy przed odwołaniem Jagiełły. Chodziło o jakąś drobną sprawę, dlatego Zbyszek był przekonany, że tło całej historii jest wyłącznie polityczne. Stąd pretensje do Mateusza. A Morawiecki nie był w stanie zrozumieć, w czym jest problem. Nie wiedział, dlaczego Jagiełło ma do niego żal. Tu się właśnie ujawniają deficyty emocjonalne Mateusza. I to nie jest jedyny taki przypadek. On potrafi wywalić kogoś z dnia na dzień, nie będąc w stanie ocenić skutków tej decyzji dla danej osoby. Kilka osób w ten sposób skrzywdził i do dziś nie rozumie, dlaczego ktoś ma o to żal.

Menedżer: – Jagiełło przez kilka miesięcy starał się dokonać zmiany w zarządzie PKO BP. Chciał się pozbyć osoby, która zachowywała się skrajnie nielojalnie wobec niego. Mateusz nie chciał się na to zgodzić. Chciał mieć święty spokój, bo człowiek, który miał wylecieć, miał glejt bezpośrednio z Nowogrodzkiej. Ich relacje się wtedy bardzo popszyły.

Urzędnik: – Mateusz nie chciał już o Jagiełłę walczyć. Zresztą Zbyszkowi już też niespecjalnie się chciało tam być. Może mi pan nie wierzyć, ale Mateusz nie lubi się zajmować personalną obsadą spółek. Uważa, że z tego się biorą wyłącznie problemy. Od kiedy został ministrem rozwoju, spychał te tematy na inne osoby. Bo jak masz kontrolę nad jakimiś spółkami, to wszyscy do ciebie przychodzą, wszyscy są niezadowoleni. Powiem panu więcej. Był moment, że to Marek Suski jako szef gabinetu premiera ogarniał rozprawianie ludzi po spółkach. Aż do tego stopnia Mateusz miał awersję do tego tematu. Tylko że niestety się z czasem przekonał, iż te spółki są jednak źródłem pewnej władzy. I warto je mieć, bo to również świadczy o twojej sile. Gdyby go oskubali ze wszystkiego, toby się okazało, że on w rzeczywistości niewiele znaczy.

Współpracownik Mateusza Morawieckiego: – Mateusz świadomie nie buduje relacji z Andrzejem Dudą. Nie chce popełniać błędu Szydło. Kaczyński był przekonany, że ona tworzyła z prezydentem jakieś koalicje, i to się okazało dla niej w konsekwencji rujnujące. Z pewnością przyczyniło się ostatecznie do jej dymisji, bo Kaczyński jej nie do końca ufał. Powiem więcej.

Z tego co słyszałem, Mateusz poprosił Dudę, żeby ten mu publicznie nie dziękował po udanej reelekcji w 2020 roku.

Kamil Dziubka: – Podziękował, ale wyglądało to tak, jakby sobie w ostatniej chwili o tym przypomniał.

Współpracownik Mateusza Morawieckiego: – Z tego co wiem, było to uzgodnione.

Kamil Dziubka: – Chyba dorabia pan teraz ideologię.

Współpracownik Mateusza Morawieckiego: – Mówię zupełnie serio. Kaczyński nie lubi i nie ceni Dudy. Mateusz wie, co robi.

Współpracownik Andrzeja Dudy: – Morawiecki zrobił dużo w kampanii prezydenckiej, bo walczył też o siebie. Gdyby Andrzej Duda przegrał, on nie byłby już premierem. Inna sprawa, że Morawiecki z Dudą nie utrzymują specjalnych relacji. Czy słyszał pan kiedyś, że premier jedzie do prezydenta na rozmowę jeden na jeden? Tusk chodził do Komorowskiego i nikt nie robił z tego tajemnicy. A tu cisza. Na pewno też dlatego, że prezydent woli Szydło niż Morawieckiego. Charakterologicznie bardziej mu pasuje.

Dyplomata: – Był czasem problem, żeby pogodzić prezydenta z premierem. A dokładnie z ambicjami Morawieckiego. Mateusz miał pretensje do MSZ, dlatego na przykład wiceprezydent USA spotyka się z Dudą, a z nim nie, choć protokolarnie bardziej pasowałoby spotkanie z szefem rządu. Problem polegał na tym, że tego chcieli Amerykanie, czego Morawiecki nie rozumiał. Premier miał też pretensje o to, że nominacje na ambasadorów często nie przechodzą przez jego ręce. Nie mogły przejść, bo najważniejsze było zdanie Nowogrodzkiej.

Sopot-Wołomin atakuje

Współpracownik Mateusza Morawieckiego: – Latem 2020 roku premier miał swój najlepszy moment. W miarę dobrze przeszliśmy przez pierwszą falę pandemii, Andrzej Duda wygrał wybory prezydenckie i wydawało się, że wszystko zaczyna dobrze się toczyć. I wtedy grupa, którą nazywam sopocko-wołomińską, ruszyła do ataku. Jacek Sasin, który miał początkowo dobre

relacje z premierem, uznał, że otoczenie Morawieckiego skonstruowało przekaz, który kupiły media, iż to on odpowiada za wybory kopertowe.

Minister: – Sasin zawsze był łączony z układem sopocko-wołomińskim. Sopot, czyli SKOK-i i Bierecki, a Wołomin to on sam.

Poseł: – Zaczęła się na dobre walka o wpływy w spółkach. Sasinowcy odbili Morawieckiemu PKO BP, potem chcieli przejąć Ministerstwo Finansów. Zaczęli się przerzucać z ekipą Mateusza odpowiedzialnością za brak węgla po zakazie sprowadzania go z Rosji, kiedy wybuchła wojna w Ukrainie. Jacek zaczął się nakręcać i w pewnym momencie otwarcie postawił na Nowogrodzkiej postulat zmiany premiera. Po pierwsze, on uważa Morawieckiego za słabego premiera, po drugie, od początku wszystkim mówił, że to jest obce ciało, wstawione do rządu przez środowiska biznesowe.

Minister: – Na początku nam się wydawało, że to jest samodzielna szarża Jacka. Ale potem on zaczął organizować spotkania w ministerstwie, na które przychodzili naprawdę ważni politycy, w tym Mariusz Błaszczak, Elżbieta Witek, Ryszard Terlecki, Beata Szydło. Szef MSZ Zbigniew Rau na jednym z tych spotkań powiedział, że on jest lojalny wobec Morawieckiego, ale „do granicy lojalności wobec Kaczyńskiego”. Sasin z kolei stwierdził: „Nie rozumiem, dlaczego w 2017 roku zmienił się premier. Morawiecki miał poprawić relacje z Unią, a te są gorsze niż za Szydło”.

Wiceminister: – Na jedno z tych spotkań wpadł Michał Moskał, czyli prawa ręka Jarosława. Odczytaliśmy to jako znak autoryzacji prezesa dla planów wysadzenia Morawieckiego z siodła. Wszystko nam się układało w całość. Kolejne spotkanie zorganizował Mariusz Błaszczak na terenie Ministerstwa Obrony Narodowej. Na tego grilla nie zostali zaproszeni ludzie Morawieckiego. Sam Jarosław w trakcie spotkania zaczął uderzać w „młodych”, którzy nie mają szacunku do starych działaczy. Wszyscy wiedzieli, że chodzi o otoczenie premiera.

Poseł: – Wtedy wydawało się, że dni Mateusza są policzone. Wprawdzie Beata Szydło odmówiła powrotu na stanowisko szefowej rządu, ale okazało się, że bardzo duże ambicje ma Elżbieta Witek. Ona naprawdę wierzyła, że zostanie premierem. Moim zdaniem ostatecznie celuje w prezydenturę. Być może właśnie dlatego w pewnym momencie nieco ochłodziły się jej relacje z Beatą Szydło, która również ma nadzieje na prezydencką nominację.

PR-owiec: – Kryzys był realny i nie było tak, że to media odwoływały Morawieckiego. Jarosław zaczął sondować możliwość wymiany premiera, co było zaskakujące, bo do tej pory w podobnych przypadkach od razu ucinął temat. A teraz było inaczej. Spytał Szydło, czy ewentualnie chciałyby wrócić, i Beata odmówiła. Tymczasem Ela Witek powiedziała, że jest gotowa na przeprowadzkę do Kancelarii Premiera. To pokazuje, jakie ona ma ambicje, bo przecież przejmowałaby rząd w piekielnie trudnym momencie. Nie oszukujmy się. To byłby dla niej potężny przeskok. Każdy może być marszałkiem Sejmu. Wystarczy umieć wyłączać mikrofon w odpowiednim momencie, szybko czytać, sprawnie przeprowadzać głosowanie. Ona wcześniej niczym nie zabłysnęła. Ot, była sprawna.

Współpracownik Mateusza Morawieckiego: – Wszystko rozstrzygnęło się w ciągu kilkudziesięciu godzin. Witkowska wezwała do siebie kilku ministrów i powiedziała, że wszystko wskazuje na to, że zostanie premierem. To miała być nieformalna odprawa przyszłej szefowej rządu z podwładnymi.

Kamil Dziubka: – Wątpię, żeby sobie to wymyśliła. Musiała dostać sygnał od Jarosława Kaczyńskiego.

Współpracownik Mateusza Morawieckiego: – Prezes na pewno chciał zobaczyć, jakie się stworzą koalicje. Kto będzie za, kto przeciw, ale myślę, że akurat tym razem poważnie się zastanawiał nad zmianą. Ciśnienie w partii było ogromne. Ostatecznie jednak sobie przekalkulował, że ciężko będzie poskładać większość na głosowanie w sprawie wotum zaufania dla nowego premiera. Musiałby znowu kilku, jak ja to nazywam, żebrakom zapłacić. Przyszedłby do niego umowny Łukasz Mejza i czegoś by żądał, bo przecież tych parę głosów spoza klubu jest potrzebnych. To byłoby otwarcie kolejnej awantury, która ostatecznie mogłaby się nie opłacić.

Minister: – Być może prezes uznał, że w sytuacji narastającego napięcia, które trwało już kilka miesięcy, trzeba doprowadzić do jakiegoś przesilenia. Kaczyński jako człowiek racjonalny wiedział, że zmiana premiera jest niemożliwa, bo nikt sobie z tym całym bałaganem nie poradzi poza Morawieckim. Ale może wybrał taki moment, żeby doprowadzić do przesilenia i potem spuścić powietrze. Jarosław zwołał wszystkich parlamentarzystów na wyjazdowe posiedzenie. I tam powiedział, że żadnej wymiany premiera nie będzie. Ludzie zaczęli bić brawo. Czulo się, że napięcie opadło. Mateusz wtedy zobaczył, że ma poparcie również wśród szeregowych posłów, i to było dla niego budujące.

Poseł: – Jarosław po tej całej historii zaczął się też uważniej przyglądać ekipie skupionej wokół Sasina. Doszły do niego informacje, że sasinowcy grają bardzo nieczysto. Wynajęli jakąś agencją PR-ową, która miała rozprawiać po redakcjach jakieś kwity na premiera. Jak się Kaczyński o tym dowiedział, to uderzył pięścią w stół i kazał Sasinowi się uspokoić. I rzeczywiście od tego czasu jest spokojniej. Ale ucierpiał też Mateusz. Musiał się pogodzić z tym, że nie da się już w rządzie utrzymać Michała Dworczyka, który był jego prawą ręką.

Rozdział IV

Nasza Beatka



Beata Szydło została dodatkowo upokorzona w dniu dymisji. Decyzja o jej odwołaniu została ogłoszona tego samego dnia, w którym opozycja próbowała uchwalić wotum nieufności wobec niej. Krzyczała wtedy z mównicy: „Dlaczego chcecie mnie odwołać?”. Niby to było skierowane do opozycji, ale w rzeczywistości Beata pytała Kaczyńskiego.

Minister: – W elektoracie PiS mało kto rozumiał, dlaczego Szydło została odwołana. Niech mi pan wierzy, że spotykałem się wtedy z naszymi wyborcami w moim okręgu i nie pamiętam głosów, z których wynikałoby, że dymisja Szydło to dobra i zrozumiała decyzja. No bo myśmy zmienili premiera, który był liderem społecznego zaufania.

PR-owiec: – Beata uważa, że jest ofiarą Morawieckiego. Nie widzi albo nie chce widzieć tego, że tak naprawdę jest ofiarą Kaczyńskiego.

Członek władz PiS: – Prezes do końca nie był usatysfakcjonowany, że Beata została premierem. Miał poczucie, że został do tego niejako przymuszony, choć to nie było do końca uczciwe, bo przecież Beata ciągnęła całą kampanię w 2015 roku. Ale on czuł niedosyt, że jakiś jego ideał się nie skryształizował. Kaczyński ją upokarzał. Kiedyś ktoś go spytał, czy uważa ją za dobrego premiera. Wie pan, co odpowiedział? „Beata jest premierem, który na pewno chce nim być”.

Poseł: – Kiedy w trakcie wieczoru wyborczego w 2015 roku już po ogłoszeniu wyników wyborów parlamentarnych przemawiała Beata Szydło, staliśmy w wąskim gronie w salce tuż za sceną. Był tam też Marek Kuchciński. Szydło mówi, cieszy się z wygranej, dziękuje Jarosławowi, sala w euforii, a Kuchciński rzuca do nas: „Czyżby jeszcze nikt tej pani nie powiedział, że nie wypada przemawiać dłużej od prezesa?”. Ludzie zaniemówili.

Bywalec Nowogrodzkiej: – Słyszałem, jak w jednej rozmowie pojawił się jakiś skomplikowany temat dotyczący gospodarki, i Jarosław wypalił: „Beata z tym sobie nie poradzi”. Narzekał też, że wiele razy z nią rozmawiał o jakichś dużych projektach, a ona tylko kiwała głową i nie była w stanie nawet pół zdania własnej opinii na ten temat wyrazić. Kilka miesięcy przed jej dymisją Kaczyński zaczął sugerować, że nadchodzi jej koniec. Mówił, że na drugą rocznicę jej rządów trzeba zrobić ładną uroczystość i godnie ją pożegnać.

Poseł: – Jarosław nigdy nam nie powiedział o Beacie, że jest „powiatowa”, ale on tak w rzeczywistości o niej myśli. A Morawiecki jest jednak czytany, studiował za granicą, jeździł do Davos, miał zupełnie inne horyzonty i o zupełnie innych rzeczach był w stanie rozmawiać z prezesem.

Członek władz PiS: – Prezes od początku miał świadomość, że Morawiecki jest kilka poziomów wyżej niż Beata. Ona była dobra w 2015 roku, żeby wygrać wybory, ale potem był potrzebny ktoś, kto ogarnie ten cały bajzel. Beata już nie była w stanie pewnych rzeczy kontrolować. Mateusz pewnie inteligentnie prezesowi saczył taki przekaz. Mógł w tych rozmowach powoływać się na dane, miał zaplecze personalne, ma doskonałą pamięć do liczb i to musiało prezesowi imponować. Jarosław nie miał takich ludzi. Zdarza się, że jest ktoś w PiS z doktoratem, ale generalnie to są wyjątki.

Minister: – Kaczyński po 2015 roku regularnie spotykał się na kolacjach z tak zwanym klubem wicepremierów. Te spotkania odbywały się w Ministerstwie Kultury u Piotra Glińskiego. Co ciekawe, początkowo Gliński, Morawiecki i Gowin próbowali w trakcie tych spotkań przekonywać prezesa do bardziej umiarkowanego podejścia w pewnych sprawach. Morawiecki również miał takie podejście. To się zmieniło, kiedy został premierem. Zresztą właśnie w trakcie jednego z takich spotkań zapadła decyzja o dymisji Beaty Szydło. Z tym że ustalenie było takie, iż nowym premierem będzie Jarosław Kaczyński. Już po tym spotkaniu miało dojść do kolejnych rozmów na temat szczegółów związanych z rekonstrukcją rządu. To się odbyło przy okazji miesięcznicy pogrzebu pary prezydenckiej. Do spotkania doszło w domu śp. profesor Marii Dzielskiej pod Krakowem. Jarosław często z nią rozmawiał. Byli dość blisko. Jej syn jest teraz ambasadorem w Kanadzie. W trakcie rozmowy, w której oprócz wicepremierów brał udział również profesor Legutko, Kaczyński poinformował, że jednak nie stanie na czele rządu. A było to już po tym, kiedy Szydło została poinformowana o dymisji. Gowin rzucił wtedy do prezesa: „Przecież jest za późno!”. Kaczyński odpowiedział: „Wiem, ale ze względów zdrowotnych nie czuję się na siłach, by być premierem”. Dodał, że zdecydował o wysunięciu kandydatury Morawieckiego. Gowin stwierdził, że Jarosławowi nie uda się przeforsować tego wariantu w PiS. Wtedy Kaczyński odparł: „Tak? No to zobaczysz”.

Członek władz PiS: – Wymiana przebiegła nadzwyczaj gładko. Na komitecie politycznym, który formalnie zatwierdzał decyzję prezesa, nie było

żadnej dyskusji. Co najwyżej ktoś sugerował, że to Jarosław powinien stanąć na czele rządu, ale „skoro jego wola jest inna, to oczywiście ją popieramy”.

Twarz 500 plus

Członek władz PiS: – Szydło przyszła do partii w samych skarpetkach. Nie znaczyła przez lata kompletnie nic, otarła się nawet o Platformę, gdzie jej nie chcieli, choć ona potem utrzymywała, że sama dokonała wyboru i nie związała się z partią Tuska. Ale to nie była prawda. Paweł Graś z PO, który działał na tym samym terenie w Małopolsce, po prostu ją szczyścił.

Poseł: – To Zbyszek Ziobro przed laty zaproponował jej miejsce na liście PiS do Sejmu. Tak trafiła do nas. To był trochę przypadek. A potem Jarosław wypieprzył Zbyszka z partii i Szydło zastąpiła go na funkcji szefa regionu małopolskiego.

Minister: – W latach dziewięćdziesiątych nie należała do Porozumienia Centrum, więc nie była z kręgu prezesa. Aż tu nagle on ją robi wiceprezeską PiS. Fakt, Jarosław potrzebował kogoś takiego, bo Ola Natalli-Świat i Grażyna Gęsicka, które zajmowały się w Sejmie finansami, zginęły w Smoleńsku. A potem jak Staszek Kostrzewski rzucił papierami, Beata została nawet skarbnikiem. To jest taki trochę amerykański sen jak na nasze partyjne warunki.

PR-owiec: – Beata była wiceprezesem partii, ale jej pozycja była taka, że mieliśmy problem, żeby ją umówić w niedzielę do „Kawy na ławę” w TVN24. Bogdan Rymanowski pukał się w głowę, jak kiedyś ją zaproponowaliśmy mu do programu. Była nieznana, nieoczywista jako gość jeszcze wiosną 2015 roku, czyli zanim na dobre ruszyła kampania Dudy. A na dodatek miała łatkę nudziary. Jak się jej słuchało, to od razu chciało się ziewać.

Poseł: – Mimo wszystko została szefową sztabu u Dudy. I to bardzo fajnie funkcjonowało. Nie chcę powiedzieć, że Szydło Dudzie matkowała w kampanii, ale widać było, że się lubią i jest chemia. Ona miała na niego raczej kojący wpływ. Jak się pojawiały jakieś trudniejsze momenty, to zawsze radziła, żeby wrzucać na luz, bo jeszcze dużo czasu zostało. Oni się naprawdę lubili. A kiedy funkcjonujesz w warunkach permanentnego stresu, to to naprawdę jest istotne. Wygrana Andrzeja ustawiła ją w zupełnie innym miejscu w partyjnej hierarchii. Przynajmniej tak się wydawało. Ale po

kampanii poszła plotka, że Beata może pójść pracować do Pałacu Prezydenckiego. Do dziś uważam, że propozycja bycia kandydatką na premiera padła, bo Jarosław bał się wzmocnienia Dudy i stworzenia pod jego boki silnego ośrodka władzy.

Poseł: – W partyjnych dołach Beata miała pełny szacunek. Była naturalną kandydatką na premiera. Wszyscy widzieli, jaką pracę wykonała w kampanii Dudy.

Członek sztabów wyborczych: – Kampania parlamentarna w 2015 roku była dla nas łatwiejsza niż prezydencka. Po zwycięstwie Dudy Platformie poleciały sondaże w dół. Do gry weszła Nowoczesna, która im urwała kawał elektoratu. Ludzie już byli ewidentnie zmęczeni PO, która na dobrą sprawę nie miała wtedy lidera. Tusk, który meblował krajową politykę przez siedem lat, zniknął i zostawił Kopaczową z tym całym bałaganem. A, z całym szacunkiem do niej, ona nie ma papierów na bycie liderką. I w to wchodzimy my, dość płynnie zresztą przechodząc z kampanii prezydenckiej w parlamentarną. Myśmy właściwie w wielu punktach de facto powtórzyli kampanię prezydencką. Użyliśmy tych samych haseł, identycznych trików. Nawet Dudabusa przemałowaliśmy na Szydłobusa. Mieliśmy przetestowanych milion rzeczy. Wiedzieliśmy, co wyszło, a z czego trzeba było zrezygnować. Duda też nam pomagał. W kilku wystąpieniach delikatnie suflował, że z innym rządem niż PO-PSL byłoby mu po drodze. Wydaje mi się, że lepiej wtedy czuliśmy emocje społeczne, a Platforma kompletnie się wtedy pogubiła.

PR-owiec: – Formalnie szefem sztabu został Stanisław Karczewski, zwany przez nas Stanleyem, który na pierwszym zebraniu stwierdził: „Muszę państwu powiedzieć, że ja na kampaniach w ogóle się nie znam i liczę właśnie na państwa”. Nie miało to większego znaczenia, bo i tak było jasne, że decyzje będą podejmować te same osoby co dotychczas. A on miał być figurantem i ta rola mu się podobała. Zresztą potem on dostał propozycję objęcia teki ministra zdrowia i sobie przekalkulował, że jednak woli fotel marszałka Senatu. Władza to żadna, ale jednak prestiż trzeciej osoby w państwie robi swoje.

Poseł: – Oczywiście, że Szydło była twarzą wprowadzania 500 plus, ale nie było tak, że to ją miało wypromować. Pamiętam, jak nas Platforma atakowała. Mówili, że tego nie da się przeprowadzić, bo nie będzie pieniędzy. A myśmy doskonale wiedzieli, że kasa na to będzie, bo ówczesny minister

cyfryzacji z Platformy Andrzej Halicki organizował aukcję na częstotliwości telefonii komórkowej i właśnie z tego chcieliśmy wziąć. Kaczyński bał się jednej rzeczy i wprost o tym kiedyś powiedział. Mianowicie tego, że Platforma rzutem na taśmę uchwali program 300 plus, które byłoby wypłacane od września, czyli jeszcze przed wyborami. Wtedy doszłoby do zderzenia naszej obietnicy z ich działaniem. Pamiętam tamte rozmowy ze sztabu: „Mogliby nas zaszachować tym, że my obiecujemy, a oni już dają”. Tyle że oni chyba mentalnie nie byli do tego już zdolni na tamtym etapie. Chyba jedynym, który zaczynał to wtedy rozumieć, był Bartłomiej Sienkiewicz. Diagnozował to w ten sposób: „Mamy aquaparki, autostrady, stadiony, ale co ja z tego mam w moim portfelu? Za co ja pójdę na mecz albo na basen?”. Do tego doszedł problem wydłużenia wieku emerytalnego przez Tuska, co z pewnością było jego największym błędem i kosztowało władzę jego partię.

Poseł: – Kampania dobrze żarła, aż tu nagle Beata została odsunięta na drugi plan. Macierewicz i inni polecili do prezesa i mówią: „Jarek, teraz ty musisz wejść, pokazać się”. Jarosław był zdezorientowany, ale po wcześniejszym zwycięstwie Andrzeja w pierwszym odruchu mówił Beacie, że będzie kandydatką na premiera. Gdyby to nie zostało publicznie ogłoszone, dwa–trzy tygodnie później by się rozmyślił. Natomiast faktycznie na końcu kampanii parlamentarnej Jarosław brylował. Zresztą wtedy gra nie toczyła się o zwycięstwo nad Platformą, tylko o to, dzięki komu wygraliśmy i komu zwycięstwo będziemy zawdzięczać. I dlatego ruszył Kaczyński, bo nie mógł pozwolić na to, żeby cały splendor spadł na Szydło. Zresztą końcówka kampanii przez to wcale nie była dobra.

Członek sztabów wyborczych: – Przyszedł Joachim Brudziński i powiedział, że prezes chce jeszcze trochę pojeździć po kraju. Pomyślałem wtedy, że ktoś musiał odbyć z Jarosławem rozmowę podobną do tej, którą przeprowadził z nim w 2006 roku Andrzej Urbański. To było w okresie rządu Marcinkiewicza. PiS miał wtedy formalnie mniejszościowy rząd, ale w ramach paktu stabilizacyjnego wspierały nas Samoobrona i LPR. Nie była to komfortowa sytuacja, więc pojawił się pomysł przeprowadzenia wcześniejszych wyborów parlamentarnych. Mieliśmy wtedy świetne sondaże. Jarosław dogadał się z Lechem, że ten jako prezydent skróci kadencję Sejmu w związku z nieuchwaleniem budżetu. Wszystko było już prawie gotowe, włącznie z projektami billboardów. Bielan z Kamińskim byli w blokach, chcieli już ruszać z kampanią. I wtedy do prezesa poszedł

Urbański. Spytał go: „A kto będzie twarzą tej kampanii? Marcinkiewicz. Jak wygramy, to przecież na niego spadnie cały splendor”. No i wyborów nie było. Dekadę później ten sam motyw się powtórzył.

Minister: – Beata czuła, że to zagrywka wąskiego otoczenia Kaczyńskiego. Zakonnicy PC poszli do prezesa i przekonali go: „Musisz wreszcie się pokazać, bo potem będzie tak, że wygramy, a powstanie wrażenie, że ciebie w tym nie było”. Kaczyński pojechał w Polskę. Swoich przemówień często w ogóle nie konsultował ze sztabem. To było kłopotliwe, ale biuro prasowe dostało rozkaz: „Macie obsługiwać prezesa technicznie i morda w kubek”. Oni w pewnym momencie zaczęli robić równoległą kampanię do kampanii Szydło. W sztabie panowało przeświadczenie, że za dobrze szło i na ostatniej prostej wszystko może się wykoleić. Na szczęście po drugiej stronie mieliśmy pogubioną Kopacz.

Członek sztabów wyborczych: – Kaczyński wszedł wtedy trochę na gotowe, bo wcześniej skasowaliśmy Kukiza, który w pewien sposób został sklejony z ideą referendum w sprawie jednomandatowych okręgów wyborczych i finansowania partii z budżetu, które w przypływie paniki po I turze wyborów prezydenckich zaproponował Bronisław Komorowski. Miało się ono odbyć we wrześniu, czyli w szczycie kampanii parlamentarnej. A to Kukiz, który po udanej kampanii prezydenckiej walczył o Sejm, był wielkim piewcą JOW-ów. Potem Andrzej Duda po objęciu urzędu zaproponował swoje referendum między innymi w sprawie sześciolatek w szkołach. A kiedy kontrolowany jeszcze przez Platformę Senat się na to nie zgodził, to myśmy zignorowali tamto referendum. I to zabrało Kukizowi tlen. Myśmy się go bali, bo zdawaliśmy sobie sprawę, że to on może być naszym koalicjantem. Mało kto realnie wierzył w samodzielne rządy.

Poseł: – Oczywiście każdy „zakonnik”, jak Suski czy Kuchciński, będzie do końca życia mówił, że to Kaczyńskiemu zawdzięczamy zwycięstwo w 2015 roku. Prawda jest jednak bardziej skomplikowana. Błędy drugiej strony otworzyły nam autostradę do władzy. SLD i Palikot poszli do wyborów jako komitet koalicyjny, żeby móc się dzielić kasą, i zostały zmuszone do przekroczenia ośmioprocentowego progu. Zandberg i partia Razem zabrali im trzy punkty i wpadli pod wodę.

Członek władz PiS: – Publicznie mówiliśmy, że chcemy rządzić samodzielnie. Pamiętam, że jak Mariusz Błaszczak rok, dwa przed wyborami był ciągle pytany przez dziennikarzy o potencjalnych koalicjantów, to

powtarzał, że on nie chce o tym rozmawiać, bo my koalicjanta mieć nie chcemy. Oczywiście doświadczenie rządu z gangreną w postaci Samoobrony i LPR zrobiło swoje. Ale prawda jest taka, że jesienią 2015 roku chyba nikt realnie nie wierzył w taki scenariusz. Sondaże dawały nam poparcie w okolicach 37–38 procent, co absolutnie wykluczało samodzielną większość. Platforma w 2007 roku miała 42 procent, a cztery lata później 39 procent. I nigdy nie dawały im te wyniki więcej niż dwustu dziewięciu posłów. Zatem było dla nas dość jasne, że będziemy potrzebowali partnera do rządu i miał nim być Kukiz. Jednak kiedy okazało się, że do Sejmu nie weszła Lewica i Korwin, to to był szok. Okazało się, że będziemy mieć samodzielne rządy.

Współtwórca kampanii wyborczych: – W trakcie wieczoru wyborczego Kaczyński nie podziękował tym, którzy naprawdę nieśli kampanię na swoich barkach. Wspomniał oczywiście o Szydło, wymienił Brudzińskiego i Krzysztofa Sobolewskiego, ale to było wszystko. Pamiętam, że Anka Plakwicz, która ostro pracowała w sztabie, mówiła wtedy: „Oho, już nas spychają w cień”.

Poseł: – Jeszcze w trakcie wieczoru wyborczego ludzie tak zwanego zakonu PC zaczęli saczyć Jarosławowi do głowy, że Beata nie nadaje się na premiera i że to on powinien stanąć na czele rządu. Prezes się łamał, miał dylematy, bo przecież Szydło przez całą kampanię jeździła po Polsce jako kandydatka na szefową rządu.

Minister: – W grupie, która namawiała prezesa na wycięcie Szydło, na pewno byli Piotr Gliński i Jarosław Gowin. Uważali po prostu, że ona się do tego nie nadaje. Nie była przygotowana do tej roli. Tłumaczyli, że to będzie chora sytuacja, jak faktyczny lider obozu władzy będzie poza rządem. Prezes wtedy autentycznie się wahał i sam rozważał objęcie funkcji premiera.

Bywalec Nowogrodzkiej: – Gowin miał złe relacje z Szydło właściwie od początku. Kiedy Beata w trakcie kampanii przed wyborami parlamentarnymi przedstawiła wyliczenia, które miały stanowić dowód, że socjalne obietnice PiS są do udźwignięcia przez budżet, on otwarcie podważył ich wiarygodność. Mimo że był już z nami w koalicji. Gdyby to rzeczywiście od Szydło zależało, Gowin nie zostałby ministrem. No ale nie zależało.

Poseł: – Zaczęła się burza, bo Beata była już po słowie z częścią przyszłych ministrów i ci nagle się dowiedzieli, że wszystko szlag trafił.

Członek władz PiS: – Jarosław się bał, że Szydło z Dudą zabiorą mu partię.

Kamil Dziubka: – On w to naprawdę wierzył?

Członek władz PiS: – Z Jarosławem i PiS-em jest jak z rodzicem małego dziecka. On jest cały przepełniony strachem o partię, o to, że ktoś go jej pozbawi. Ten strach bywa nieracjonalny i objawia się czasem w zupełnie nieoczekiwanych momentach. Sam pan wie, że czasem nawet jak człowiek zostawi dziecko z dziadkami, to i tak się martwi. A proszę mi wierzyć, u Jarosława ten strach się pogłębia z wiekiem, a nie odwrotnie.

Poseł: – Jarosław sam z siebie nie miał obaw, że Szydło urwie się ze smyczy, jak zostanie premierem. To ludzie wokół zaczęli go tym straszyć. A on jest podatny na takie podszepty.

Członek władz PiS: – Ktoś do Karnowskich wypuścił plotkę, że na ostatniej prostej prezes zmienił zdanie i na czele rządu postawi jednak Glińskiego, a Szydło zostanie marszałkiem Sejmu. Gliński o wszystkim dowiedział się od dziennikarzy w drodze z Białegostoku, gdzie miał wykłady.

Członek sztabów wyborczych: – Beata dostała sygnał, że Jarosław nie chce jej zrobić premierem. Nie wierzyła w to. Pojechała na Nowogrodzką. Weszła do gabinetu prezesa. Okazało się, że siedziało tam już kilka najważniejszych w partii osób. Zapytała, czy jest jakieś spotkanie, bo nikt jej o żadnej naradzie nie uprzedzał. Powiedzieli jej, że nie, i się rozeszli. Szydło się wystraszyła. Pojechała do Dudy. I potem Andrzej powiedział Jarosławowi wprost: „Nie możemy zacząć rządzenia od kłamstwa. Ogłosiliśmy Beatę premierem i tak musi zostać”. I choć Kaczyński naprawdę był już wtedy przekonany, że Szydło nie uciągnie tego wózka, odpuścił. Beata w trakcie rozmowy z prezesem podobno się popłakała. Puściły jej nerwy.

Kamil Dziubka: – To była gra na przeczołganie Szydło czy naprawdę prezes chciał się jej pozbyć?

Poseł: – Nie od dziś wiadomo, że Jarosław kocha zarządzanie przez konflikt. Podsyca ambicje, kilku osobom obiecuje to samo, po czym nupuszcza na siebie ludzi, ci skaczą sobie do oczu, przestają sobie ufać i przez to nawzajem się osłabiają. Jedynym, który na tym wygrywa, jest sam Kaczyński. Zresztą podobno prezes tłumaczył się Beacie tym, że był pod presją zakonników z PC. No z całym szacunkiem, ale to są jakieś bajki.

Wyobraża pan sobie, że Mariusz Błaszczak albo Marek Suski cokolwiek wymuszają na prezesie? Oni są do tego emocjonalnie niezdolni.

Gang tapirów i klub wicepremierów

Wiceminister: – Beata się ostała, a i tak z Nowogrodzkiej płynęły plotki, że to tylko na rok. Później urząd miał przejąć Gliński, bo Jarosław spodziewał się, że Szydło zużyje się szybko. Jej pozycja na starcie była więc marna. Ludzie, którzy wiedzieli, jakie Jarosław ma zamiary, uśmiechali się po kryjomu, kiedy słyszeli, jak Beata zapewnia w mediach, że z prezesem jest umówiona na cztery lata.

Poseł: – Szydło przejęła gabinet premierowski po Kopaczowej, która paliła jakieś wagony papierosów dziennie i najzwyczajniej w świecie tam jeszcze przez wiele tygodni śmierdziało. Szydło nie mogła tego znieść.

Wiceminister: – W rządzie Szydło było kilka grup. Z jednej strony był gang tapirów, czyli Beata i panie minister skupione wokół niej. Z drugiej istniał tak zwany klub wicepremierów tworzony przez Glińskiego, Morawieckiego i Gowina.

Minister: – Szydło była kompletnie niedecyzyjna. Kiedy na posiedzeniach rządu pojawiały się jakieś kontrowersje między ministrami, ona nie przecinała tego, tylko odsuwała w czasie rozwiązanie problemu. Te problemy zaczęły się piętrzyć. Na początku myśleliśmy, że ona zwleka, bo potrzebuje czasu, żeby skonsultować się z Kaczyńskim, ale tak nie było. Zresztą wbrew pozorom Szydło w wielu sprawach podejmowała decyzje samodzielnie. Problem polegał na czym innym. Często w ogóle nie wiedziała, jaką decyzję podjąć. Już po kilku tygodniach od powołania rządu zaczęły się pielgrzymki do Jarosława. Na pewno jeździł do niego Gowin. Narzekał, że rząd nie może funkcjonować bez ośrodka decyzyjnego wewnątrz gabinetu.

Członek władz PiS: – Ona naprawdę wielu rzeczy nie konsultowała z prezesem. Miała dość silne poczucie własnej autonomii. Nie bywała codziennie u Jarosława, bo nawet nie miała na to za bardzo czasu. Prezesa to z czasem zaczęło coraz bardziej irytować. Zdarzało się, że Szydło wręcz nie mogła się do niego dostać, a jak już się dostała, to Jarosław potrafił jej poświęcać na przykład dziesięć minut, tłumacząc, że się spieszy. Siedziała w Kancelarii Premiera i non stop miała spotkania. O 12.45 wchodził jeden

minister, w kolejce ustawiał się już następny. Często tak było, że po Macierewiczu wchodził Ziobro, a do kolejki ustawiał się minister finansów.

Poseł: – Jarosław bardzo pilnował, żeby Szydło nie próbowała budować własnej frakcji czy nawet grupki. Kiedyś Beata zaprosiła parlamentarzystów ze Śląska, żeby zaprezentować im plan dotyczący górnictwa. A Śląsk to bardzo newralgiczny rejon. Ważny dla PiS. W ostatniej chwili dostaliśmy telefon, że spotkanie jest odwołane. Interweniowała Nowogrodzka. Terlecki powiedział: „Od tego są posiedzenia klubu”.

Minister: – Stara gwardia, czyli na przykład Błaszczak, nigdy publicznie nie dała po sobie poznać, że ją lekceważy. Ciężko powiedzieć, czy to była dyplomacja, czy realny szacunek. Na pewno nie okazywali wobec niej żadnych negatywnych emocji.

Poseł: – Niezależność od prezesa? W tej kategorii Mateusz Morawiecki nawet nie może stanąć przy Beacie. No i być może właśnie to ją zgubiło. Ona nie jeździła zbyt często na Nowogrodzką. Może raz w tygodniu. Była tak zajęta premierowaniem, że nie miała czasu co chwilę się meldować u Jarosława. Nie wykluczam, że nie do końca też chciała to robić.

Minister: – Pamiętam pierwsze Boże Narodzenie w okresie rządów Szydło. Pojawił się pomysł, żeby ministrowie i premier nakręcili świąteczny klip wideo z życzeniami i ubieraniem choinki w Kancelarii Premiera. Wszyscy przyjechali. Ziobro, Macierewicz i Gliński odegrali swoje role. Sympatycznie było. To zresztą była jedna z inicjatyw Beaty, żeby wszystkich ludzi zebrać do kupy.

Poseł: – Nie mówię, że Szydło była genialnym premierem. Ona była premierem idealnym na ten czas. Miała ten rys ludowy. W pisowskim elektoracie była bardzo dobrze odbierana. Z jednej strony widziano ją jako taką matkę Polkę, z drugiej jako twardą polityczkę. Oczywiście ona była twarda głównie werbalnie, bo niestety dawała się rozgrywać mężczyznom. Ale na pewno potrafiła budować swój wizerunek jako kobiety w spodniach, dosłownie i w przenośni. I to też budowało jej pozycję w obozie władzy. Z drugiej strony miała dość słabe zaplecze. To byli głównie młodzi ludzie bez większego doświadczenia politycznego. Część z nich była zresztą zorientowana na swoich patronów, takich jak Joachim Brudziński czy Piotr Gliński. Traktowali pracę w Kancelarii Premiera jako przejściowy etap do odgrywania później bardziej samodzielnej roli.

Współtwórca kampanii wyborczych: – Jarosław, powołując Beatę, jednocześnie zdecydował o jej odwołaniu, które nastąpiło dwa lata później. Tak ją upokorzył, tak ją przeczołgał i osłabił, obsadzając takimi, a nie innymi ministrami, że na końcu się jej pozbył, bo uznał, że jest słaba. Choć sam tę sytuację wykreował.

Żal

Wiceminister: – Beata Szydło została upokorzona dodatkowo w dniu dymisji. Decyzja o jej odwołaniu została ogłoszona tego samego dnia, w którym opozycja próbowała uchwalić wotum nieufności wobec niej. Krzyczała wtedy z mównicy: „Dlaczego chcecie mnie odwołać?”. Niby to było skierowane do opozycji, ale w rzeczywistości Beata pytała Kaczyńskiego. I wyszło tak, że rano jej broniliśmy, a wieczorem jej podziękowaliśmy. Pamiętam, że mówiłem wtedy na Nowogrodzkiej, żebyśmy to opóźnili o tydzień, dwa, bo robimy Beacie krzywdę. A Jarosław to z premedytacją przeprowadził. Pamiętam, że dostała wtedy na Nowogrodzkiej owację na stojąco. Mateusz też dostał brawa, ale jakieś takie liche.

Senator: – Byłem w szoku. Skonsternowani byli zwłaszcza posłowie z południa Polski, z którymi ona się blisko trzymała. Beata Szydło cieszyła się ogromną popularnością. Jak odwiedziła kiedyś mój okręg, to entuzjazm ludzi był niesamowity. Nie chcę mówić, że była traktowana jak matka narodu, ale czuło się, że ludzie uważają, iż ona ma wizję, dużo może, odmienia ludziom los, poprawia ich życie. Gdyby jeszcze gdzieś noga jej się powinęła, wybuchł jakiś skandal. Ale nic takiego się nie wydarzyło.

Poseł: – Dziwię się, że Beata została w rządzie. Dostała fotel wicepremiera do spraw społecznych praktycznie bez żadnych uprawnień. No i co tydzień musiała oglądać Morawieckiego na posiedzeniach gabinetu. Z drugiej strony inna propozycja, jaką dostała, była nie do przyjęcia. Liczyła na marszałka Sejmu, a Jarosław chciał jej dać tylko wicemarszałka. Na jej miejscu zostałbym szeregowym posłem.

Urzędnik: – Po dymisji Beata nie chciała się wprowadzić do wicepremierowskiego gabinetu Morawieckiego. On zajął jej gabinet, ona nie chciała słyszeć o prostej zamianie. Trzeba było przeprowadzić dwoje ministrów, żeby Beata miała porządne biuro.

Minister: – To, że Morawiecki zwalczał Szydło już po jej odejściu z rządu, jest oczywiste, to wiedzą wszyscy. Kogokolwiek pan spyta, powie to samo. Może się bał, że wróci, gdy on się potknie na czymś dużym. Może się obawiał, że skoro on sam doprowadził do zmiany premiera, to i jego to może w końcu spotkać. To jest tak jak z największą bolączką kłamców. Uważają, że skoro sami kłamią, wszyscy dookoła robią to samo.

Poseł: – On powinien z nią porozmawiać po tym wszystkim i powiedzieć jej: „Słuchaj, było, co było, to jest polityka, zakopmy topór wojenny, ja nic osobiście do ciebie nie mam, zbudujemy jakąś relację”. Moim zdaniem gdyby to zrobił, miałby dziś w PiS zupełnie inną pozycję, niż realnie posiada. Tyle że on ma inną naturę.

Minister: – Nie pamiętam, żeby Beata go publicznie choć raz zaatakowała. Oczywiście wyczuwało się napięcie, ale nigdy nie pozwoliła sobie na otwarte pokazanie, że ma do niego jakiekolwiek pretensje. A naprawdę miała poczucie, że Mateusz rył pod nią i po kryjomu wbijał jej szpilki. Myślę, że także z tego powodu ma u ludzi szacunek. Mało tego, w 2019 roku już po zdobyciu mandatu w Parlamencie Europejskim włączyła się w kampanię parlamentarną w Polsce. Mateusz sam by tego nie uciągnął.

Poseł: – Jednego nie rozumiem. Morawiecki wyciął Beatę, został tym premierem. OK, polityka jest brutalna i krwawa. Po co to w takim razie ciągle niszczenie jej jeszcze kilka lat po przejęciu urzędu? Po co inspirowanie złośliwych wobec niej artykułów? Po co nieustanne telefony „harcerzy” do zaufanych dziennikarzy z, przepraszam za wyrażenie, pierdołami na jej temat?

Kamil Dziubka: – Ma pan teorię na ten temat?

Poseł: – Morawiecki się bał, że Szydło wróci.

Znajomy Mateusza Morawieckiego: – Mateusz tak po ludzku znalazł się w nieprzyjemnej sytuacji, bo był tym, który ją zastąpił. Nie pamiętam, żeby on wcześniej, nawet w wąskim gronie, źle się o niej wyrażał. Nie wiem nic o tym, by grał przeciw niej. Oczywiście wiedział o tym, że Jarosław nie do końca ją akceptuje. Prezes zdawał sobie sprawę z tego, że ona nie miała kompetencji potrzebnych do sprawowania tej funkcji. Nie była dla Kaczyńskiego partnerem. Poza tym ona kilka razy pokazała, że buduje swoje

skrzydło w PiS, i w zakresie polityki partyjnej miała ambicje daleko większe niż bycie premierem.

Poseł: – Nie wiem, czy ktokolwiek byłby w stanie znieść w taki sposób, z taką godnością to, co ją spotkało. Nie zasłużyła na takie potraktowanie. To, że się zmienia premiera, nie jest niczym dziwnym w polityce, ale to, jak to zrobiono, do dziś jest dla mnie niezrozumiałe. Myślę, że ktoś inny dałby się ponieść wewnętrznemu buntowi i pokazałby emocje na zewnątrz. A ona wzięła to do siebie, również po to, żeby chronić ludzi, którzy z nią byli.

Minister: – Beata była zmęczona premierowaniem, ale odwołanie ciężko zniosła. Pamiętam, że już po tym, jak przestała być premierem, składała jakiś wieniec na cmentarzu i jej asystentki przeganiały ludzi, krzycząc: „Uwaga, pani premier idzie”. Nie umiała się przestawić, choć była już tylko jednym z wicepremierów. Jakoś dotrwała do eurowyborów. Na początku niósł ją jeszcze sukces w postaci rekordowego wyniku w wyborach do Parlamentu Europejskiego. Zdobyła ponad pół miliona głosów. Gdyby się wgryźć w ten wynik, to nie było to bardzo zaskakujące. PiS uzyskał wtedy czterdziestopięcioprocentowe poparcie, a Szydło na fali własnej popularności startowała z rodzinnej Małopolski, gdzie poparcie dla nas jest jednym z najwyższych w kraju. Ale jak przyjeżdżasz do Brukseli i się orientujesz, że kiedyś byłaś szefową rządu, a teraz jesteś jednym z kilkuset ludzi, którzy snują się po korytarzach europarlamentu, musi to na ciebie działać. Tam jest mnóstwo byłych premierów, ministrów. I naprawdę nie ma się tam poczucia, że sprawuje się jakąkolwiek władzę. Na pewno ubodło ją też to, że nie została wybrana na szefową komisji w parlamencie, choć z rozdzielnika PiS-owi się to należało. Ale zacięcie na nią było potężne. Miała łatkę eurofobki i to jej na pewno nie pomogło.

Poseł: – Ja to się nawet jej nie dziwię, że nie znosi Morawieckiego. To jest naturalny mechanizm psychologiczny. Mateusz ją zastąpił, więc nie może być jej przyjacielem. Ona przecież musi wiedzieć, że to Kaczyński rozdawał karty w tej rozgrywce, ale przeciw niemu nie może wystąpić, więc kieruje swoją złość przeciwko Morawieckiemu. Co ciekawe jednak, kiedy jesienią 2022 roku było o krok od przesilenia w rządzie, Szydło stała z boku. Odrzucała jakiegokolwiek sugestie, że mogłaby ponownie stanąć na czele rządu.

Bywalec Nowogrodzkiej: – Jeśli była na uboczu, to dlatego że w 2020 roku starała się jeszcze o szefostwo kampanii reelekcyjnej Andrzeja Dudy i dostała

po nosie. Miała nadzieję, że się trochę odbuduje, ale zapomniała, że lepszy dostęp do ucha prezesa miał już wtedy Morawiecki. Została z niczym.

Rozdział V

Syn



Jeśli kiedyś wsadzą Ziobrę, to nie za prokuraturę, tylko za biznesy i za to, jak finansuje swoją partię. Ziobryści mają skitrane pieniądze bardzo głęboko.

Tam wszyscy są „opodatkowani”. Każdy, kto z rekomendacji Solidarnej Polski wchodzi do spółek, musi się opłacać patronom. Taki członek zarządu dużej spółki miesięcznie oddaje na rzecz partii nawet piętnaście tysięcy złotych. Moim zdaniem mają zgromadzonych co najmniej kilka baniek na ewentualną samodzielną kampanię.

Bywalec Nowogrodzkiej: – Pan myśli, że te sądy to Ziobro? On by pół ustawy nie przeprowadził, gdyby nie było woli Kaczyńskiego w tej sprawie. Ja Jarka znam kilkadziesiąt lat. Wymiar sprawiedliwości to zawsze był jego konik. Ziobro się nim przed laty inspirował, jak wchodził do polityki.

Poseł: – Solidarna Polska po wyborach w 2015 roku początkowo miała dostać ochłapy. Coś miało się znaleźć dla Jakiego, coś dla Kempy i koniec. O Ziobrze nikt na poważnie nie mówił. On wtedy startował z ostatniego miejsca na liście kieleckiej. Czyli ani z Krakowa, który był jego matecznikiem, ani z Warszawy, gdzie mieszkał.

Minister: – Pierwszą osobą, której Jarosław Kaczyński po wyborach w 2015 roku zaproponował fotel ministra sprawiedliwości, była Małgorzata Wassermann. Odmówiła. Do dziś motywy, którymi się kierowała, nie są dla mnie jasne. I dopiero później propozycję usłyszał Ziobro. Proszę sobie przypomnieć. Relacje między nim a Jarosławem były bardzo napięte. Po nawiązaniu ponownej współpracy w 2014 roku ich łącznikiem przez pewien czas był Jarosław Gowin. Kaczyński trzymał Zbyszka na dystans. Ziobro i Gowin zresztą później taktycznie bardzo długo mieli wspólny front. Kaczyński bardzo często nie dotrzymywał rozmaitych ustaleń i obaj wiedzieli, że tylko grając razem, będą w stanie wybronić się przed atakami ze strony PiS. Później już Ziobro bezpośrednio brał udział w rozmowach na temat tworzenia nowego rządu. Przekonał wtedy Kaczyńskiego, że ma zespół ludzi, którzy z marszu rozpoczną zmiany w sądach i prokuraturze. Mówił mu też, że ma cały pakiet gotowych ustaw. To było kłamstwo.

Poseł: – Do mnie do biura co chwilę ludzie przychodzą i narzekają na Ziobrę. W środowisku małomiasteczkowym, wiejskim paradoksalnie ludzie mają bardzo dużo spraw w sądach, to są nie tylko historie spadkowe, ale też spory z urzędami. To są ludzie, którzy mają własność, ziemię, gospodarstwa, środki produkcji.

Wizerunkowa katastrofa

Bywalec Nowogrodzkiej: – Przez lata Zbyszek był wiecznym delfinem. Co ciekawe, mówiło się o nim w takim kontekście już w czasach, kiedy Kaczyński był lekko po sześćdziesiątce. Tyle że wtedy Ziobro wyjechał do Brukseli. To był czas, kiedy prawie każdy poseł chciał tam być. Nic ciekawego w kraju się nie działo z naszego punktu widzenia. Byliśmy w opozycji, mieliśmy słabe notowania. Tusk był silny. W Pałacu Prezydenckim siedział wprawdzie Lech Kaczyński, ale również on miał słabe sondaże i braliśmy pod uwagę, że może nie uzyskać reelekcji. Bruksela była pomysłem, żeby jakoś ubarwić sobie rzeczywistość i oczywiście dobrze zarobić. Brat Ziobry też wtedy pracował w Parlamencie Europejskim, więc Zbyszek doskonale znał tamtejsze realia. Wiedział, że jedna kadencja pozwoli mu na finansową niezależność przez długie lata. Poza tym był tu nieustannie ciągnany po różnych prokuraturach.

Poseł: – Jarosław już przed wyborami parlamentarnymi w 2011 roku czuł, że Ziobro knuje z Kurskim. Był przekonany, że zaczynają budować swoją frakcję. Nie zaangażowali się w centralną kampanię partii przed wyborami parlamentarnymi, tylko wspierali pojedynczych kandydatów według własnego uznania. I być może właśnie dlatego byli łatwym celem dla Kaczyńskiego, kiedy się okazało, że drugi raz z rządu przegraliśmy z Platformą. Oficjalnym powodem wywalenia ich były krytyczne wypowiedzi na temat prezesa i partii, ale to był tylko pretekst. Jak Jarosław ich wyrzucał, żartował nawet, że przeciął w zarodku bolszewicki spisek.

Członek władz PiS: – Pamiętam to posiedzenie komitetu, na którym zapadła decyzja o wyrzuceniu Ziobry z PiS. Atmosfera grobowa, upiorna, jakby kogoś brzytwą mordowano. Wcześniej na klubie parlamentarnym Zbyszek kilka razy chciał zabrać głos, ale Jarosław go totalnie zignorował.

Współtwórca kampanii wyborczych: – W czasie, kiedy Kaczyński z Ziobrą byli pokłóceni, odbywały się przyspieszone wybory do Senatu na Podkarpaciu. Jarosław tam pojechał i wygłosił przemówienie, którego fragment był skierowany bezpośrednio do Ziobry: „Synu, wróć, ojciec czeka”. Potem jednak od razu dodał, że to jest syn, który który nie chce wracać. Dworował sobie ze Zbyszka. Mówił nawet, że teoretycznie mógłby być jego biologicznym ojcem. To było pokazanie mu miejsca w szeregu na zasadzie: „Dzieciaku, zgłodniejesz i wrócisz”.

Minister: – Ziobro się wtedy zupełnie odzegnował od Kaczyńskiego. Drwił z tego, co prezes robił w PRL, i z tego, że był niewiele znaczącą postacią w czasach komuny. A jak usłyszał o tym „ojcu”, to się zapienił. Mówił, że Kaczyński nie jest żadnym jego ojcem, tylko był co najwyżej liderem politycznym. Zresztą wszystko, co wtedy mówił Kaczyński, uznawał za grę pod publiczkę. W trakcie przyspieszonych wyborów senackich na Podkarpaciu Solidarna Polska wystawiła kandydata, który się nazywał Kazimierz Ziobro. To świadczyło o tym, że Zbyszek zdawał sobie sprawę, iż właściwie jedynym kapitałem tego projektu jest on sam. Zresztą mało kto pamięta dziś, jak ten Kazimierz Ziobro został frontalnie zaatakowany przez PiS. Adam Hofman wyciągnął jego teczkę z IPN i się okazało, że w przeszłości był członkiem PZPR. Nowogrodzka dała sygnał do uderzenia i wszystkie media związane z PiS w to poszły. I ten kandydat Ziobry przepadł.

Poseł: – W 2012 roku, w trakcie demonstracji w obronie Telewizji Trwam Kaczyński nagle wypalił: „Zbyszku, zapomnijmy o tym, co było złe”. Jacek Kurski na oczekaniu wpadł na pomysł, żeby Ziobro mu błyskawicznie odpowiedział, bo inaczej będzie to głupio wyglądało. No i Zbyszek wygłosił mowę z przesłaniem jedności, tyle że nie udźwignął jej emocjonalnie i głos mu się załamał, zaczął piszczeć. Ręce zaczęły mu się trząść, co było świetnie widoczne w kamerach, bo trzymał w dłoni mikrofon. Przeżył to mocno, bo się potem wszystkie media z niego śmiały. Dzisiaj mało kto pamięta, co wtedy mówił, ale wszyscy sobie potrafią przypomnieć tę wizerunkową katastrofę. Bo to była katastrofa.

Bywalec Nowogrodzkiej: – Ziobro, idąc na totalne zwanie z Kaczyńskim, przeliczył się. Myślał, że emocje wyborców PiS są po jego stronie. A ludzie wcale nie chcieli odejścia Jarosława. To był jeszcze ten moment, kiedy wielu nadal współczuło mu po stracie brata w Smoleńsku. Bardzo brzydkie rzeczy mówili wtedy Ziobro z Kurskim i resztą tej ekipy o Kaczyńskim. Pamiętam, że któryś z nich nawet w emocjach powiedział, że prezes chce ich wychowywać, a sam dzieci nie ma, nie mówiąc o żonie. To zresztą było dość krótko po narodzinach pierwszego dziecka Ziobry.

Solidarna Polska na musiku

Ziobrysta: – Początki Solidarnej Polski były bardzo trudne. Miejscem narad strategicznych było mieszkanie w Warszawie, gdzieś w okolicach

skrzyżowania Pięknej z Mokotowską. Spali tam nasi europosłowie. To wyglądało tak, że w pokoju Kurski naradzał się z Ziobrą, obok w kalesonach przechadzał się Cymański, a metr dalej na suszarce wisały mokre gacie.

Współtwórca kampanii wyborczych: – Oni byli w tragicznej sytuacji. W 2014 roku startowali samodzielnie do europarlamentu i przepadli. Wydali mnóstwo pieniędzy i wszystko jak krew w piach. Kurski oblepił autobusy miejskie w Warszawie swoim wizerunkiem. Wykupił gigantyczny billboard niedaleko Politechniki Warszawskiej, który był wielki na pięć pięter. Całą kamienicę zajmował. Ani Ziobro, ani Kurski po porażce nie mieli pensji, bo nie byli posłami, tylko byłymi europosłami. Ziobrę w końcu zaczęli opuszczać ludzie. Jednym z nich był Arkadiusz Mularczyk, który jeszcze chwilę wcześniej potrafił publicznie obrażać Kaczyńskiego. Kurski się też szybko ze Zbyszkiem pokłócił i zaczął opowiadać, że jak organizowali razem Solidarną Polskę, to musiał Ziobrze zmieniać pieluchę.

PR-owiec: – W trakcie wieczoru wyborczego w dniu wyborów europejskich do Solidarnej Polski zaczęły napływać nieoficjalne informacje na temat wstępnych, sondażowych wyników wyborów. Były one dla ziobrystów dramatyczne i jasno pokazywały, że żaden z kandydatów partii nie znajdzie się w Parlamencie Europejskim. Wtedy stało się coś przedziwnego. Ziobro nie dojechał do sztabu wyborczego na czas i jedynym liderem, który z ludźmi śledził ogłoszenie wyników w telewizji, był Jacek Kurski. Ziobro spóźnił się kilkadziesiąt minut. Tłumaczył się, że utknął w korkach pod Warszawą. Wtedy jedna z pań, która była związana z Kurskim, zaatakowała Ziobrę. Wykrzyczała mu w twarz, że jest tchórzem. Wtedy do akcji wkroczyła Patrycja Kotecka, żona Zbyszka, która zaczęła krzyczeć: „Ta pani jest pod wpływem alkoholu!”.

Współtwórca kampanii wyborczych: – Było jasne, że to jest ich polityczne rozstanie. Kura zresztą szybko pojechał i pokajał się publicznie na którejś z imprez PiS. Ziobro nawet rozważał wtedy porzucenie polityki. Kaczyński to wszystko widział i zdawał sobie sprawę, że oni są na musiku. Jednocześnie był przekonany, że bez tych trzech, może czterech punktów procentowych, które ziobryści zgarniali, nie będzie w stanie rządzić. Dlatego pokazał im ścieżkę powrotu.

Poseł: – Pamiętam scenę z kampanii w 2015 roku. Na korytarzu w Sejmie przez przypadek Szydło wpadła na Ziobrę. Ona była wtedy kandydatką na premiera, a Zbyszek kandydatem na szeregowego posła z okręgu kieleckiego.

„A może się spotkamy? A może pomożemy w czymś?” – rzucił. Beata kurtuazyjnie odpowiedziała: „Tak, tak, oczywiście”. Bez konkretów, rzecz jasna. Solidarna Polska wtedy była petentem.

Kamil Dziubka: – W takim razie co się takiego stało, że nagle Zbigniew Ziobro wrócił na fotel ministra sprawiedliwości, a potem dodatkowo prokuratora generalnego?

Poseł: – Jarosław uznał, że samodzielna większość daje mu mandat do radykalnych kroków. Ludzie byli zaskoczeni. Prezes im wtedy tłumaczył: „Jedni nie chcą tego brać, inni są nieprzygotowani. Został tylko on”. A bał się, że ktoś osadzony w środowisku prawniczym zostanie otorbiony przez kumpli. Prawnicy nienawidzili Ziobry. Był przez nich odrzucony. Kaczyński chciał walnąć w tę skorupę młotkiem i tym narzędziem był Ziobro. Ich poglądy na temat środowiska sędziowskiego były i są zbieżne. Jarosław wielokrotnie w rozmowach podkreślał, że sędziowie to relikwiny postkomuny, nawet ci młodzi, bo zostali wychowani przez nierozliczone i niezwerifikowane po okresie PRL środowisko. Zatem jeśli ktoś dziś mówi, że Ziobro realizował własne wizje, to jest w błędzie. On robił to, czego oczekiwał prezes. To, jak to ostatecznie wyszło, jest tematem na zupełnie inną rozmowę.

Minister: – Ziobro już po wyborach w 2015 roku chciał wstąpić do PiS i zostać wiceprezesem partii. Przez moment był przez to wstrzymany proces przyjmowania nowych członków do Solidarnej Polski, żeby nie komplikować sytuacji przed spodziewanym połączeniem obydwu ugrupowań. Jednak ostatecznie Kaczyński się na to nie zgodził. Pytałem go później o to. Chciałem wiedzieć, skąd taka decyzja, bo przecież bardzo długo sam chciał, żeby Ziobro wrócił. Kaczyński mi wtedy powiedział: „Dzisiaj Ziobro ma dwiętnastu posłów. Gdyby wrócił do PiS, miałby ich sześćdziesięciu. Nie mogę na to pozwolić”. Myślę, że to pokazuje pewien realizm w podejściu Kaczyńskiego do własnej partii i własnego klubu parlamentarnego. Ziobro reprezentuje nurt radykalny, który jest mocno obecny w PiS. Ma w partii wielu zwolenników, którzy po cichu mu kibicują. I Ziobro o tym wie.

Poseł: – To nie do końca prawda, że prezes nie zgodził się na powrót Ziobry. On mu chciał dać zielone światło, ale pod warunkiem że wróci w pojedynkę. Bez ludzi. Wiadomo było, że Ziobro tego nie zaakceptuje. Inna sprawa, że Zbyszek licytował bardzo wysoko. Chciał zostać wiceprezesem PiS i próbował nawet wymusić niepisaną zgodę Jarosława na powstanie

faktycznych frakcji w partii. Na czele jednej z nich miał stanąć oczywiście on sam.

Były współpracownik Jarosława Kaczyńskiego: – Ziobro stał się problemem z winy samego Kaczyńskiego. Po tych wszystkich rzeczach, które Zbyszek zrobił po odejściu z PiS, i po tym, jak źle mówił o prezesie, dostał właściwie wszystko co chciał. No prawie wszystko. I nigdy w Ministerstwie Sprawiedliwości nie miał nawet nadzorcy z Nowogrodzkiej. Mógł dowolnie kształtować politykę personalną w swoim resorcie, co jest absolutnym ewenementem. A w tej pierwszej kadencji po 2015 roku miał przecież zaledwie kilku posłów. To dopiero po kolejnych wyborach Solidarna Polska tak mocno urosła. Mimo to prezes miał jakąś słabość do niego i mu ulegał.

Poseł: – Ziobro na początku grał bardzo potulnego. Wprawdzie w pierwszych tygodniach od przejścia resortu sprawiedliwości był bardzo mocno obecny w mediach, ale chyba dostał za to reprimendę od Kaczyńskiego i się wycofał. W telewizjach zaczął wtedy brylować Patryk Jaki, który miał być twarzą Solidarnej Polski. Zbyszek zajął się budowaniem swoich wpływów w prokuraturze i w sądach. Tak się przynajmniej wydawało. Myślę, że Jarosław nie zdawał sobie sprawy z tego, jak intensywnie Ziobro pracuje nad rozbudowywaniem swojego politycznego projektu.

Siła

Wiceminister: – Jarosław całkowicie zmienił podejście do Ziobry po wyborach w 2019 roku, kiedy zorientował się, że Zbyszek dzięki kampanii wspierającej konkretnych kandydatów, a nie całą listę, wprowadził do Sejmu tylu ludzi, że mógłby utworzyć z nich własny klub parlamentarny. Po drodze zorientował się, jakie pieniądze idą z Funduszu Sprawiedliwości na cele stricte partyjne Solidarnej Polski. A potem zióbryści się zaczęli stawiać przy okazji rekonstrukcji rządu w 2020 roku. Myślę, że od tego czasu Ziobro wie, że liderem obozu będzie mógł zostać tylko w jednym wypadku, czyli po śmierci Kaczyńskiego.

Bywalec Nowogrodzkiej: – Może pan wierzyć albo nie, ale nie jest tak, że Jarosław wie, domyśla się albo przeczuwa wszystko. Kiedy jeszcze Beata Szydło zasiadała na fotelu premiera, byłem świadkiem rozmowy w wąskim gronie, w której brał udział prezes. Ktoś mu wtedy uświadomił, że Beata od

dłuższego czasu gra z Ziobrą. Był autentycznie zaskoczony. On chyba w pewnym momencie zapomniał, jak Szydło trafiła do PiS. A stało się to właśnie za pośrednictwem Zbyszka.

Poseł: – Ziobro ją wciągnął do PiS i później liczył na to, że ona z nim odejdzie do Solidarnej Polski. Kiedy to się nie wydarzyło, ich relacje się bardzo popsuły. Sytuacja uległa zmianie po utworzeniu rządu. Zawarli sojusz wymierzony w Morawieckiego i to było ewidentne.

Wiceminister: – Ziobro po tym, kiedy przekonał się, że Jarosław mu nie pozwoli na rozgrywanie w PiS, zaczął bardzo systematycznie i w przemyślany sposób budować swoją niezależną pozycję, siłę polityczną, swoją wagę polityczną. Nie tylko poprzez występy w mediach, ale również dzięki takiej codziennej pracy z użyciem technologii politycznej. On i jego ludzie zaczęli mocno pracować z mediami społecznościowymi. Posłowie dostali konkretne zadania. Byli centralnie sterowani pod kątem social mediów i wykorzystania różnych zasobów. Pozakładali filie biur poselskich poza swoimi okręgami wyborczymi. Prawo tego nie zabrania. Ja mógłbym otworzyć swoje biuro w Gdańsku, choć zostałem wybrany z okręgu znajdującego się kilkaset kilometrów od Trójmiasta. Po co? Żeby struktury miały swoje lokale tam, gdzie nie mają posłów. No bo jak każdy otworzy filię, to z dwudziestki posłów robi się czterdzieści biur. Mając dwudziestu posłów można mieć biura poselskie w każdym okręgu wyborczym. I zawiesić szyld Solidarnej Polski, dać instrumenty lokalnym działaczom. Bardzo proste rozwiązanie, a szalenie skuteczne.

Członek zarządu państwowej spółki: – Od 2015 roku zioberyści dbali o swoje interesy w państwowych firmach z niezwykłą starannością. Jeszcze kiedy ministrem skarbu był Dawid Jackiewicz, najcięższe, najbardziej długotrwałe negocjacje w sprawie obecności nominatów partyjnych w spółkach były właśnie z Ziobrą. Jackiewicz musiał organizować specjalne spotkania z udziałem Ziobry i Kaczyńskiego. Zbyszek ciągle powtarzał, że ma zbyt mały udział w interesie. Jestem zresztą wyznawcą teorii, że jeśli kiedyś wsadzą Ziobrę, to nie za prokuraturę, tylko za biznesy i za to, jak finansuje swoją partię. Zioberyści mają skitrane pieniądze bardzo głęboko. Tam wszyscy są „opodatkowani”. Każdy, kto z rekomendacji Solidarnej Polski wchodzi do spółek, musi się opłacać patronom. I zioberyści bardzo tego pilnują. Taki członek zarządu dużej spółki miesięcznie oddaje na rzecz partii nawet piętnaście tysięcy złotych. Moim zdaniem mają zgromadzonych co najmniej kilka baniek na ewentualną samodzielną kampanię.

Bywalec Nowogrodzkiej: – Na miejscu Jarosława oskubałbym Ziobrę przy okazji rejestracji list wyborczych przed wyborami parlamentarnymi. W ostatnim możliwym terminie pełnomocnik wyborczy PiS idzie rejestrować listy i składa te, które chce Kaczyński, a nie te, które zostały uzgodnione. Ziobro nie byłby w stanie nic zrobić. I wtedy albo można wyciąć jego samego, a resztę posłów Solidarnej Polski przejąć, albo wywalić kilku krnąbrnych i uświadomić Ziobrze, że nie będzie miał już własnej frakcji. Zresztą dla mnie wstępem do jakiejś rozprawy z Ziobrą była dymisja Kurskiego z funkcji prezesa TVP.

Ziobrysta: – A wie pan, że my z ministrem Ziobro w zdecydowanej większości jesteśmy na pan? Mateusz Morawiecki jest na ty ze wszystkimi swoimi współpracownikami. On nawet do nas od razu zaczął mówić po imieniu.

Kamil Dziubka: – Z czego to wynika?

Ziobrysta: – Tak jakoś wyszło. Przecież nikt Ziobrze nie będzie proponował skrócenia dystansu, bo jesteśmy młodszy od niego. Pewnie minister w tej sferze w pewien sposób realizuje model zbliżony do tego, który stworzył Jarosław Kaczyński. Oni przeszli ponoć na ty dopiero wtedy, kiedy Ziobro skończył czterdzieści lat. Dopiero wtedy wypili bruderszaft. Na ty z ministrem na pewno jest Bogdan Świączkowski, ale oni się znają od lat. Zresztą Świączkowski to bardzo specyficzny człowiek. Z nim prawie nikt od nas nie ma relacji. Może dlatego, że nawet my się go trochę boimy.

Buldogi

Ważny urzędnik: – W ekipie Morawieckiego o ludziach Ziobry mówi się dość często, że to polityczni bandyci. I jest to jedno z bardziej delikatnych określeń.

Poseł: – W partii krążyła informacja, że Ziobro za pośrednictwem podległych sobie prokuratorów bardzo intensywnie szuka zaginionych taśm nagranych rozmów z udziałem Morawieckiego zarejestrowanych przez kelnerów w restauracji Sowa i Przyjaciele. Jeden z tych, co nagrywali, zeznał, że Morawiecki jeszcze jako prezes banku spotkał się z kimś i w trakcie rozmowy mówił coś o kupowaniu nieruchomości na tak zwane słupy. Nagrań

nigdy nie udało się odnaleźć, ale podobno Ziobro uznał to za bardzo smakowity wątek.

Współpracownik Mateusza Morawieckiego: – Ludzie od Ziobry rozpuszczali po mieście plotki o jakichś rzekomych sprawach obyczajowych dotyczących premiera. O kochankach, nieślubnych dzieciach. Po redakcjach krążyły nawet jakieś papiery. Wiemy o tym.

Minister: – To Solidarna Polska wymusiła wejście Jarosława Kaczyńskiego do rządu w 2020 roku. Pamiętam, że nie wszyscy byli entuzjastami tego pomysłu. Jarosław Gowin mówił otwarcie, że to sztuczne rozwiązanie i jeżeli prezes ma rzeczywiście zostać członkiem Rady Ministrów, to powinien być premierem, a nie wicepremierem. Morawiecki zresztą gotów był oddać mu tę funkcję i podać się do dymisji. Ale to była osobista decyzja Kaczyńskiego, że wchodzi do rządu nie jako premier, tylko jako wicepremier. Liczył na to, że będzie w stanie zapanować nad konfliktem Ziobro – Morawiecki, a wtedy ten konflikt groził wybuchem wojny atomowej. Ziobro był gotów odpalić materiały, które zebrał na Morawieckiego. To byłby koniec PiS.

Członek władz PiS: – Pamiętam jedno ze spotkań liderów koalicji. To była wczesna jesień 2020 roku, kiedy mieliśmy naprawdę poważny kryzys i nie było pewne, czy utrzymamy większość w Sejmie. Tuż przed naradą Ziobryści wypuścili do mediów informację, że nie poprą ustawy o tak zwanej bezkarności urzędniczej, która zmywała ewentualne winy z urzędników, którzy naruszyli prawo w trakcie walki z pandemią koronawirusa. Na tych przepisach bardzo zależało Morawieckiemu, który się bał, że jego ludzie mogą zostać wsadzeni do więzienia za jakieś nieprawidłowości przy wypłacaniu pieniędzy w ramach funduszy covidowych. Ale to nie koniec. Kilka godzin przed posiedzeniem na Nowogrodzkiej sąd administracyjny stwierdził, że premier złamał prawo przy organizacji wyborów kopertowych. Jak potem przeczytał, że Solidarna Polska będzie przeciw wprowadzeniu tej bezkarności, wybuchł. Po prostu skoczył Ziobrze do gardła. A ten mu odpowiedział: „Mateusz, jeśli ty się boisz podejmować decyzje i brać na siebie odpowiedzialność, to może podaj się do dymisji?”

Ziobrysta: – Ci z nas, którzy byli wtedy wiceministrami, dostali sygnał, żeby się spakować i być przygotowanym na dymisje, których spodziewaliśmy się lada chwila. Sprzątać biurko zaczął nawet Bogdan Świączkowski, który był wtedy prokuratorem krajowym.

Poseł: – Konflikt Ziobry z Morawieckim był nieunikniony. To była tylko kwestia czasu. Kaczyński świadomie wprowadził Mateusza jako zupełnie nową figurę, która miała w perspektywie czasu stanowić przeciwwagę dla Ziobry, Szydło i Dudy. Ziobro dość szybko skoczył Morawieckiemu do gardła. Ale nawet gdyby tak się nie stało, to Jarosław znalazłby sposób, żeby ich ze sobą skonfliktować. On się żywi tą wojną i umie nią w pewnym stopniu zarządzać.

Członek władz państwowych spółek: – Na początku naszych rządów, w 2016 roku, wybuchła w obozie wojna o kontrolę nad PZU. Dzisiaj nikt już o tym nie pamięta, ale wtedy Morawiecki poparł Ziobrę, który chciał położyć rękę na tej spółce. Mateusz szukał wtedy sojuszników w walce z Dawidem Jackiewiczem, który był na początku rządów PiS ministrem skarbu. Jackiewicz nie potrafił się z nim dogadać. Nie wiadomo, czy dlatego, że obaj są z Wrocławia i mieli jakieś zadawnione spory, czy po prostu panowie się nie lubili. Adam Hofman próbował ich ze sobą jakoś pogodzić, ale nie udało mu się.

PR-owiec: – W wojnie o PZU ekipa Jackiewicza pokłóciła się z ziobrystami. Do tamtego momentu we władzach tej spółki mieli udział pół na pół. Oczywiście walka dotyczyła pieniędzy i wpływów. No i na ludzi Ziobry postawił wtedy Mateusz, to samo zrobiła Szydło. To był ostatni taki moment.

Stronnik Mateusza Morawieckiego: – Jak ludzie od Ziobry zobaczyli, że będą mieli i Pekao S.A. i PZU, to im po prostu odbiło. Michał Krupiński z ramienia ziobrystów został szefem PZU. O nim się kiedyś mówiło, że jest złotym dzieckiem PiS. Miał dość łatwy dostęp do Kaczyńskiego. Jeździł potem do niego i się chwalił, że to dzięki niemu zrepolonizowaliśmy bank Pekao S.A., który kupiliśmy od Włochów. A to była nieprawda, bo on może był na trzech spotkaniach w tej sprawie. To był pomysł Morawieckiego. Tymczasem Krupiński wszystkim w PiS opowiadał o swoich rzekomych zasługach w tej sprawie. W dniu ogłoszenia zakupu banku poszedł nawet na wywiad do TVP. To był sygnał, że Ziobro zakopał topór wojenny z Kurskim, który przecież go obrażał po ich politycznym rozstaniu w 2014 roku. Ziobryści przestali dotrzymywać jakichkolwiek zobowiązań. I działali bezwzględnie, nieetycznie. To był prawdziwy początek konfliktu Morawieckiego z Ziobrą. Krupiński dość szybko zaczął wydawać mnóstwo pieniędzy na czarny PR przeciw nam.

Wiceminister: – Ziobro zdał sobie sprawę z tego, że Morawiecki z pozycji politycznego outsidera zaczyna rosnać. Coraz bardziej się wyrabiał. Jak go Zbyszek w pewnym momencie frontalnie zaatakował, to Mateusz doprowadził w końcu do odwołania Michała Krupińskiego z tego PZU. Poszło już wtedy na noże. To było dość sprytnie zaplanowane przez Mateusza, bo posiedzenie rady nadzorczej spółki zaczynało się dokładnie w tym samym czasie co spotkanie Jarosława Kaczyńskiego z ówczesną premier Wielkiej Brytanii Theresa May. Chodziło o to, by nikt nie był w stanie skontaktować się z prezesem i uratować dupę Krupińskiemu. Kaczyński ostatecznie spotkał się z nią dzień później, ale i tak kontakt z nim był utrudniony, bo przebywał w Londynie.

Menedżer: – Krupiński wyleciał z PZU, ale szybko dostał posadę w Pekao S.A. A potem wyleciał i stamtąd, bo go Ziobro przestał bronić. Stało się tak dlatego, że Michał pokłócił się na śmierć i życie z Witkiem Ziobro, bratem Zbyszka zatrudnionym w banku, z którym łączyła go przez lata bardzo bliska relacja. Zresztą ta zażyłość w pewnym momencie zaczęła rozwalać bank od środka. Witek Ziobro był tam politycznym nadzorcą i pilnował interesu w imieniu brata. Krupiński tak się wkurwił, jak się dowiedział o wyrzuceniu z banku, że wybiegł w amoku z biura, ale po chwili chciał wrócić. No i mu karta wejściowa już nie zadziałała. Portier na dole nie chciał go wpuścić. Szarpali się. Jacyś przypadkowi ludzie na to patrzyli. Komedia.

Ziobrysta: – To, że Morawiecki zaczyna prowadzić przeciw nam brudną grę, dostrzegliśmy dość wyraźnie pod koniec 2018 roku. Po wyborach samorządowych w mediach pojawiły się doniesienia, że prezes Kaczyński oskarża ministra Ziobrę o działania, które osłabiły wynik prawicy. Patryk Jaki przegrał wybory w Warszawie już w pierwszej turze. PiS przejął kontrolę tylko nad połową sejmików, choć historycznie był to jeden z najlepszych wyników pojedynczego komitetu w wyborach na szczeblu wojewódzkim.

Kamil Dziubka: – Co takiego rzekomo zrobiliście, że to wpłynęło na wynik?

Ziobrysta: – Minister Ziobro złożył skargę do Trybunału Konstytucyjnego w sprawie legalności niektórych przepisów Traktatu o Unii Europejskiej. Ludzie Morawieckiego zaczęli inspirować medialne ataki na ministra, przekonując, że ten wniosek wywołał szkodliwą dla prawicy dyskusję o polestice, co doprowadziło do częściowej demobilizacji naszych wyborców i niespotykanej aktywności wyborców opozycji. A najśmieszniejsze w tym

wszystkim było to, że Morawiecki brał udział w konsultacjach na temat tego wniosku do TK. Dziwnym trafem później o tym już nie mówił. W trakcie jednej z narad już po wyborach Morawieckiego zaatakowała za to Szydło. Doszło do sytuacji, w której prezes Kaczyński musiał uspokajać towarzystwo. Jak nauczyciel w szkole. Był zdezorientowany, ale chyba zrozumiał, że ktoś chce z niego zrobić głupka. Później kazał ukrócić tę dyskusję. Wydaje nam się, że już wtedy premier szukał możliwości osłabienia nas i być może nawet pozbycia się Zbigniewa Ziobry z rządu.

Wiceminister: – Prawdziwa wojna wybuchła po wyborach prezydenckich w 2020 roku. Pretekstem były decyzje Morawieckiego na szczycie Unii Europejskiej. Nałożyło się to na negocjacje dotyczące rekonstrukcji rządu, bo umowa była taka, że po tych wyborach trzeba będzie podpisać nową umowę koalicyjną. W pewnym momencie było tak ostro, że jak Terlecki spotkał jednego ziobrystę w Sejmie, to go pytał, czy już ma biurko posprzątane. Poszła wtedy plotka, że Kaczyński negocjuje z Kosiniakiem-Kamyszem wejście PSL do rządu po wyrzuceniu Solidarnej Polski. Powstał też plan radykalnych rozliczeń i śledztwa w sprawie finansów tej partii.

Poseł: – Kaczyński dał wtedy sygnał Przemysławowi Czarnkowi, że ma się szykować na ministra sprawiedliwości, bo Ziobro prawdopodobnie wyleci. I Przemek mentalnie już był po drugiej stronie. Był przekonany, że idzie na prokuratora generalnego sprzątać po Solidarnej Polsce. A był idealnym kandydatem z punktu widzenia Jarosława. Profesor prawa, wyrazisty, o mocno prawicowych poglądach. Prezes uważał, że ktoś taki będzie stanowił przeciwwagę dla Ziobry, bo ten by nas ostro atakował po wyrzuceniu z rządu. No ale się okazało, że Kaczyński z Ziobro się dogadał i temat był nieaktualny. Jarosław dał Czarnkowi to Ministerstwo Nauki trochę na pocieszenie. Wiem jednak, że w Przemku do dziś siedzi, że nie został ministrem sprawiedliwości.

Poseł: – Ziobro zauważył, że wyrasta mu konkurent po prawej stronie w postaci Czarnka. Wydarzyło się coś, co moim zdaniem może mieć z tym związek. I to jest bardzo brutalne. W pewnym momencie został zatrzymany pod poważnymi zarzutami ojciec Tomasza Rzymkowskiego, wiceministra edukacji u Czarnka, który jest jego bardzo bliskim współpracownikiem. Znają się z Lublina, z uczelni. Bliska znajomość. Jak słyszałem, Rzymkowski jest przekonany, że zarzuty wobec jego ojca zostały sfingowane, a odpowiedzialna jest za to prokuratura Ziobry. Zresztą kiedy było głosowanie w Sejmie nad wotum zaufania wobec ministra sprawiedliwości, Rzymkowski nie wziął

udziału w tym głosowaniu. Moim zdaniem nie chciał go bronić, bo uważa, że uderzenie w jego ojca jest pośrednim ciosem w Czarnka za jego polityczne ambicje. Bo on chciał być ministrem sprawiedliwości.

Ziobrysta: – Jeśli u Czarnka ktoś tak myśli, to niech się puknie w łeb. Tam są poważne zarzuty, które nie mają nic wspólnego z polityką. Zresztą słyszałem, że Czarnek mocno zabiega o przychylność Zbigniewa Ziobry, więc może niech najpierw porozmawia ze swoim wiceministrem.

Znajomy Przemysław Czarnka: – Z tego co wiem, to Ziobro sam zaczął starać się o nawiązanie relacji z Przemkiem po tym kryzysie rządowym w 2020 roku. A to nie jest dla niego typowe. Bo Zbyszek się nie lubi spoufalać. A w przypadku Przemka Ziobro sam zaproponował, żeby mówili sobie po imieniu. To świadczy o tym, że chce mieć z nim jakąś nić porozumienia. Pewnie w myśl zasady, że przeciwników trzeba trzymać blisko.

Ziobrysta: – Morawiecki tuż po wyborach w 2019 roku przyklepał na unijnym szczycie Green Deal, czyli pierwsze duże porozumienie w sprawie redukcji emisji CO₂. Jarosław Kaczyński niespodziewanie zaczął mówić o tym, że to jest rzekomo ogromny sukces premiera. Minister Ziobro napisał wtedy list do Jarosława Kaczyńskiego, w którym informował go o konsekwencjach tej decyzji. I cisza.

Kamil Dziubka: – Czyli prezes PiS po prostu zaufał premierowi, a nie ministrowi sprawiedliwości.

Ziobrysta: – Nie wiem, dlaczego tak się stało. Mam podejrzenia. Wie pan, w jaki sposób Morawiecki zrobił karierę w banku? Przedstawiał piękne wizje tym swoim irlandzkim właścicielom. Mamił ich strategiami, slajdami, wielkimi hasłami. Wypisz wymaluj to, co robił potem w rządzie. Trzeba mu przyznać, że on to naprawdę dobrze robi.

Poseł: – Ziobro zaczął pokazywać, że premier tylko udaje pisowca, a tak naprawdę w głębi duszy wciąż jest gościem, który doradzał Tuskowi. To była nieprawda, bo Morawiecki ma jednoznacznie prawicowe poglądy, ale w sprawach unijnych po prostu uważa, że warto jednak trzymać się pewnego głównego nurtu, bo poza nim alternatywy nie ma. Można się oczywiście starać jakoś to drobnymi kroczkami zmieniać, ale w Europie realnych sojuszników do przeprowadzenia takiego procesu jest bardzo niewiele. Ale

to, co zaczął robić Ziobro, mocno irytowało Kaczyńskiego. Mówił: „On myśli, że jest prawdziwym PiS-em? Że jest bardziej prawdziwy niż ja?”

Ziobrysta: – Myśmy się zaczęli domagać, żeby w grudniu 2020 roku Morawiecki pokazał jaja i zawetował unijny szczyt, na którym się decydowały sprawy związane z budżetem i praworządnością. I Kaczyński w pewnym momencie zaczął nam dawać do zrozumienia, że to my mamy rację, a nie Morawiecki. To było zaskakujące, ale nas to oczywiście ucieszyło, bo byliśmy przekonani, że prezes dał się przekonać do naszej, twardej linii. To było zresztą widać po tym, co Kurski pokazywał w TVP. Przecież tam w każdym programie szedł przekaz: „Będzie weto! Będzie weto!”. I pewnego dnia, w grudniu 2020 roku, Morawiecki ściągnął do Warszawy Viktora Orbána, który był jakoś dogadany z Merkelową. To była nagła wizyta. Dostaliśmy sygnał, że on przyjeżdża, dosłownie kilka godzin przed wylądowaniem jego samolotu w Warszawie. Orbán przyjechał tylko po to, żeby przekonywać Zbigniewa Ziobrę. I nagle się okazało, że Jarosław Kaczyński prowadził z nami grę, bo powiedział nam, że weta nie będzie.

Współpracownik Zbigniewa Ziobry: – Wiem, że ludzie myślą, iż odgrywaliśmy wtedy teatr, ale na zarządzie naszej partii naprawdę stanął wtedy wniosek o wyjście z klubu PiS. Mieliśmy dość Morawieckiego, którego ulubionym zajęciem stało się okłamywanie jednego człowieka, czyli Kaczyńskiego. Prezes mu niestety uwierzył. Było prawie pół na pół w głosowaniu. Pamiętam też, że była wtedy dyskusja o wyrzuceniu Janusza Kowalskiego, który najgłośniejszemu u nas gardłował przeciw Morawieckiemu.

Kamil Dziubka: – No to jak, mieliście dość Morawieckiego, a chcieliście wyrzucić Kowalskiego?

Współpracownik Zbigniewa Ziobry: – Bo nie wszyscy popierali jego metody. On jest trochę wolnym elektronem, są koledzy, którzy go nie lubią. Uważają, że często wychodzi przed szereg. Pamiętam konferencję prasową w Sejmie jesienią 2020 roku, kiedy prowadziliśmy negocjacje koalicyjne z PiS i było blisko rozpadu koalicji. Kowalski bez uzgodnienia z nikim zagroził, że wkrótce możemy sami z siebie opuścić rząd. Po tej konferencji zebrał solidny opierdół.

Ziobrysta: – Nie wiem, czy uzgadniał z kimkolwiek, ale jeśli coś takiego powiedział, to za wiedzą Ziobry. Ziobro często wykorzystywał Kowalskiego do powiedzenia tego, czego on sam nie mógł otwarcie mówić.

Poseł: – Kowalski to jeden z największych wrogów Morawieckiego. A wie pan, dlaczego on tak mocno krytykuje PiS? Wszystko przez Elżbietę Witek, która w 2019 roku została szefową MSWiA. Kowalski był wtedy w zarządzie Polskiej Wytwórni Papierów Wartościowych. Witek jako reprezentantka Skarbu Państwa w PWPW po prostu nie przedłużyła Kowalskiemu kadencji w zarządzie spółki, więc trafił do zióbrystów. Morawiecki do dziś wspomina, że mógł mieć Kowalskiego po swojej stronie, bo jako minister rozwoju chciał go zrobić prezesem Poczty Polskiej. Tyle że teraz musiał go przyjąć do rządu na wiceministra rolnictwa, bo Kaczyński musiał coś dać zióbrystom. Podobno Morawiecki zbladł, jak się dowiedział, że Kowalski wraca.

Wiceminister: – Ziobro fikał, ale też był niepotrzebnie upokarzany. W trakcie dyskusji w Sejmie na temat Krajowego Planu Odbudowy, któremu Solidarna Polska się sprzeciwiała, Ziobro wstał z ławy rządowej, podszedł do Elżbiety Witek i chciał zabrać głos. Ona się zawahała. Widać było, że już się prawie na to zgodziła. Wtedy Terlecki kiwnął w jej stronę i ona momentalnie się cofnęła. Ziobro nie zabrał głosu, choć zgodnie z konstytucją miał do tego absolutne prawo jako minister sprawiedliwości.

Zióbrysta: – Morawiecki wrzucił nagle ustawę o Sądzie Najwyższym, która miała odblokować KPO wtedy, kiedy Kaczyński szykował się już do szpitala na operację kolana. Prezes chyba już potem machnął na to ręką. Dał wprawdzie wywiad, że to szkodliwa ustawa, ale nie kruszył o to kopii, bo był przekonany, że tych pieniędzy przed wyborami i tak nie będzie. On by się na wszystko zgodził, żeby utrzymać swoją pozycję. Stąd błędy między innymi w sprawie KPO. Morawiecki zgodził się na takie ustępstwa, na jakie się Platforma nie zgadzała. PO może oddawała guziki, ale myśmy oddali płaszc. Jak to prezes kupuje? Nie mam pojęcia.

Rozdział VI

Banita



Kurski w pewnym momencie uwierzył, że może być samodzielnym graczem. Miał ambicję strącania ministrów, może nawet samego Morawieckiego. Pycha go zgubiła. A wydawało się, że jest już takim stałym elementem obozu. Jak Maciej Szczepański za Gierka. Taki czerwony książę w wydaniu pisowskim.

Członek władz PiS: – Ja z panem bardziej szczerze rozmawiam niż z Kurskim. W życiu bym się z nim nie zakolegował. No ale Jarek go lubił. On przy wszystkich swoich wadach jest dobrym gawędziarzem, dowcipnisiem, typ skurwysyna, ale inteligentnego. Jeśli prezes ma wokół siebie ludzi pokroju Marka Suskiego, no to z takim Kurą zawsze z przyjemnością pogadał. A Jacek zawsze mógł sypnąć jedną czy drugą anegdotką, ploteczkę sprzedać.

Poseł: – Pamiętam rozmowę z Lechem Kaczyńskim. To było w czasach, kiedy Kurski poszedł do Ligi Polskich Rodzin. Lata temu. I z taką troską Leszek mówi: „Oj, prędko się przejedzie na Kurskim Roman Giertych”. Nie minęło kilka tygodni od tej rozmowy, a Kura rzeczywiście pokłócił się z Giertychem i na kolanach wrócił do nas. Ale wcześniej nam jeszcze donosił, co tam się w LPR dzieje.

Współpracownik Andrzeja Dudy: – Kurski zachowywał się wobec prezydenta skandalicznie. Po prostu skandalicznie. Kiedy prezydent zawetował w 2017 roku ustawy sądowe, Kura puścił w TVP najpierw orędzie Beaty Szydło, a potem dopiero Dudy, mimo iż informację o orędziu głowy państwa dostał wcześniej. Coś niebywałego. Poza tym rozповідаł na mieście o Andrzeju gorsze rzeczy niż o Morawieckim: o jakichś romansach, nieślubnych dzieciach, że pije. Prezydent doszedł do wniosku przed wyborami w 2020 roku, że jego działalność to dywersja i może przegrać przez niego wybory. Wiedział, że PiS oczekuje podpisu pod ustawą o dwóch miliardach wsparcia dla TVP, więc stwierdził, że to jest okazja do wywalenia Kury z Woronicza. Zresztą Andrzej Kurskiego nigdy nie lubił i nigdy by się z nim nie zakolegował, bo to jest prostak, cynik i z oczu mu źle patrzy. Kiedy odszedł z PiS do Solidarnej Polski, opowiadał o Kaczyńskim najbardziej obrzydliwe rzeczy. I nie tylko o nim. Mówił, że demokracja w PiS-ie to już prawie jak demokracja w Korei Północnej, a Macierewicz w przeszłości skakał na główkę do basenu, tyle że bez wody. Dziwię się, że Jarosław wziął go z powrotem pod swoje skrzydła. Zwłaszcza po tym, co Kura mówił o Lechu już po Smoleńsku. Przecież on go po śmierci krytykował za podpis pod

traktatem lizbońskim, bo to przekreśliło możliwość wprowadzenia kary śmierci.

Kamil Dziubka: – Jak zareagował Kaczyński na żądanie wyrzucenia Kurskiego?

Współpracownik prezydenta: – Prezes przyjechał na spotkanie do Biura Bezpieczeństwa Narodowego. Duda powiedział mu, że żąda tej dymisji. Kaczyński słuchał i milczał, po czym wstał i wyszedł. Spotkanie trwało dwie minuty. A potem dał zielone światło, żeby Kurę wyrzucić (śmiech). Jednak to była ostatnia bezpośrednia rozmowa Kaczyńskiego z prezydentem.

Kamil Dziubka: – Po czym Kurski został doradcą nowego prezesa TVP, czyli Macieja Łopińskiego. A potem wrócił na fotel prezesa. Kaczyński rozegrał prezydenta.

Współpracownik prezydenta: – Nie rozegrał, tylko oszukał. Układ był taki, że prezesem po Kurskim będzie Mateusz Matyszkowicz z TVP Kultura. Ten sam, który dwa lata później ostatecznie Kurę zastąpił. Uznawany jest za człowieka Glińskiego. Z kolei informacjami miała zarządzać bliska prezydentowi Marzena Paczuska. Wszystko się posypało, bo Kaczyński nie był w stanie tego przełknąć i dać Dudzie satysfakcji. Inna sprawa, że potem Kurski był wobec prezydenta potulny jak baranek. Skończyło się roznoszenie plotek, sekowanie na antenie. Więc pod tym względem prezydent osiągnął pewien cel. Choć jeszcze raz nas Kurski wkurzył. To on wymyślił słynną debatę w Końskich w trakcie kampanii prezydenckiej w 2020 roku. To mogło nas bardzo drogo kosztować. Na szczęście nie przyjechał na nią Trzaskowski, ale gdyby przyjechał, wygrałby ją, bo nie da się przegrać debaty w TVP będącej symbolem propagandy władzy. Nie wiem, dlaczego sztab Trzaskowskiego zdecydował inaczej.

Uczestnik kampanii w 2015 roku: – Kura zaszedł Dudzie za skórę, jeszcze zanim ten został prezydentem. Na przełomie kwietnia i maja 2015 roku, czyli tuż przed pierwszą turą wyborów prezydenckich, zrobiliśmy badania. Wysły bardzo dobrze dla Dudy. Kurski o tym wiedział, a wcześniej tygodniami bezskutecznie dobijał się do sztabu, żeby mieć jakikolwiek udział w sukcesie. Pojechał na Nowogrodzką i zaczął przekonywać Kaczyńskiego, że... Duda jest o krok od klęski. A Jarosław mu uwierzył. Prezes naprawdę nie jest gościem, który siedzi spokojnie, bo ma wielką strategię, którą wymyślił pięć lat wcześniej. On autentycznie panikował. Trzy dni przed wyborami „Wyborcza”

daje tytuł, że pierwsza tura dla Komorowskiego jest o krok, wypuszcza podkreślony sondaż. I zaczyna się gra. Pewne osoby zaczynają saczyć prezesowi, że idziemy na przegraną. Wśród tych osób jest Jacek Kurski. To on wmówił Jarosławowi, że na przykład Duda źle wypadł u Beaty Tadli w studiu TVP, choć sztab miał zupełnie inną ocenę. Kura przekonywał, że Tadla zmiotła Dudę. Owca

PR-owiec: – Była taka historia z kampanii oparta na przeciekach z WikiLeaks, z której wynikało, że Platforma chce sprzedać lasy. I Kurski nakręcił antysemicki spot na ten temat. Kończył się sceną, kiedy dziecko wpada na ogrodzenie, które wyrasta w środku lasu. No i w tym klipie, w pierwotnej wersji, poszedł przekaz, że Platforma sprzedaje lasy Żydom. Kurskiemu prawie się udało przekonać prezesa, żeby dał pieniądze na emisję tego w telewizji, tyle że w ostatniej chwili ktoś dotarł do Kaczyńskiego. Podobno Jarosław dał się przekonać argumentem, że za WikiLeaks stoją ruscy, którzy mogliby spreparować informacje nie tylko na Platformę, ale też na przykład na Lecha Kaczyńskiego. Ostatecznie Kura puścił swój klip za darmo w internecie bez antysemickiego wątku. Ale było tego więcej. To Kurski podsunął Dudzie pytanie do Komorowskiego o przeprosiny za Jedwabne w pierwszej debacie telewizyjnej pomiędzy nimi. To było kompletnie niepotrzebne. Już pomijam, że żona Dudy pochodzi z rodziny o żydowskich korzeniach.

Współautor kampanii: – W pierwszej debacie Komorowski zmiażdżył Andrzeja. Do tej debaty Dudę przygotowywał Kurski. Wymyślili taką strategię, że Andrzej będzie grzecznym panem doktorem prawa, który byłby zaprzeczeniem wujowatego Bronka. No i przyszedł Bronek i mu spuścił wpierdol. Zaczęło się szukanie winnych porażki. Kurski wpadł na pomysł, żeby oskarżyć TVP o potajemne spiskowanie ze sztabem Komorowskiego, który miał dostać od telewizji pytania jeszcze przed debatą. Zresztą Jarosław publicznie to powiedział. Na szczęście udało się Kurę odsunąć od sztabu przed drugą turą.

Poseł: – Kurski przeszedł mocny czyściec w 2015 roku. Prawie wszyscy dawni zdrajcy dostali wtedy od Kaczyńskiego miejsce na liście do Sejmu lub Senatu, w tym Bielan i Ziobro. A on nie. I wiecznie wtedy był w roli tego osła ze „Shreka”, który krzyczał „mnie weźcie, mnie weźcie”. Było takie spotkanie w składzie Kaczyński, Szydło, Brudziński i jeszcze kilka osób. W pewnym momencie Joachim mówi: „O, Kura znowu dzwoni. Już trzeci raz dzisiaj. Odebrać?”. A Jarosław: „Nie. Niech dzwoni dalej”. I wszyscy wybuchnęli

śmiechem. Prezes go z premedytacją wtedy czołgał, żeby sprawdzić jego determinację. A Kurski był na skraju wyczerpania nerwowego. Wiem, że się nawet ludziom z Platformy wypłakiwał, jak ich spotykał przy okazji jakichś programów telewizyjnych. No bo był w sytuacji syna marnotrawnego, który wrócił, ojciec z nim porozmawiał, ale utuczonego cielęcia dla niego nie zabił. Pensji nie miał, bo rok wcześniej wyleciał z Parlamentu Europejskiego, i żył z oszczędności. Na dodatek Jarosław mu kazał uregulować sytuację prywatną. Kurski wtedy się rozwodził z żoną, plotki chodziły o tym, że ją zdradzał. Nie wyglądało to dobrze. Ale już wtedy Jacek był pewny, że na prawicy nie da się zbudować niczego sensownego bez udziału Jarosława. Sam kiedyś przyznał, że wydawało mu się, że młodzież może lepiej przewodzić obozowi. Dopiero jak wziął się za współkierowanie Solidarną Polską i dostał w dupę, docenił Kaczyńskiego.

Minister: – Posłem ostatecznie nie został, ale Jarek go wysłał do Ministerstwa Kultury. Dla mnie późniejsze wejście Kurskiego na Woronicza było zaskoczeniem. Wydawało mi się, że jak już został tym wiceministrem kultury, to tam przycupnie na cztery lata, żeby się politycznie odbudować i startować znowu do Sejmu. Może jakoś by przetrwał za te sześć tysięcy na rękę.

Telewizja Kurskiego

Poseł: – Ponoć prezesurę na Woronicza Jarosław wstępnie obiecał Krzysztofowi Skowrońskiemu. Najzabawniejsze jest to, że już wtedy dobrze wiedział, że TVP weźmie Kura.

Poseł: – Kurski od razu położył łapę na wszystkim. Nie chciał się dzielić realną władzą. Były rozmowy, w których brał udział on, Paweł Kukiz i kuzyn prezesa Jan Maria Tomaszewski. Kukiz chciał mieć kontrolę nad TVP2 i całą rozrywką w telewizji. Mówił, że Kura to spieprzy, bo się na tym nie zna. Powiedział, żeby PiS wziął sobie resztę, w tym informację i publicystykę. Nic z tego nie wyszło, bo sobie nie zdawał sprawy, jak ważna dla Kurskiego jest rozrywka, co potem pokazały kolejne sylwestry. Ludzie z Zakopanego mi opowiadali, że Jacek rozpytywał o możliwość podświetlenia Giewontu, żeby ładnie na obrazku to wyglądało. Zresztą to Zakopane i disco polo wymyśliła późniejsza żona Kurskiego.

Minister: – O tym, że Kurski zostanie prezesem TVP, Beata Szydło dowiedziała się prawie na końcu. Nie chciała Kury. Wszyscy zresztą sądziliśmy, że wpływ na Telewizję Publiczną będzie miał Piotr Gliński, który należał do takich najbardziej umiarkowanych polityków PiS-u, natomiast stało się podobnie jak z Ziobrą. Kurski przyszedł do Kaczyńskiego, przedstawił mu plan czystki i przekonał go do tego, że jest w stanie przeprowadzić zmiany w Telewizji Publicznej. Pamiętam, że bardzo szybko pojawiły się napięcia pomiędzy Morawieckim, Glińskim i Gowinem a Kurskim. Wszyscy wicepremierzy pielgrzymowali do Jarosława, żeby wypieprzył Kurę. Kaczyński im za każdym razem mówił, że się „zastanowi”.

PR-owiec: – Kurski przez pierwsze miesiące w TVP nie czuł się pewnie. Z jednej strony wiedział, że musi się poukładać z różnymi frakcjami, z drugiej był świadom tego, że jego los zależy tylko i wyłącznie od Jarosława. Dość szybko doszło zresztą do nieudanej próby zamachu na niego. Latem 2016 roku Kaczyński wyjeżdżał na wakacje. Wiedział o tym Czabański jako szef Rady Mediów Narodowych, która miała formalne prawo wyrzucić Kurskiego. A najlepiej takie tematy załatwiać, jak Kaczyńskiego nie ma w Warszawie albo jest w szpitalu. Tyle że Czaban pomylił się o jeden dzień i nie wiedział, że Kaczyński jeszcze nie wyjechał. Rada odwołała Kurę, a ten od razu pojechał na Nowogrodzką i ubłagał prezesa, żeby to cofnął. I cofnął. Czabański nigdy go nie lubił. I w różnych sprawach miał wpływ na Kaczyńskiego, bo się znają od bardzo dawna, lubią koty i tak dalej, ale Kurski był większym cwaniakiem od niego. Przynosił na Nowogrodzką jakieś prezentacje, pokazywał wykresy i przekonał prezesa, że dobre wyniki PiS na wsiach i w małych miasteczkach to jest jego zasługa. Podobno Jacek zlecił też zbieranie jakichś kompromitujących materiałów na Czabańskiego. Kura poczuł się pewniej, gdy po dwóch miesiącach od tego zamachu na niego Rada Mediów Narodowych powołała go na pełnoprawnego prezesa.

Pracownik TVP: – Jak Kurski się rozsiadł na Woronicza, to od razu było widać zmianę. Na reportera do „Wiadomości” przyszedł gość prosto z Telewizji Trwam, który zresztą był też absolwentem uczelni ojca Rydzyka. Wszedł do budynku niemalże jak wysłannik samego Pana Boga. Zaczął ludziom rozdawać święte obrazki i różańce. Podchodził do dziewczyn, kładł im rękę na czole i mówił: „Kochana, widzę, że dzisiaj potrzebujesz pomodlić się do Świętej Rity. Zostawiam ci obrazek z jej wizerunkiem”.

Były pracownik TVP: – Na początku „Wiadomościami” kręciła Marzena Paczuska. Na kolegium redakcyjnym rozdawała tematy reporterom, ale tylko

te, które nie dotyczyły twardej polityki. Ci, którzy dostawali polityczne tematy, musieli iść do gabinetu Paczuskiej i dopiero tam otrzymywali dyrektywy. Być może było jej głupio wydawać instrukcje przy wszystkich, zwłaszcza że początkowo ekipa programu była jeszcze mieszana. Część reporterów, których nie zdążyli wyrzucić, pochodziła z poprzedniej wiadomościowej ekipy. Instrukcje były spisywane na karteczkach. Paczuszka do tego stopnia pilnowała wszystkiego, że rozpisywałą reporterom, co konkretny rozmówca ma im powiedzieć. Nie na jakie pytania ma odpowiedzieć, tylko co ma w tej wypowiedzi paść. Mówiąc w skrócie, konkretny człowiek miał powiedzieć, że Tusk jest chujem, i dopóki nie wyciągnęło się rozmówcy z gardła takiej wypowiedzi, nie było sensu wracać do redakcji. Właściwie to reporter mógł nawet nie zadawać pytań, byleby padło to, czego Paczuszka chciała. Ona potrafiła zadzwonić do rozmówcy, który miał być nagrywany, żeby już wcześniej uzgodnić to, co on ma powiedzieć. Bardzo chętnie zgadzał się na to Stanisław Janecki z „Sieci”. Przyjeżdżał do niego człowiek z operatorem kamery, a Janecki mówił: „Dobra, Marzenka Paczuszka dzwoniła, ja już znam pytania, więc od razu mogę mówić”.

Kamil Dziubka: – Kurski się pojawiał w newsroomie „Wiadomości”?

Były pracownik TVP: – Tylko wtedy, kiedy przychodził jako rozmówca do „Gościa Wiadomości”, czyli programu publicystycznego tuż po „Wiadomościach”. Wówczas odwiedzał Paczuszkę w jej gabinecie. Natomiast częstymi gośćmi byli u niej bracia Karnowscy, którzy potrafili w jej gabinecie siedzieć godzinami.

Były dziennikarz TVP: – W pierwszych miesiącach Kurski ufał bardzo wąskiej grupie ludzi w firmie, dlatego chciał kontrolować prawie wszystko, co się pojawiało w informacjach. Odpowiednie przekazy dnia wysyłał do dyrektorów, a ci przekazywali to niżej: do kierowników i wydawców. Słyszałem, że zażądał też dostępu online do scenariuszy programów informacyjnych, włącznie z tekstami materiałów. I dostał to. Mógł z każdego miejsca na świecie w kilka sekund sprawdzić, czy w materiale o dziurach w drodze nie będzie niczego negatywnego na temat PiS. A jak bezpośrednio nie mógł podglądać, co będzie w programie, to kazał tego pilnować swoim zaufanym ludziom i na bieżąco relacjonować. Były też pojedyncze przypadki, kiedy Kurski pojawiał się w reżyserce jakiegoś programu. Nie po to, żeby ręcznie sterować wydawcami, ale żeby wyrzucić presję. Na początku przez jego ręce przechodziły nawet listy tematów i gości, którzy w kolejnych

dniach mieli się pojawić w TVP Info. Jeśli coś się Kurze nie spodobało, od razu trzeba było to zmieniać. Potrafił też zadzwonić osobiście z wytycznymi dotyczącymi konkretnych materiałów, które miały się ukazać w „Wiadomościach”.

Wiceminister: – Wiem, że był jeden moment naprawdę ostrej scysji w obozie dotyczącej Kurskiego. To było tuż po zamachu na Pawła Adamowicza. Chyba pierwszy raz na własne oczy widziałem taką konsternację najważniejszych polityków naszej ekipy. Modliliśmy się, żeby Adamowicz przeżył. Łukasz Szumowski, który wtedy był ministrem zdrowia, poleciał do Gdańska tuż po ataku. Prezydent jeszcze żył, ale Szumowski jeszcze ze szpitala dał nam sygnał, że to kwestia godzin, może minut. Wiedział, co mówi. Jest kardiologiem. W tych dniach odbyła się narada na Nowogrodzkiej. Premier Morawiecki zaczął sondować temat wymiany Kurskiego. Wtedy do akcji wkroczył sam Kura. Pojechał do prezesa i przekonał go, że nie można się cofać i trzeba trzymać się dotychczasowej linii. Pokazał mu fragmenty materiałów z przeszłości, w których politycy Platformy krytykują Adamowicza, i powiedział, że ludziom się wytłumaczy, że tak naprawdę dawni koledzy partyjni zaszczuli prezydenta Gdańska. Kaczyński to kupił.

Doświadczony parlamentarzysta: – To jest robione siekierą. Krew tryska naokoło. Jak nie trafi, to wtedy maczetą wyrównuje, żeby tam wszystko podzielić na małe kawałki. Z drugiej strony sam jestem zaskoczony, jak ta propaganda mimo wszystko mocno działa w dzisiejszych czasach, gdzie tyle jest alternatywnych źródeł informacji. Oczywiście jest część naszych wyborców, którzy by woleli, żeby to było takie, jak w szkole dawniej robiono sekcję zwłok żaby. Przypinało się szpileczkami, delikatnie skalpelkiem się wycinało co trzeba, preparowało się cichutko, elegancko. Taka propaganda by była bardziej znośna, no ale ta uchodzi za sukces, bo to jest robione dla jednego widza, czyli Kaczyńskiego.

Polityk PiS: – Siłą Kury były media liberalno-lewicowe i opozycja. Bo to oni narzucili przekaz, że dzięki Kurskiemu PiS wygrywa wybory. Szczerze? To są bzdury. On oczywiście utwardzał pewną część elektoratu, ale też z drugiej strony tym radykalnym przekazem zbudował Konfederację. Naprawdę można osiągać te same efekty, nie robiąc z TVP symbolu szmiry. Poza tym gdyby nie coroczne dotacje z budżetu, to tam z pieniędzmi naprawdę byłoby cienko. Telewizja wypuściła obligacje i inne papiery dłużne, które w kolejnych latach będą kosztowały setki milionów złotych. No ale jak się robi koncerty za kilka

milionów, które powinny kosztować co najwyżej kilkaset tysięcy, to taki jest efekt. Programy, w których gąże przekraczają kilkukrotnie ceny rynkowe, to jest kolejny element.

Pracownik TVP: – Normalnie zbiecie podestu pod plenerowe studio dla programu śniadaniowego powinno kosztować pięć, dziesięć tysięcy złotych. Sam widziałem fakturę za tę usługę na czterdzieści pięć tysięcy. Zrobiła to oczywiście firma zewnętrzna. Inny przykład. W pewnym momencie na Woronicza zbuntowali się kierowcy, którzy powiedzieli, że z firmy wylewa się morze pieniędzy, a oni jeżdżą za te same stawki od lat. Tak się zaparli, że TVP musiała wynająć firmę zewnętrzną do wożenia ekip. Koszt? Osiemset złotych za dzień. Panie, to chore jest. Pamiętam też, że u nas na antenie był kiedyś materiał o tym, że Hanna Gronkiewicz-Waltz wydała na roaming telefoniczny czterdzieści pięć tysięcy złotych, które wydzwoniła w trakcie delegacji zagranicznych. A niedługo potem się okazało, że jeden z orłów propagandy u nas wydał na telefon za granicą ponad sto tysięcy złotych.

Bywalec Nowogrodzkiej: – Kurski w pewnym momencie uwierzył, że może być samodzielnym graczem. Miał ambicję strącania ministrów, może nawet samego Morawieckiego. Pycha go zgubiła. A wydawało się, że jest już takim stałym elementem obozu. Jak Maciej Szczepański za Gierka. Taki czerwony książę w wydaniu pisowskim.

PR-owiec: – Kurski szukał człowieka, który zrobi film uderzający bezpośrednio w Morawieckiego. Chodziło o to, żeby wprost go powiązać z aferą GetBack. Nie z tym, że Kornel Morawiecki kiedyś tam interweniował w tej sprawie, tylko że Mateusz de facto w tym siedział i może jeszcze na tym zarobił. Kazał Kura swoim giermkom zbierać kwity i chodził z tym po mieście. No tylko że się każdy bał, bo ludzie wiedzieli, że to za gruba akcja.

Poseł: – Ktoś zorganizował kolację i to wcale nie w jakimś wąskim gronie. Był Jarosław, był Morawiecki, ktoś tam jeszcze i Kurski. No to Kura, ośmielony, zaczął jakieś teksty rzucać w kierunku Mateusza. Niby żarciki, ale tak naprawdę wbijał mu mocne szpile. Ludzie zaczęli patrzeć po sobie, bo się to zrobiło aż niezręczne. Niedługo potem Karnowscy zrobili galę nagrody Człowiek Wolności. Kurski tam jakiś laur dostawał. No i może nic by nadzwyczajnego w tym nie było, gdyby nie to, że zrobili specjalny film na jego cześć i go tam wyemitowali. A potem jeszcze Kura miał długie przemówienie. Najgorsze było to, że Jarosław siedział w pierwszym rzędzie

i obserwował, jak Jacka właściwie na ołtarze wynoszą. Minę miał nietęgą. Długo na tej imprezie nie zabawił.

Wiceminister: – Kura z żoną zaczęli robić z siebie parę książęcą. No niemalże drugich Lewandowskich. I to zaczęło kłuć w oczy, zwłaszcza że oni po rozwodach, potem te szybkie kościelne unieważnienia małżeństw. A oboje dzieciaci. Potem jeszcze się pojawiła ta sprawa z testami covidowymi, co to Kurę zwolnili z izolacji po dwóch dniach. Tam podobno jeszcze śmieszniej było, bo ta jego żona prawdopodobnie też została z izolacji zwolniona dokładnie w tym samym czasie. To śmierdziało na kilometr. W ogóle u nas to jest tajemnicą poliszynela, że szpital MSWiA, który to robił, to jest taki prywatny szpital Kurskich. Ona tam w środku pandemii rodziła, szczepienia dziecku tam robili, z paparazzi się tam umawiali.

Pracownik TVP: – Kurski pojechał na Eurowizję Junior do Paryża po tym szybkim zwolnieniu z izolacji. Jak się okazało, że chwilę wcześniej miał dodatnie testy, to cała ekipa telewizji, która wtedy pracowała we Francji, w panice pojechała na testy, bo przecież Kura brylował tam przez kilka dni i miał styczność z kilkudziesięcioma pracownikami firmy. Ludzie byli wkurwieni, bo to było tuż przed Wigilią i nie byli pewni, czy nie będą musieli spędzić świąt w izolacji.

Poseł: – Z Kurą było trochę tak jak w filmie „Sztos” o cinkciarzach, którzy wymieniali prawdziwą kasę na lewe banknoty. Tam padło takie zdanie: „Z biegiem czasu ciśnienie wzrasta, bo coraz więcej wyжебanych chodzi po mieście”. A Jacek sobie nagrabił u kilku ludzi. Zmarginalizował kuzyna prezesa Jana Marię Tomaszewskiego. Wywalił go z funkcji doradcy i wrzucił do Teatru Telewizji. Wyciął jednego dyrektora, który był człowiekiem Joachima Brudzińskiego. Gliński co chwilę marudził Jarosławowi, żeby się pozbył Kury. Kiedyś nawet podobno lobbował za tym, żeby zastąpić go Jackiem Karnowskim, ale sam Karnol chyba nie chciał wchodzić Kurze w szkodę, bo to kumpel Biereckiego, który jest udziałowcem mediów Karnowskich.

W złotej klatce

Poseł: – To Janina Goss go załatwiła. A to bardzo ważna osoba. Znała Kaczyńskich jako dzieci z czasów, kiedy w łódzkiej wytwórni był kręcony film

„O dwóch takich, co ukradli księżyc”. Oni mieszkali w domu jej rodziców. A potem jak matka Kaczyńskich była ciężko chora, to pożyczyła Jarkowi chyba ze dwieście tysięcy złotych, żeby urządził w domu taki mały pokój szpitalny. Dziś Goss nie pełni jakichś ważnych funkcji politycznych. Siedzi w spółkach. Ale uchodzi za osobę, która ma wpływ na prezesa, na sposób jego ubierania się, zresztą kupuje mu też ubrania. Kura wyrzucił ze stanowiska szefa TVP Łódź jej człowieka, na którego były zresztą skargi. Kurski pojechał do Łodzi osobiście poinformować pracowników, że ten dyrektor to złodziej, jego odwołanie jest ostateczne i nawet sam Kaczyński nie zmusi go do zmiany decyzji. No i Jacek miał pecha, bo został tam nagrany. Taśmę Gossowa zawiozła do prezesa, a ten zadzwonił do Czabańskiego, żeby załatwił sprawę.

Minister: – Kurski zdalnie wziął udział w posiedzeniu Rady Mediów Narodowych. Mówił o jakichś tam planach na przyszłość. Powiedział, co miał powiedzieć, rozłączył się, wyszedł ze swojego gabinetu i wszedł do windy. Wtedy Czabański błyskawicznie postawił wniosek o jego odwołanie. Przegłosowali to i był koniec.

Pracownik TVP: – Kurski był akurat w windzie na Woronicza. Zjeżdżał do garażu. Wyjechał z terenu firmy i dopiero dostał sygnał, że już go nie ma na prezesowskim stołku. Natychmiast wrócił do gmachu, ale ochroniarz go już nie przepuścił na bramkach: „Nie mogę panu otworzyć. Dostałem polecenie od prezesa”. Kurski odgrażał się: „Ja jestem prezesem! Zwolnię pana!”

Poseł: – Morawiecki tego dnia zabrał dziennikarzy na jakiś wyjazd w kraju. I wśród nich był Samuel Pereira, szef portalu TVP Info. Jak się dowiedział, że Kurskiemu ścięli głowę, to podobno wysiadł z rządowego autobusu i wrócił pędem do Warszawy. Jak gruchnęła ta informacja, to znajomy do mnie zadzwonił, żeby spytać, jak to interpretować. A ja mu mówię: „Poczekajmy do wieczornych »Wiadomości«”. Bo gdyby Kura wiedział, że go Jarosław wypieprzy, toby się na to przygotował. Pierwsze dwa materiały byłyby o tym, jak fatalną sytuację zastał w TVP, kiedy zaczynał, a jak wspaniale jest teraz, kiedy odchodzi. Trzeci materiał to byłby teledysk Zenka ku czci Kury, a na koniec jeszcze Holecka by z nim pożegnalną rozmowę przeprowadziła. Byłaby jedna wielka szopka w stylu Jacka. Nic takiego nie stało się.

Członek władz PiS: – Potem oczywiście Kurski robił akcję dezinformacyjną. Puszczął do dziennikarzy plotki, że to od dawna

zaplanowana operacja, której finałem będzie jego wejście do rządu. Co było oczywiście totalnym wymysłem. On chciał zostać ministrem, ale Kaczyński się na to nie zgodził. A Jacek grał ostro. Chciał zostać ministrem cyfryzacji jeszcze z jednego powodu. Mógłby trzymać łapę na przetargach dotyczących 5G.

Poseł: – Kurski już nawet robił casting na wiceministra i dyrektora generalnego do tego ministerstwa, które miał objąć. Jednak Jarosław ostatecznie zaproponował mu funkcję szefa komisji weryfikacyjnej do spraw rosyjskich wpływów, która ma ścigać Tuska za kontakty z ruskimi w sprawach energetycznych. Kura oczywiście nie chciał tego przyjąć, bo to ani władza, ani pieniądze, ani prestiż, a narobić się trzeba. Zapytał tylko Jarka, czy może sobie szukać pracy na własną rękę. I prezes się zgodził.

Współpracownik Jarosława Kaczyńskiego: – Janina Goss miała pretensje do Glapińskiego, że on mu zapewnił takie miękkie lądowanie w Waszyngtonie. Mówiła: „Dobrze, że tak daleko, ale dlaczego za tyle pieniędzy?”. Śmiała się, że za karę Kurski musiał podpisać kartę LGBT, która obowiązuje w Banku Światowym. Glapiński z kolei opowiadał, że Kura do niego zadzwonił i brzmiał, jakby telefonował z wnętrza piekła. Serce mu zmiękło (śmiech).

Znajomy Jacka Kurskiego: – Znam Jacka i jego temperament polityczny. Ten Waszyngton to dla niego jest złota klatka, w której się dusi. A ma polityczne ambicje. I budował na prawicy swoje aktywa. Pudrował teraźniejszość, upiększał swoją przeszłość. Miał chyba jeden problem. Matka Kurskich ma żydowskie korzenie, o których chciała zapomnieć. I te korzenie to jest też kłopot dla Jacka. Bo jeśli Kura chce być guru na prawicy, to to nie jest dla niego najlepsza legitymacja. Jego brat w książce napisał też, że ich przodkiem był doradca brytyjskiego premiera Lloyd George'a, który nie cierpiał Polaków. Powiedział po I wojnie światowej, że oddanie Polsce Górnego Śląska to jak sprezentowanie małpie zegarka. I tu nie chodzi o żadne antysemityczne poglądy z mojej strony, proszę sobie nawet tak nie myśleć. Chodzi o to, że dla tych, którzy wyznają spiskowe teorie, to jasne, że wszystko jest ukartowane, a światowy spisek żydowski położył łapę na wszystkim. Bo jeden z braci Kurskich jest oddelegowany do „Gazety Wyborczej”, a drugi do TVP.

Rozdział VII

Daniel „wszystko mogę”



Obajtek ma mocną pozycję wewnątrz obozu również przez to, że Orlen ma prawie siedemdziesiąt tysięcy miejsc pracy. On tam zatrudnia tabuny pociotków posłów, senatorów, radnych, którzy się stają jego dłużnikami. W innym miejscu fundacja Orleń rozdała wozy strażackie jakimś OSP. I tak to się kręci.

Znajomy Daniela Obajtki: – Daniel nie pije alkoholu. Po pierwsze, bo nie bardzo lubi. Po drugie, to mu szkodzi, bo bierze leki na zespół Tourette’a. Pamiętam, że kiedyś była taka mała imprezka. Wypiliśmy, ale naprawdę niezbyt dużo. Zadzwoił dzień później i żalił się, że jest kompletnie zniszczony. Poza tym on mało śpi przez tę chorobę. Jakies cztery, pięć godzin na dobę. W pracy siedzi od rana do wieczora. Stamtąd wiozą go prosto do mieszkania. Na mieście się nie stołuje, po knajpach nie chodzi. Wie pan, on się wychował na wsi, ma swoje kompleksy, przez te kilka lat bycia w Warszawie nie nawykł do „bywania”. Oczywiście ma swoje rozrywki i obsesje. Kocha pieniądze i ma głęboko zakorzenioną potrzebę posiadania. Taka chłopska, trochę góralska mentalność. Stąd te wszystkie działki. A druga rzecz to kobiety. Pod tym względem to jest wariat.

Bywalec Nowogrodzkiej: – Do Kaczyńskiego przyszedł kiedyś prezes dużej spółki. To było już w czasach, kiedy Obajtek siedział w Orlenie i zaczynało się głośno mówić o fuzji z Lotosem. Ten prezes rozstawił swój kramik, zaczął pokazywać slajdy, papiery. To była prezentacja jego autorskiej wizji budowy dużej firmy energetycznej, ale nie przez Orlen, tylko poprzez inną spółkę. Chodziło o to, żeby nie trzeba było się dogadywać z Komisją Europejską i sprzedawać części rafinerii, a potem jeszcze stacji Lotosu. Prezes tego wysłuchał, spojrzął temu prezesowi w oczy, klepnął go w rękę i powiedział: „Ja wiem, że wy Daniela macie za wariata, ale on realizuje testament mojego brata Leszka”. I to był koniec. Prezes kilka tygodni później wyleciał.

Poseł: – Przyznam, że Obajtek zrobił niesamowitą karierę w stylu Nikodema Dyzmy. Zresztą on strasznie się irytuje, jak ktoś przywołuje to porównanie.

Bywalec Nowogrodzkiej: – Jarosław za jego plecami się też z niego trochę śmieje. Na przykład z jego polszczyzny. Bądźmy szczerzy, Obajtek ma trochę problemów z językiem polskim. A Kaczyński bywa pod tym względem

bardzo okrutny. Pamiętam, że kiedyś dostał dokument podpisany nazwiskiem i imieniem. To znaczy, że ktoś się podpisał nie „Jan Kowalski”, tylko „Kowalski Jan”. I prezes powiedział temu, kto mu ten dokument podsunął, żeby zwrócił uwagę autorowi, że tak to się chłopci podpisują.

Poseł: – Jarosław zna deficyty Obajtka. Ale ceni go za to, że nie musi się certolić, jak czasem z innymi prezesami. Bo niejeden to by przyszedł z analizami dwudziestu prawników, że „panie prezesie, taki pomysł to dobry, tylko tutaj prawnicy piszą, że tego tak nie można i tak dalej, bo to nielegalne jest”.

Kamil Dziubka: – No ale Daniel Obajtek został zatrzymany przez służby.

Poseł: – Tak, w 2013 roku CBS zawiozło go do prokuratury w Ostrowie Wielkopolskim. A ponieważ nie dali mu leków, to wyładował tam w szpitalu. Wypuścili go po dwóch dniach i pojechał od razu do Warszawy. Na Nowogrodzkiej ledwo się trzymał, prawie go tam cuciliśmy.

Członek władz PiS: – Odbyła się wtedy narada w składzie: Kaczyński, Szydło, Brudziński, Lipiński, Mariusz Kamiński i Hofman. Głowili się, co z tym Obajtkiem zrobić, bo z jednej strony służby uderzyły w symbol naszej kampanii, z drugiej jednak zarzuty były dość poważne. No i Mariusz Kamiński mówi: „Trzeba się odciąć od niego”. Brudziński to samo: „Powiemy, że nie mieliśmy pojęcia o tych sprawach. Odetniemy się i będziemy mieli spokój”. Wtedy wstał Hofman i powiedział, że w takim razie on składa dymisję z funkcji rzecznika partii, bo nie wiadomo, czy Daniel jest winny, ale ewidentnie zatrzymali go za to, że nam pomaga. I że to ma być nauczka dla wszystkich, którzy będą po naszej stronie. Szydło też wtedy twardo stanęła za Obajtkiem. Powiedziała, że ręczy za jego uczciwość. I to przekonało Jarosława.

Doradca prezesa PiS: – Zrobiliśmy konferencję. Wyszedł na nią Jarosław, wyszła Szydło, a Daniel wjechał na wózku. Przez całą konferencję siedział. Nie wiem, czy on aż tak źle się czuł, że nie był w stanie stać, czy to było trochę podkrecone. Żadnego scenariusza bym nie wykluczał. To wszystko organizował Adam Hofman, a on pewne rzeczy potrafił dość cynicznie rozgrywać. Może to była zagrywka, żeby wzbudzić litość... Na pewno wtedy prezes w pewien sposób usynowił Obajtka. Widział go w takim stanie, że ich to zbliżyło.

Wyjątkowa pozycja

Bywalec Nowogrodzkiej: – Daniel powiedział kiedyś: „Jest rozkaz polityczny, to idę”. Jak są wątpliwości prawne, to to pierdoli i jakoś to będzie. Jarosławowi to się podoba. Daniel „wszystko mogę” Obajtek się nie zatrzymuje.

Poseł: – Daniel lubi powtarzać, że on nie udaje, iż jest menadżerem z rynku. On przyszedł tutaj, żeby realizować politykę Prawa i Sprawiedliwości, bo on z tą polityką się utożsamia. A wielu prezesów się trochę zautonomizowało, są skargi na nich. Prezes PKO BP Zbigniew Jagiełło był zawsze oskarżany, że – jak to ktoś pięknie powiedział – „nie dostrzega potencjału intelektualnego tkwiącego w lokalnych strukturach PiS”. Nasi pchali się do lokalnych oddziałów banku, a Jagiełło jednak pilnował, żeby tam nie przychodzili debile. Oczywiście, wziął trochę ludzi od Morawieckiego, ale nie chciał pewnie, żeby w każdym oddziale banku dyrektorem był pisowiec, który nie ma żadnych formalnych uprawnień i żadnego doświadczenia. A Obajtek się tym nie przejmował. I dlatego poszedł dalej.

Poseł: – Obajtek ma mocną pozycję wewnątrz obozu również przez to, że Orlen ma prawie siedemdziesiąt tysięcy miejsc pracy. On tam zatrudnia tabuny pociotków posłów, senatorów, radnych, którzy się stają jego dłużnikami. W innym miejscu fundacja Orlenu rozdaje wozy strażackie jakimś OSP. I tak to się kręci.

Poseł: – Z dobrego źródła wiem, że Daniel pomagał Beacie Szydło w wyciszeniu sprawy jej syna, który zrzucił sutannę. A potem tego syna zatrudnił w swojej firmie w Małopolsce pod zmienionym nazwiskiem. Obajtek miał z Szydło zawsze bliskie relacje. Jak przyjechał w 2015 roku do Warszawy, to wynajmował mieszkanie na Powiślu i Beata często u niego bywała. Nie wiem, jakie teraz są ich stosunki, bo Daniel zbudował lepsze relacje z Morawieckim. Oczywiście dzisiaj on w tych relacjach i z Beatą, i z Mateuszem stoi już na innej pozycji. Nie jest chłopcem z brudem za paznokciami, który musi się do kogoś zwracać z prośbą. To jego prośbą. Słyszałem, że Michał Dworczyk, jak był szefem Kancelarii Premiera, narzekał, że Daniel nie odbiera od niego telefonu. Bo dla niego partnerem jest Kaczyński, Morawiecki, a nie jakiś tam Dworczyk.

Członek władz PiS: – Daniel ma dziś u Jarosława wyjątkową pozycję. Może i jest jego krnąbrnym synem, ale on go autentycznie podziwia i po prostu lubi. Emocjonalnie na pewno jest mu bliżej do Daniela niż do Morawieckiego. Mateusz jest kostyczny, jego nie da się pokochać. A Obajtko można znienawidzić albo pokochać i wziąć ze wszystkimi jego wadami i zaletami. Zresztą Jarosław wie, z jakiej Obajtek wyszedł dupy. Przecież on pochodzi z okolic, w których prąd podłączyli dopiero w późnych latach siedemdziesiątych. Tam była straszna bieda. Poza tym on zawsze był taki swojski. Jarosław lubi takich gości. Obaj nie lubią jeździć za granicę, wolą być w Polsce. Zamiast jakichś wykwintnych dań preferują kiełbasę z grilla. Ta relacja nie jest racjonalna, tylko emocjonalna. Ale też Daniel nigdy prezesa nie oszukał. I robił, a nie mówił. Krupiński, jak był szefem Pekao S.A., kilka lat mamił Jarosława wizją kupna regionalnych mediów i nic z tym nie zrobił. A Daniel przyszedł i kupił. Tak samo z fuzją Orlenu z Lotosem. Dwadzieścia lat wszyscy o tym mówili, a Obajtek zrobił. Jak zrobił, to jest inna sprawa.

Poseł: – Jarosław ufa, ale sprawdza. Myśli pan, że po co wysłał mu do rady nadzorczej Orlenu swoją przyjaciółkę Janinę Goss, która wcześniej wycięła Kurskiego? Kaczyński dostał sygnał, że Daniel otorbia radę, która ma go kontrolować. A to jednego wysłał na jakieś forum do Dubaju, a to drugiemu przyznał ponoć wypasione mieszkanie służbowe. Orlen to jest potwór. Podobno jacyś krewni i znajomi królika biorą po dwadzieścia tysięcy złotych, a mają pod sobą cztery stacje, które muszą raz w tygodniu odwiedzić. Dla firmy to żadne pieniądze, a buduje się system wdzięczności i zależności. Nowogrodzka nie jest w stanie tego kontrolować.

Menedżer: – Janina Goss miała kontrolować Obajtko, a już jest w nim zakochana. Ona podobno ma słabość do nieco młodszych, zadbanych mężczyzn. A Daniel dba też o to, żeby pani Janina miała wszystko, czego potrzebuje. Mam na myśli na przykład ulubione ciasteczka pani Goss, które muszą stać na stole w trakcie posiedzenia rady nadzorczej. On tego osobiście pilnuje.

Minister: – Daniel sobie poukładał relacje z kim trzeba w PiS. Z Mateuszem jest jakoś w końcu dogadany, z Sasinem wielkiej miłości nie ma, ale jest rozejm. Kiedyś prezes PGE Wojciech Dąbrowski, który jest wytatuowanym sasinowcem, chodził po mieście i już zbierał ekipę do Orlenu. Po tych wszystkich publikacjach na temat domów Obajtko poszła fama, że Jarosław z niego zdejmie parasol ochronny. W PiS krążyły legendy, że on ma w sumie sto działek. Ale się uspokoiło. Dziś Obajtek z Sasinem

raczej nie wchodzą sobie w drogę. Zbyszek Ziobro wycofał z sądu akt oskarżenia wobec niego, więc tu też jest sztama. Jak ktoś mu zalazł za skórę, to Daniel biegł do Jarosława i Kaczyński ścinał głowę, komu trzeba. Nawet Piotr Naimski, który jest starym kumplem Macierewicza i był zawsze przeciwny fuzji Orlenu z Lotosem w takim kształcie, przegrał i musiał odejść. Chyba tylko Mariusz Kamiński otwarcie patrzy na Obajtka spode łba i go podgryza, inspirowane jakieś publikacje o tej rafinerii sprzedanej Saudyjczykom. Ale to jest wszystko, co on może zrobić.

Rozdział VIII

Giermkowie



Marek Kuchciński to dziwny gość. Czasem sprawia wrażenie, jakby był na prochach. Jest bardzo słaby medialnie. On nawet do TVP prawie nie chodzi.

Zlikwidował cykliczne konferencje prasowe marszałka Sejmu. Może dlatego że ma problem z zebraniem myśli, wystowieniem się. Zwykle jest rozkojarzony. Potrafi pomylić pory dnia i w południe powiedzieć „dobry wieczór”. Kosmita, który co chwilę mówi: „panie kolego, panie kolego”.

Wiceminister: – Kaczyński stworzył system ludzi, którzy bez niego nie istnieją samodzielnie. Brudziński, Suski... Jak zniknie Jarosław, znikną i oni. Nawet nie mają gdzie pójść. Kto ich przygarnie? Oni są skazani na trwanie przy prezesie. Zaczęli swoje biografie polityczne od Kaczyńskiego i skończą je na Kaczyńskim. Ludzie, którzy na różnych etapach byli wyrzucani z PiS albo sami odchodzili, byli najczęściej osobami bardzo samodzielnymi, które sobie świetnie gdzie indziej radziły.

Poseł: – Ze szczególnego stosunku prezesa do kobiet wzięła się kariera Beaty Mazurek. A to wyjątkowa postać. To jest prosta kobieta, baba z bazaru. Naprawdę byłem w szoku, jak się okazało, że ona została naszą rzeczniczką. Ona nienawidzi dziennikarzy. Kolega poseł dostał kiedyś telefon z zaproszeniem do TVN24. Powiedział, że jest w Warszawie i może przyjechać, tylko poprosił ich, żeby zadzwonili poinformować biuro prasowe, że będzie w studiu. No i się okazało, że Mazurkowa kazała zablokować wizytę w programie, kłamiąc, że tego kolegi nie ma w Warszawie, choć sam chwilę wcześniej powiedział ludziom z TVN24, że jest na miejscu. Wyszedł przez nią na kretyna. Teraz ona się trochę wyrobiła, ale ona na wolnym rynku by sobie nie dała rady. No i non stop chodziła na fajki z Rysiem Terleckim. Z tego się wzięły plotki, że mieli romans. Mieli gabinety obok siebie, chodzili razem na spacer po parku blisko Sejmu. Nikt ich chyba nie złapał, ale tak się mówiło. A że Rysio kobieciarz... Zresztą to on jej załatwił funkcję rzecznika, choć Jarosław nie był przekonany do tej kandydatury. Zgodził się, bo nie było dobrych alternatyw.

Europoseł: – Mazurkowa bardzo długo nie umiała zaakceptować tego, że już nie jest rzecznikiem partii, z czego wynikały kuriozalne sytuacje, kiedy wyjechała do Brukseli. Wiele razy zdarzało się, że w trakcie głosowań w Parlamencie Europejskim potrafiła zadzwonić do Jarosława, żeby go poinformować, że głosujemy w jakiejś sprawie i według niej stanowisko frakcji jest błędne. A Jarosław dawał się przekonywać, tyle że stanowisko prezesa przekazywała europosłom ona. Ludzie mieli do niej pretensje, bo

robił się bałagan. Co innego mieli wydrukowane na rozpisce głosowań, a co innego mówiła ona.

Poseł: – Jednak taki Terlecki, który uchodzi za twardogłowego szefa klubu parlamentarnego, ma swoją samodzielną biografię i bardzo długo żył poza centralną polityką. Siedział w krakowskiej radzie miejskiej i dłużej w aktach IPN.

Doświadczony parlamentarzysta: – Ojciec Terleckiego był wziętym literatem w czasach PRL. Miał zresztą epizod współpracy ze Służbą Bezpieczeństwa i Rysio go zlustrował w swojej książce. A jest przecież dobrym historykiem. Wcześniej miał okres burzy i naporu, dzieci kwiaty, związek z Korą, wążanie kleju. Dziś nie chce o tym w ogóle rozmawiać. Tak jakby się tego trochę wstydził. Jest naprawdę inteligentnym człowiekiem i ma też swoiste poczucie humoru. On jest zupełnie inny w kontaktach z dziennikarzami niż prywatnie. Moim zdaniem szkodzi sobie tymi występami medialnymi, bo gdyby ograł tę swoją lepszą część, czyli swój dowcip, zamiast bezczelności, byłby lepiej postrzegany. Na pewno nie jest aparaczką w stylu Marka Suskiego. Mam zresztą wrażenie, że Terlecki jest świadomy kabaretu, w którym uczestniczy.

Poseł: – W przeszłości świetnym szefem klubu był Przemek Gosiewski. Każdemu dał robotę. A był jak robot. Od ósmej rano siedział z zakasnymi rękawami i pracował. Miał niespożytą energię. Mariusz Błaszczak też uchodził za dobrego szefa, bo był miły, sympatyczny, z każdym porozmawiał, miał czas, można było do niego pójść. A jak przyszedł Ryszard Terlecki, to na początku nikt nie wiedział, po co prezes go przysłał. A z czasem się okazało, że Jarosław mu bardzo ufa. Rysio był zresztą jedyną osobą, która na posiedzeniach klubu pozwalała sobie zwracać się do Kaczyńskiego per naczelniku. Powiem więcej. Terlecki miał odwagę publicznie krytykować Jarosława za jakieś wpadki w jego przemówieniach w trakcie kolejnych objazdów kraju. Niby to było w żartach, ale może dlatego ma zaufanie prezesa. Zresztą on nie ma żadnych wybujałych ambicji. Ministrem być nie chce, bo to ciężka, codzienna robota. Terlecki częściej jest w Sejmie niż Ela Witek i jest na pewno bardziej decyzyjny niż ona. On zajmuje się procesem politycznym, a Witkowi zorganizowaniem i przeprowadzeniem tego formalnie przez Sejm. Identycznie było, kiedy marszałkiem był Marek Kuchciński. Zdarzały się sytuacje, kiedy na posiedzeniu Prezydium Sejmu Marek chciał pójść na rękę opozycji i wtedy najczęściej wtrącał się Terlecki: „A dlaczego tak? Nie ma takiej możliwości. Jak wygrają wybory, będą sobie

zarządzać Sejmem”. Często było też tak, że kiedy prezes przyjeżdżał na Wiejską, od razu kierował się do gabinetu Terleckiego. Później wolał korzystać z pomieszczeń marszałka, bo Rysio urzęduje w korytarzu, który jest blisko dziennikarskiego stolika i szybciej dziennikarze mogą się tam przemieścić.

Senator: – Terlecki kręci zarówno posłami, jak i senatorami. Stanisław Karczewski, który po 2015 roku był marszałkiem Senatu, z nim musiał uzgadniać ważniejsze rzeczy. Rozumie pan? Formalnie trzecia osoba w państwie musiała pytać o zdanie szefa klubu, który był wicemarszałkiem Sejmu.

Doświadczony parlamentarzysta: – Część kolegów miała poczucie, że przy okazji buntu opozycji i blokady Sejmu w 2016 roku Marek Kuchciński prawie nas wysadził w powietrze, a ostatecznie i tak dostał za to nagrodę.

Poseł: – Było wtedy spotkanie w Sali Kolumnowej. Przyszedł prezes z mocnym przesłaniem, że to, co robi opozycja, to jest anarchizacja państwa i musimy uchwalić budżet, bo jak teraz się raz poddamy, to pokażemy słabość. Wtedy powiedział też, że jeśli będzie trzeba, to użyjemy rozwiązań siłowych i posłowie opozycji zostaną siłą wyprowadzeni. I nagle z sali podniosło się kilkanaście głosów, głównie kobiecych: „Nie, nie, żadnej siły”. I prezes, który ewidentnie chciał zagrać rolę Piłsudskiego, chyba stracił rezon. Proszę sobie wyobrazić, co by się stało, jak Straż Marszałkowska zaczęłaby się przepychać z ponad setką posłów. To byłaby awantura, z której zdjęcia obiegłyby cały świat. To nie jest wyprowadzenie jednego wariata z Samoobrony, który kiedyś okupował mównicę. Komuś by się coś stało, ktoś złamałby komuś rękę. Miesiącami byśmy z tego wychodzili.

Poseł: – Kuchciński w trakcie kryzysu sejmowego pokazał, że się nie nadaje na tę funkcję. Dał się sprowokować Michałowi Szczerbie, który powiedział „panie marszałku kochany”. Powinien z tego zażartować, a wywołał potężny kryzys. Później chyba zrozumiał, że wpędził nas w gigantyczne kłopoty. Zachowywał się, jakby chciał się odgradzić od całego świata. Podobno kompletnie się wtedy posypał nerwowo. Kazał nawet później zawiesić na korytarzu prowadzącym do jego gabinetu w Sejmie wielką kotarę, która zasłaniała widok na jego drzwi.

PR-owiec: – Marek to dziwny gość. Czasem sprawia wrażenie, jakby był na prochach. Jest bardzo słaby medialnie. On nawet do TVP prawie nie

chodzi. Zlikwidował cykliczne konferencje prasowe marszałka Sejmu. Może dlatego że ma problem z zebraniem myśli, wysłowieniem się. Zwykle jest rozkojarzony. Potrafi pomylić pory dnia i w południe powiedzieć „dobry wieczór”. Kosmita, który co chwilę mówi „panie kolego, panie kolego”.

Poseł: – Kierował sztabem wyborczym w 2009 roku, kiedy były wybory europejskie. Jacek Kurski robił dla nas wtedy spoty wyborcze i wziął do pomocy swojego kumpla, z którym przed laty kręcili „Nocną zmianę”. No i ten gość robił jakiś klip. Zbliżał się dzień zgłaszania tych nagrań jako bezpłatnych audycji wyborczych do TVP. Czekamy na tego człowieka, bo miał przywieźć nagrania na kasetach. Gościa nie ma. Wieczorem przychodzi Kuchciński roześmiany i mówi: „Wiecie co? Zamknęli go, ha, ha, ha, zamknęli go”. Zdebieliśmy. Szef sztabu zamiast szukać człowieka, pęka ze śmiechu. Okazało się, że gościa rzeczywiście zamknęli, ale przy okazji jego sprawy rozwodowej. Nie stawiał się na rozprawę, miał też jakieś zaległości skarbowe i go przymknęli na czterdzieści osiem godzin. No ale sytuacja była taka, że my nie mamy nagrań, a Kuchciński się tylko śmiał, zamiast na gwałt szukać zastępstwa. Taki z niego był szef sztabu.

Bywalec Nowogrodzkiej: – Kuchciński poleciał, nomen omen, za aferę samolotową, jak się okazało, że sto razy używał samolotu rządowego, żeby się dostać do domu. Tyle że prezes kiedyś powiedział wprost, iż on uważa, że żadnej afery nie było. Po prostu nie miał wyjścia i musiał go zdymisjonować, bo była kampania, a media huczały tylko o tej sprawie. Krzywdy mu ostatecznie nie zrobił. Dał mu jedynekę z jego okręgu na Podkarpaciu, zrobił superwynik. Potem został szefem Komisji Spraw Zagranicznych, choć w obcych językach nie mówi. A teraz jest szefem Kancelarii Premiera.

Poseł: – Jak wyszła afera Kuchcińskiego, to Małgorzata Wassermann była na wakacjach. Dzwoni do niej Kaczyński z propozycją, żeby została marszałkiem Sejmu. Każdy normalny człowiek, choćby był i na Wyspach Kanaryjskich, spakowałby szybko torbę i wpław ruszyłby do Polski. Wpłynąłby do Gdańska, potem w górę Wisły, jakoś pokonałby tamę we Włocławku i dotarł do Warszawy. A Wassermann zaczęła się targować. Poprosiła o dwie rzeczy: po pierwsze, powiedziała, że niby wszystko fajnie, ale czy dałoby się przeprowadzić tę zmianę po jej powrocie z wakacji. A po drugie, chciała wynegocjować to, że będzie marszałkiem również po wyborach, które miały się odbyć trzy miesiące później. Oczekiwała od prezesa gwarancji. I Jarosław się nie zgodził. Zresztą chyba się na nią obraził,

bo o ile w pierwszej kadencji dał jej szefostwo komisji do spraw Amber Gold, to w drugiej nie dostała niczego sensownego.

Poseł: – Mariusz Błaszczak to jest typ gościa, który na najważniejszych spotkaniach raczej notuje, niż mówi. To jest facet absolutnie lojalny, o którym Kaczyński wie, że nigdy nie zostanie przez niego zdradzony. Mariusz na pewno jest sprawniejszy intelektualnie niż większość starych PC-owców, ale to nie jest specjalista od kreowania czegokolwiek. Jemu „Ucho Prezesa” dało więcej niż cała jego polityczna kariera, bo on tam został przedstawiony jako miły gość, który potrafi knuć. A to kompletna nieprawda. On zwykle siedzi z kamienną miną i pisze. I nigdy nie miał nawet ambicji wpływania na politykę.

Menedżer: – Błaszczak? Stuprocentowy, dogmatyczny, ortodoksyjny pisowiec. Asceta. Jak został szefem MON, to wysłał instrukcję do spółek z Polskiej Grupy Zbrojeniowej. Kazał oszczędzać na ciastkach, jednocześnie akceptując to, że miliardy przeciekają w innych miejscach. Klasyczny absolwent Krajowej Szkoły Administracji Publicznej, który koncentruje się na nic nieznaczących szczegółach. Ulegający wpływom różnych inspektoratów w wojsku. Generalnie kompletnie niedecyzyjny człowiek. To jest facet, który nie podejmie żadnej decyzji.

Kamil Dziubka: – To kto podejmuje te decyzje?

Menedżer: – Inspektorat Uzbrojenia.

Kamil Dziubka: – I Błaszczak się temu poddaje?

Menedżer: – No pewnie, a skąd on ma mieć jakąkolwiek wiedzę, skoro nigdy się tym nie zajmował?

Bywalec Nowogrodzkiej: – Joachim Brudziński chciał startować do Parlamentu Europejskiego już w 2009 roku. Prezes go nie chciał puścić. Mówił mu, że jest potrzebny tutaj. I to się powtarzało jeszcze kilka razy. No ale czas płynął, a koszty rosły. Joachim ma żonę nauczycielkę, trójkę dzieci. No i wreszcie wyjechał, żeby zarabiać. Ale ma na miejscu swoją ekipę. To są jego lojalni ludzie. No i dba o kontakt z prezesem. To on mu przecież organizuje te wakacyjne wyjazdy na Pomorze Zachodnie i w góry. Nie ma drugiej osoby, która by zabezpieczała prywatny czas prezesowi w takim wymiarze. Ściąga wtedy swoich kumpli, którzy umilają Jarosławowi

odpoczynek. Oczywiście potem się pojawiają memy, że Kaczyński to jest facet, który nawet swój urlop spędza z podwładnymi. I to jest trochę śmieszne, ale Brudziński dzięki takim rzeczom konsekwentnie budował swoją pozycję przez lata.

Europoseł: – Kiedyś Brudziński uchodził w partii za człowieka numer dwa, ale nie wykorzystał okresu naszego bycia u władzy. A przecież najpierw był wicemarszałkiem Sejmu, a potem szefem MSWiA. Na liście kandydatów do najwyższych funkcji pojawia się Błaszczak, Szydło, Witek. Nawet Daniel Obajtek się pojawiał. A Joachim jakoś nie. Myślę, że to jest potencjalny numer dwa, ale tylko techniczny. To znaczy taki, który przejmie obowiązki Jarosława, gdyby go nagle zabrakło. Ale raczej nie stanie do walki o trwałe kierownictwo w partii, bo moim zdaniem brakuje mu talentów przywódczych.

Poseł: – Adam Lipiński jest bliskim człowiekiem Jarosława, ale bardzo leniwym i bez jakichkolwiek osobistych ambicji. Jemu wystarczy być sekretarzem stanu w Kancelarii Premiera, mieć zawsze dostęp do prezesa. On sobie książkę poczyta, wypije, pogaworzy. Ma sekretariat, ma podwózkę, kasa płynie. Ma spore wpływy polityczne, ale nie musi się przepracowywać. I to się nie zmieniło nawet po tym, kiedy wszedł do zarządu NBP. Kiedyś startował do Parlamentu Europejskiego. Mówił nam wprost, że chce zarobić na dom.

Poseł: – Mariusz Kamiński? Niewierzący, który składając ministerialną przysięgę, powiedział: „Tak mi dopomóż Bóg”. Kiedyś prezes powiedział, że my jesteśmy partią, która wyznaje chrześcijaństwo, ale nie jesteśmy partią konfesyjną, o czym świadczy fakt, że nawet w kierownictwie mamy osoby niewierzące. Chodziło mu o Mariusza. On bywał na uroczystościach kościelnych, nie kryjąc tego, że jest ateistą. Jego syn chyba jest taki sam.

Kamil Dziubka: – Ten syn, który dostał pracę w Waszyngtonie za grube pieniądze?

Poseł: – Ten sam. Zresztą Mariusz jest po rozwodzie już dość długo. No trudne to było małżeństwo, podobno niewesołe rzeczy tam się działy. Jego była żona pracowała z Lechem Kaczyńskim. Potem trafiła do NBP pod skrzydła Glapińskiego. Ale oni z Mariuszem mają teraz raczej dobre relacje.

Wiceminister: – Morawiecki chciał się go pozbyć, bo się zwyczajnie w świecie nie lubili i mieli zły kontakt. Poza tym premier ma obsesję, że jest podsłuchiwany. Kamiński nigdy nie wpuścił też do służb ludzi związanych z Mateuszem. A premier chciał ich mieć. I dlatego on ma obsesję, że jest przez Kamińskiego zwalczany.

Urzędnik: – W pewnym momencie bardzo wzmożyły się plotki o problemach Kamińskiego z alkoholem. Doszły do mnie nawet informacje, że Mariusz rzekomo raz był w takim stanie, że trzeba go było zawieźć do szpitala, żeby mu podać dożylnie elektrolity przed posiedzeniem rządu. Stawiali go na nogi. Inni opowiadali, że kiedyś był podpity na jakimś spotkaniu z Morawieckim i się chwiał, czuć było od niego alkohol. Nie wiem, czy to prawda. Może takie plotki rozsiewali ludzie od Mateusza? Był moment, że premier chciał się pozbyć Kamińskiego, z którym nie miał najlepszych stosunków. Ale na pewno kiedyś Mariusz za kołnierz nie wylewał. On i Wąsik wywodzą się z Ligi Republikańskiej. To było bardzo imprezowe towarzystwo. W dawnych czasach zdarzało się, że nie byli w stanie normalnie przeprowadzić spotkania organizacji, bo po prostu byli pijani. Jednak kiedy byliśmy w opozycji, oni urzędowali na Nowogrodzkiej i wówczas o niczym takim nie słyszałem. Może po prostu Kamiński dobrze się krył. Są ludzie, którzy leczą kaca klinem i jakoś funkcjonują.

Poseł: – Mariusz był raczej lubiany w partii. Nie miał zbyt dobrych kontaktów z Jackiem Sasinem, miał trudne relacje z Błaszczakiem, ale to był wynik wewnętrznej rywalizacji polityków działających na Mazowszu. Dziś wiem, że część kolegów uważa, że Kamiński z Wąsikiem wszystkich podsłuchują, nie tylko Platformę.

Kamil Dziubka: – Nikt nie miał wątpliwości, że ministrem od służb zostaje człowiek, który był skazany za nadużycie władzy?

Poseł: – Prezes Kaczyński mu ufał i uważał, że wyrok na niego to zemsta przestępców. Zresztą Mariusz bardzo długo mówił, że ułaskawienie go nie interesuje, dlatego złożył w sądzie apelację i to już po wyborach, które wygraliśmy w 2015 roku. Miesiąc później ją wycofał, kiedy wiedział, że zostanie ułaskawiony. Ja byłem wtedy lekko zszokowany. Kamiński zawsze był pryncypialny. On przecież nawet oddał odprawę, którą dostał z CBA po wyrzuceniu go ze służby przez Tuska.

Minister: – Było jasne, że jeśli w ogóle nastąpi uniewinnienie, to i tak cała sprawa potrwa jeszcze długo. A skazujący wyrok, nawet jeśli nieprawomocny, blokował Mariuszowi dostęp do informacji niejawnych. Wyobraża pan sobie koordynatora służb bez takiego dostępu? No i jeszcze gdyby wyrok dotyczył innej sprawy niż przekroczenie uprawnień jako szefa CBA.

Urzędnik: – Widać było, że to ułaskawienie prezydenckie zostało wymyślone i zrealizowane w krótkim czasie. Okazało się, że nie było nawet porządnego wniosku o ułaskawienie. W archiwum Kancelarii Prezydenta znalazło się potem jakieś odręcznie napisane pismo, bez powołania się na prawnicze argumenty, bez wskazania konkretnych paragrafów. Ochłap.

Bywalec Nowogrodzkiej: – Kamiński w pewnym momencie zagiął parol na Mariana Banasia, który w 2019 roku został szefem Najwyższej Izby Kontroli. Jak TVN ujawnił, że w kamienicy Banasia jest hotel na godziny prowadzony przez typów spod ciemnej gwiazdy, to Mariusz od razu pobiegł na Nowogrodzką i zaczął naciskać, że Banasia trzeba ściąć.

Kamil Dziubka: – A jak Banaś doszedł do tego stanowiska, bo wielu ludzi o to pyta, ale mało kto zna odpowiedź?

Bywalec Nowogrodzkiej: – To jest dobre pytanie. W najbardziej kryzysowym momencie doszło do spotkania Banasia, Kamińskiego i Kaczyńskiego. W pewnym momencie Kamiński wypalił: „Marian, ale my w ogóle nie wiemy, skąd ty się wzięłeś”.

Znajomy Mariana Banasia: – W 2005 roku, kiedy PiS pierwszy raz sięgnęło po władzę, Marian nie dostał żadnej propozycji. Był rozczarowany tym, że koledzy z „Solidarności” o nim zapomnieli. Ale w tym czasie doradcą minister finansów został Meksykanin ukraińskiego pochodzenia, który współorganizował w Polsce struktury Opus Dei i był znajomym Banasia. Po tej nitce Marian trafił do rządu. Dosłownie w kilka dni ze stanowiska zwykłego kontrolera w delegaturze NIK w Krakowie przeniósł się do Warszawy na fotel wiceministra finansów. I tak to poszło. W 2015 roku jego powrót do resortu był już naturalny. Kiedy w 2019 roku nie było kandydata na ministra finansów, bo nikt tam nie chciał iść, Kaczyński poprosił Banasia, żeby to wziął. Kilka miesięcy później pojawił się pomysł z prezesurą w NIK i to była osobista decyzja Jarosława, że Mariana tam wsadzi. To się odbyło wbrew Mariuszowi Kamińskiemu, który miał na to stanowisko swojego kandydata.

Bywalec Nowogrodzkiej: – Po tej aferze z kamienicą w trakcie spotkania Kaczyńskiego z Banasiem w rządowej willi przy ulicy Parkowej w Warszawie prezes namawiał Mariana do dymisji. Jarosław oczywiście był bardzo uprzejmy. W pewnym momencie wezwał asystentkę Morawieckiego i wręcz rozkazał jej zadzwonić po premiera. Morawiecki pojawił się po kwadransie.

Kamil Dziubka: – Po co?

Bywalec Nowogrodzkiej: – Chodziło o zwiększenie presji. Morawiecki miał grać dobrego policjanta, który użyje merytorycznych argumentów, a nie siłowych jak Kamiński. Banaś został wtedy złamany i napisał papier z dymisją. Wysłał kierowcę z tym dokumentem do marszałek Sejmu. Ela Witek przeczytała kwit i stwierdziła, że Marian powinien na tym dokumencie wyznaczyć swojego następcę, który był wskazany przez Nowogrodzką. Kierowca wziął papier i pojechał z powrotem do NIK. W tym czasie Banaś się rozmyślił i odmówił podania się do dymisji. Słyszałem, że kierowcę, który wiozł te papiery, Marian potem zwolnił, bo podejrzewał go, że wynosi informacje na zewnątrz.

Znajomy Mariana Banasia: – Marian kilka razy się wahał i był bliski poddania się. Ale w końcu stwierdził, że jeśli odpuści, to go wsadzą. Nie odpuścił i go nie wsadzili, ale potem Kaczyński go jeszcze zapraszał na spotkania, żeby się dogadać. I chyba się dogadał, bo NIK przestała trąbić w pewnym momencie o niewygodnych dla PiS kontrolach. Jednocześnie Banaś utrzymywał kontakty z opozycją.

Wiceminister: – Przemysław Czarnek? Żołnierz. Zrobi to, co Kaczyński mu każe. On był przeciwny piątce dla zwierząt, a zagłosował tak, jak chciał Jarosław. Niektórzy posłowie, którzy pokazali wtedy Nowogrodzkiej środkowy palec, do końca go cisnęli, żeby był z nimi. A on nie. Potem nawet usłyszał od kogoś: „Nie masz po co wracać na Lubelszczyznę”. Podobnie było przy okazji ustawy o Sądzie Najwyższym, która miała uwolnić pieniądze z KPO. On mówił wprost, że to jest złamanie konstytucji, a i tak głosował „za”. Wychodzi z założenia, że na wojnie nie można strzelać do własnych oddziałów.

Poseł: – Czarnek pochodzi z małej miejsciny w Łódzkiem. Rodzice mu zmarli, jak był jeszcze dzieckiem. Wujek ksiądz go potem wychowywał. Kariera Przemka w PiS zaczęła się od doradzania w kwestiach prawnych. Miał taką małą działalność. Różne samorządy go zatrudniały. W pewnym

momencie ktoś go polecił jednemu z naszych posłów na Lubelszczyźnie. Absolutnie nie był wcześniej aktywnym działaczem partyjnym.

Bywalec Nowogrodzkiej: – Wiem, że liberalne media uważają Czarnka za prawicowego ekstremistę i troglodytę, ale uważam, że to jedna z niewielu osób dziś w partii, która mogłaby zostać premierem. Mówię to, bo mam okazję go obserwować z bliska. Jest sprawny intelektualnie, decyzyjny i potrafi brać różne rzeczy na klatę.

Dyplomata: – Prezes Kaczyński ma szczególną słabość do profesorów. To wynika z kompleksu, bo on sam nie zrobił kariery naukowej. Ma tylko doktorat. I dlatego skupił wokół siebie grupkę profesorów, którzy mają oczywiście swój dorobek, swoją pozycję, ale niekoniecznie bycie profesorem oznacza bycie dobrym politykiem czy dobrym dyplomatą. Szczególnie jeśli się nie ma doświadczeń w tym zakresie. Niestety cały oddział profesorów PiS wysłał do placówek zagranicznych, choć tam powinni siedzieć doświadczeni dyplomaci.

Poseł: – To przecież profesorowie są dziś głównymi doradcami Jarosława w sprawach polityki międzynarodowej. Profesor Krasnodębski ma olbrzymie ego. Profesor Legutko z kolei ma poczucie własnej wartości, ale jest fajnym człowiekiem. Można z nim normalnie porozmawiać. Nie czuję żadnego dystansu w dyskusjach z nim. Lubi się pośmiać, pobiesiadować.

PR-owiec: – W trakcie kampanii w 2015 roku czasami trzeba było zaprosić profesora Waldemara Parucha na posiedzenia sztabu. Musieliśmy wysłać po niego samochód z Warszawy do Lublina, gdzie mieszkał. Robiliśmy to, żeby mieć święty spokój. Paruch mógł przecież na nas nadawać do prezesa, który go ewidentnie lubił. Woleliśmy trzymać go w bezpiecznym dystansie. Fenomen słabości Kaczyńskiego do niego jest trudny do wytłumaczenia. Paruch startował w różnych wyborach i to w okręgach wybitnie nam sprzyjających. Nigdy się nigdzie nie dostał. Kompletnie nie wiedział, jak prowadzić własną kampanię, a co dopiero czyjaś. Kiedyś wymyślił, że Andrzej Duda powinien pojechać na mecz siatkówki na Podkarpacie. Tam spiker miał wyczytać jego nazwisko. Ręce nam opadły. Przecież wiadomo, że Andrzej zostałby wygwizdany, jak to zwykle bywa w przypadku polityków, którzy się pojawiają na zawodach sportowych. Ale oczywiście spokojnie wysłuchaliśmy tej propozycji: „Ciekawy pomysł, zobaczymy, czy uda się go zrealizować, bo kalendarz mamy napięty”.

Doświadczony parlamentarzysta: – Paruch doradzał nam, ale nie za darmo. Za analizy brał pieniądze, aż się Stachu Kostrzewski, który był naszym skarbnikiem, wkurzył. Pozbierał kwity i poszedł z tym do Jarosława. Ponoć wtedy Paruch na chwilę wypadł z łask, ale wrócił.

Senator: – Profesor Gliński, którego Jarosław wystawił na premiera technicznego, realnie dostał bardzo niewielki i niewiele znaczący skrawek władzy. Prezes dał mu resort kultury. Przyszedł jako taki troglodyta do lewicowych, artystycznych środowisk. I nie miał pojęcia, jak z nimi rozmawiać, choć ma doktorat z socjologii kultury, wywodzi się z Unii Wolności, a nie z PC czy ZChN. On niestety jest przeczulony na punkcie własnej osoby. Jak się do niego powie „panie ministrze”, to nie reaguje. Dopiero jak się powie „panie premierze”, to zwróci na kogoś uwagę. Z pewnością ma kompleks, że nie został premierem, bo mu to Jarosław obiecał. Jest sfrustrowany, że przyszło mu zarządzać tylko kulturą, a nie jakimiś wielkimi rzeczami.

Ziobrysta: – Jak Kaczyński wystawił Glińskiego na technicznego premiera, Kurski wymyślił, żeby go dojechać. Gliński wtedy chodził po klubach parlamentarnych i prezentował swój program. Usadziliśmy go w jednej z sejmowych sal jak na przesłuchaniu. Wypadł w telewizji fatalnie i o to nam chodziło. Była też dyskusja, jak się zachowamy w głosowaniu nad kandydaturą Glińskiego. I wtedy Kurski wypalił: „Tadek! Wystawmy Tadek!”. I tak narodziła się kandydatura Tadeusza Cymańskiego na premiera. Oczywiście nie miał żadnych szans, ale chodziło o upokorzenie Glińskiego, czyli uderzenie w Kaczyńskiego.

Urzędnik: – W partii za pechowca uchodzi Jacek Sasin. Kilka miesięcy po katastrofie smoleńskiej odbywał się wyjazd polskiej delegacji do Gruzji. Ówczesny prezydent tego kraju Micheil Saakaszwili przysłał do Warszawy swój prywatny samolot, który przywiózł gości na uroczyste otwarcie w Batumi ronda Lecha i Marii Kaczyńskich. Pojechało tam kilka osób z Kancelarii Prezydenta. Towarzystwo było mieszane, bo obowiązki głowy państwa pełnił Bronisław Komorowski, ale w kancelarii pracowało wciąż wielu urzędników z nadania zmarłego Lecha Kaczyńskiego. Wśród nich był Jacek Sasin, który również poleciał do Gruzji. Pewnego wieczora poszedł w miasto i delikatnie zabalował. Jak wracał ubawiony do hotelu, to nie zauważył przeszklnych drzwi i z impetem w nie walnął, aż cała ściana się zatrzęsała. Potem długo chodził z takim wielkim opatrunkiem na nosie.

Rozdział IX

Wykarmieni



Pamiętam rozważania niektórych polityków opozycji, którzy mówili, że wystarczy przekabacić sześciu posłów PiS i Kaczyński traci władzę. To wynikało z kompletnego niezrozumienia tego, jak ci posłowie są mocno związani z partią finansowym lepiszczem. To jest system korupcji politycznej. Czasem miękkiej, czasem twardej.

Były minister: – Jarosław moim zdaniem zaczął budować własną oligarchię.

Były współpracownik Jarosława Kaczyńskiego: – Myśmy pierwszy raz maszerowali po władzę w cieniu afery Rywina. Na tym uszyliśmy swoje sztandary. Miało nie być już więcej kolesiostwa w stylu komuchów. Dziś to już jest pusta retoryka.

Członek zarządu państwowej spółki: – Nie byłem nigdy członkiem PiS. Przyszedłem z rynku. Miałem okazję kiedyś rozmawiać z Jarosławem Kaczyńskim na Nowogrodzkiej. Zostałem wezwany, bo nie zatrudniałem tylu pisowców, ilu chciały wsadzić do spółki lokalne struktury partii. Prezes długo coś mówił o reformach państwa, państwie prawa, jego republikańskim charakterze. To oczywiście było ciekawe, ale nie było to clou rozmowy. Sensem tego wprowadzenia było wywarcie presji, żeby jednak zatrudniać tych ludzi z PiS, bo to ułatwi zwycięstwo w wyborach.

Menedżer: – Jak się zmieniały ekipy w ramach PiS, to najpierw przychodziły długie listy nazwisk osób do zwolnienia, a potem równie długie listy osób do zatrudnienia. Pamiętam, że jeden z bardziej kumatych prezesów wrzucił sześć takich osób do zarządu jakiejś spółki zależnej. Nie było wśród nich nikogo, kto by się znał na biznesie. Byli sami pociotkowie jakichś lokalnych działaczy PiS. Po pół roku spółka straciła płynność finansową.

Poseł: – Zaczęło się u nas mówić „twoja żona jest lepsza niż moja”. No bo prawda jest taka, że nie każda żona posła czy senatora mogła liczyć na dobrą pracę w spółkach. Aż tu nagle się okazało, że żona Krzysztofa Sobolewskiego, który w partii został następcą Joachima Brudzińskiego, ma cztery czy tam pięć fuch za jakieś koszarne pieniądze. A Sobol to nie jest jakiś wybitny orzeł czy tytan intelektu.

Były minister: – Jarosław od tych pieniędzy uzależnił już tysiące ludzi. Przecież posłowie to jest niewielka grupka, nawet doliczając do tego ich

rodziny. Najbardziej korzystają radni w kraju i ich bliscy. Kaczyński dopuszcza ich do zarabiania w zamian za lojalność. A w sytuacji kryzysowej, kiedy jest zagrożenie utraty władzy, zapewnia im złote spadochrony. Pokazuje, że lojalność działa w dwie strony.

Radny: – Lokalny aparat partyjny oceniał efektywność prezesów według jednego kryterium: czy oni zatrudniali „naszych”, czy nie. Było kilku takich, którzy się przed tym wzbraniali i tłumaczyli, że potrzebują fachowców. To było widoczne zwłaszcza na początku naszych rządów. Pierwszym, który udowodnił, że niczym się nie trzeba przejmować, był Daniel Obajtek, który przyszedł do Agencji Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa i z miejsca zwolnił tysiąc osób. To był taki kamień milowy. Okazało się, że można skutecznie prowadzić politykę personalną w oparciu o dyrektywy partyjne. Obajtek był stawiany za wzór osoby, która element, nazwijmy to, „właściwy” dokłada do szeroko rozumianego życia gospodarczego. Tak to ładnie nazywaliśmy.

Poseł: – Za Platformy też bywały grube sytuacje, ale nie aż tak grube jak teraz. A ponieważ w PiS brakowało ludzi, został stworzony cały system, który miał służyć wykuwaniu nowych kadr. Najważniejszym elementem była zmiana przepisów, które pozwalały każdemu absolwentowi MBA na zatrudnienie w spółce. Powstały całe uczelnie, które taśmowo te dyplomy produkowały. Doświadczenie nie było już potrzebne. Wystarczył papier i chęć szczerą. Do nas zresztą przyklejało się wielu ludzi, którzy nie mieli szans na stanowiska w poprzednim rozdaniu i zaczęli nam, za przeproszeniem, lizać dupę. I to działało.

Urzędnik: – Najprostszy numer? Zatrudnienie na słupa. Wsadza się totalnie anonimowego gościa do kilku spółek. Na każdym stanowisku daje się mu dziesięć, dwadzieścia tysięcy złotych w zależności od wielkości firmy. Chłop kasuje kilkadziesiąt tysięcy miesięcznie. Wypłaca pieniądze w banku, zostawia sobie z piętnaście tysięcy, a resztą się dzieli z tym, kto go wsadził do spółki. To jest najlepszy i najprostszy sposób, bo anonimowy człowiek nigdzie nikomu się nie wyświetli i pies z kulawą nogą się nim nie zainteresuje. W przeciwieństwie do jakiejś żony polityka, brata czy córki.

Wyciąganie kasy przez fundacje

Wiceminister: – Nie wiem, czy prezes wiedział o tym, że Czarnek szykuje ten program willowy, czyli pieniądze dla fundacji związanych z nami. Ale nawet jeśli nie wiedział, to przecież Czarnka obroni pani Bielecka z saloniku na Wilczej. Na pewno minister ma już kilku politycznych ambasadorów, którzy się za nim wstawią, jeśli będzie trzeba. Bo na pewno parę osób poszło do prezesa, żeby ponarzekać na Czarnka. Na zasadzie: „Tamci dostali, a my nie. Albo tamci dostali dużo, a my mało”.

Poseł: – Od lat się u nas mówiło o pomysłach stworzenia kilku, kilkunastu nowych „Srebrnych”. Te nieruchomości będą warte za kilka lat dwa razy tyle. Dzisiaj niby te fundacje czy stowarzyszenia pod wpływem burzy medialnej zostały zmuszone do podpisania aneksów, z których wynika, że będą je mogły sprzedać dopiero po piętnastu latach. To nic nie znaczy. Po wyborach, jeśli wygramy, te aneksy będą mogły być zmienione.

Bywalec Nowogrodzkiej: – Fundacja Polska Wielki Projekt wynajmowała w centrum Warszawy lokal. W pewnym momencie miasto, czyli Platforma, wypowiedziało im umowę najmu. No to jak będą mieli swoją nieruchomość, to nawet jak będziemy w opozycji, nie będą się tułać. A jak przyjdą naprawdę chude lata, to zawsze będzie furka wynajęcia komercyjnego tych powierzchni i zarabiania na tym. Dzięki takim nieruchomościom Kaczyński przetrwał najgorszy czas. Wynajmował powierzchnie, zbudował spółkę „Srebrna”. W pewnym momencie Wojciech Jasiński, który tym kierował, zatrudniał kilku kierowców, miał służbowe samochody. Dzisiaj „Srebrna” ma rocznie dwa miliony czystego zysku. A te pieniądze wbrew pozorom nie są przejadane, tylko odkładane. Myślę, że co najmniej kilkanaście milionów jest na kontach, które zapewnią przetrwanie, gdyby nam się noga powinęła.

Prezes spółki: – Ten mechanizm wyciągania kasy poprzez fundacje przyniósł do PiS Morawiecki. Przecież on to samo robił z kasą z banku, którym kierował. On przez lata ciężkie miliony przepuścił przez różnego rodzaju instytucje, fundacyjki. Przecież to nie były jego własne pieniądze, a miał dość dużą swobodę w ich rozdawaniu.

Menedżer: – Jak zostałem szefem państwowej spółki, przyszli ludzie od Morawieckiego, którzy mieli jakieś zarejestrowane wcześniej firemki. Mówią: „Świetny projekt mamy. Kod QR do skanowania, który będzie umieszczony na pomniku. Jak sobie ludzie zeskanują, to automat im przeczyta informację dotyczącą tego pomnika”. Powiedzieli, że potrzebują na to pół miliona

złotych. Poprosiłem swoich ludzi, żeby sprawdzili, ile taki projekt może realnie kosztować. Okazało się, że piętnaście–dwadzieścia tysięcy złotych.

Członek zarządu państwowej spółki: – Przychodzili posłowie, wiceministrowie. Pamiętam, jak jeden z ważnych ministrów zaproponował, żeby kierowana przeze mnie spółka zainwestowała w jakiś hotel. Sprawdziliśmy to. Hotel należał do jego znajomego. Udało mi się z tego jakimś cudem wymigać.

Menedżer: – Taki KGHM to nie jest firma. To jest instytucja zapewniająca utrzymanie rzeszom członków partii, związkom zawodowym i grupkom skupionym wokół nich. Lokalny PiS uważa, że ta firma należy po prostu do nich. To jest księstwo. Ważni pisowcy z Dolnego Śląska są bardzo wyczuleni na kwestię zatrudnienia swoich ludzi w firmie. Jak natrafiali na opór zarządów, przyjeżdżali i mówili, że przez to PiS przegra wybory. Nie wiem, czy istniała taka zależność, ale oni tak to tłumaczyli.

Urzędnik: – Wszystkie duże inwestycje KGHM są wyprowadzane do spółek zewnętrznych. A jest ich kilkanaście. Tam wszyscy są pod wszystkich podpięci. Ciotka gościa z rady nadzorczej ma udziały w firmie, która seryjnie dostawała zlecenia. Tam nie ma miejsca dla kogoś, kto chciałby wprowadzić jakąkolwiek transparentność wydawania pieniędzy.

Poseł: – Kiedyś do siedziby klubu parlamentarnego przyszedł około czterdziestoletni, wypachniony wodą kolońską, świetnie ubrany dżentelmen, który wszystkim napotkanym posłom PiS się przedstawiał. Mówił, że jest prezesem jakiejś spółki z centralnej Polski. W końcu trafił na jedną starszą posłankę, bardzo doświadczoną, która akurat doskonale znała się na gospodarce. I ona do niego: „Niech mi pan powie: co pan poprzednio robił?”. On: „Byłem nauczycielem języka polskiego”. Koleżance aż szczęka opadła. Nie deprecjonuję polonistów, ale to pokazywało, w jaki sposób te awanse się odbywały. Pamiętam podobną sytuację z jeszcze młodszym człowiekiem, który był świeżo upieczonym członkiem zarządu jednej ze spółek. Na pewno nie miał trzydziestu lat. Przeszedł do klubu, zaczął rozdawać wizytówki na prawo i lewo, zapraszać na spotkania. Okazało się, że to był dawny asystent jednej z posłanek, który chwilę wcześniej nosił za nią teczkę. Jak się o tym dowiedziała, to ją szlag trafił: „To ten patałach teraz zarabia pięć razy więcej ode mnie?”.

Doświadczony parlamentarzysta: – W PiS był kompleks wynikający z braku odpowiedniej kadry pozostającej w zasobach partii. Nie mówię o samych członkach ugrupowania, ale raczej o osobach, które sympatyzują z nami, a jednocześnie miałyby kwalifikacje i byłyby w stanie objąć ważne funkcje w gospodarce. Mam na myśli nie tylko stanowiska w zarządach, ale też posady dyrektorskie czy szeroko pojęty management. I od początku przejścia przez nas władzy było straszne ciśnienie ze strony struktur lokalnych PiS, żeby promować „naszych” ludzi. Jakichkolwiek, byleby związanych z nami. Najczęściej te osoby nie spełniały minimalnych kryteriów, czyli na przykład odpowiedniego doświadczenia na kierowniczych stanowiskach. Zaczęło się chodzenie na skróty.

Radny: – Ludzie się zabijali, ale niespecjalnie o fuchy w zarządach, tylko bardziej na dyrektorskich stanowiskach. A najlepsza robota to doradca zarządu. Zarobki świetne, zero odpowiedzialności.

Poseł: – Najlepsza fucha? Pełnomocnik zarządu w spółce skarbu państwa. Forsy jak lodu, a odpowiedzialność taka sobie. W spółce na terenie mojego okręgu wyborczego pełnomocnicy zażądali obiadów na koszt firmy. Zaczęło się od jedzenia, a skończyło na darmowych mieszkaniach. Mało tego. Jeden z pełnomocników zażądał, żeby firma na własny koszt kupiła do takiego mieszkania pościel i sprzęt AGD, w tym żelazko.

Urzędnik: – Ludzi zwykle interesuje to, co się dzieje w tych dużych spółkach. Mało kto zwraca uwagę na firmy, które podlegają na przykład wojewodom. Czy pan wie, że taki wojewoda mazowiecki ma do podziału stanowiska w dwustu spółkach? Do tego dochodzą firmy podległe zarządom województw, czyli marszałkom. To jest gigantyczny zasób i kimś trzeba było to poobsadzać.

Pracownik państwowej spółki: – U nas w firmie ludzie zajmujący się promocją stanowią już prawie jedną piątą wszystkich zatrudnionych. Mają obsługiwać zarząd i robić mu reklamę. Wszyscy są oczywiście z PiS. Co ciekawe, oficjalnie mało kto pracuje w dziale promocji, ludzie są powciskani do innych komórek w spółce, żeby się to nikomu nie wyświetliło przy okazji jakiegoś audytu.

Menedżer: – Jeden pan prezes w pewnym momencie w ogóle przestał się kryć z tym, że uprawia seks ze swoimi pracownikami. Czuje się zupełnie bezkarny, nie próbuje zachować jakichkolwiek pozorów. On to robił nawet

w siedzibie spółki. Panie, które wpadną mu w oko, mogą liczyć na wyższą pensję i inne apanaże, w tym wyjścia do drogich restauracji czy na koncerty. W biurach regularnie się pije wódkę, a nawet niektórzy w trakcie imprez wciągają prochy. Potem po godzinach pracownicy są zmuszani do sprzątania tego chlewu. Całe worki butelek się potem walają w śmietniku. A na dodatek pan prezes chodzi ciągle zawiany, więc trzeba było zatrudnić specjalnie dla niego dwóch kierowców, żeby przez całą dobę pan prezes miał obsługę. To znaczy, żeby po imprezie miał go kto odwieźć do domu.

Żarłoczne małuchy

Doświadczony parlamentarzysta: – W PiS jest sporo rzetelnych, pracowitych ludzi, dobrze pracujących. I ci ludzie tego może nie okazują, ale są najbardziej sfrustrowani tym wszystkim.

Kamil Dziubka: – Czym?

Doświadczony parlamentarzysta: – Odejdziem od ideowości, tym kolesiostwem, tym wykorzystaniem zasobów państwa, tym cwaniactwem innych. A najbardziej denerwujące jest rozpychanie się tych małych środowisk. Mam na myśli tak zwanych koalicjantów, czyli ludzi od Ziobry, Bielana. Nagle się okazuje, że w PiS nie ma PiS. Nas przy podziale tego tortu często na różnych poziomach w ogóle nie ma.

Poseł: – Mieliśmy w jednej spółce bardzo „pluralistyczny” zarząd: dwóch ludzi od Gowina, jeden od Ziobry, dwóch z lokalnego PiS. Jeden z tych gości miał polityczne ambicje i wystartował w wyborach parlamentarnych. Dostał się, więc zaraz po złożeniu ślubowania poselskiego powinien złożyć rezygnację z zasiadania w zarządzie. Mieliśmy już przygotowanego człowieka na jego miejsce. A ten poseł w pewnym momencie zaczął kluczyć, przeciągać sprawę, choć teoretycznie został już powołany kolejny członek zarządu. W pewnym momencie okazało się, że ludzie z PiS mają mniejszość w zarządzie, i zaczęły się próby wysadzenia ich z siodła. W tym czasie ta tymczasowa większość w zarządzie zaczęła zatrudniać swoich ludzi, w tym człowieka na kompletnie fikcyjnym stanowisku za dziesięć tysięcy złotych miesięcznie, którego jedynym zadaniem było sporządzanie prasówek. Sprawa oparła się o Nowogrodzką, bo lokalne struktury partii zaczęły słać donosy do Jarosława.

Senator: – Kiedyś w moim okręgu ktoś zrobił analizę na temat tego, kto i z czyjej rekomendacji zasiada w zarządach spółek na naszym terenie. I się okazało, że najbardziej lukratywne posady dostały te maluchy. To rodziło frustrację w tym takim, powiedziałbym, terenowym aparacie pisowskim, który świętek – piątek, ciepło, zimno wieszał plakaty, był na każde zawołanie, wszystko robił, a przyszedł PiS do władzy i w sumie nic z tego nie mieli. Część ludzi myślało: „Kurwa, zapierdalałem, męczyłem się, byłem wierny jak pies, no to coś mi się chyba należy? A jak nie mi bezpośrednio, to może chociaż moja żona by miała posadę lepszą?”.

Radny: – Jeden prezes chce startować do Sejmu i przepuszcza kasę spółki do kancelarii swojego znajomego. To jest tajemnica poliszynela. Na dodatek każdy, kogo zatrudnia, musi się z nim działkować. Co najmniej kilkanaście osób oddaje mu dwadzieścia pięć procent pensji. On to zbiera na swój nieformalny fundusz wyborczy.

Poseł: – Niektórzy z tych prezesów to już zaczęli irytować posłów. Przychodzili do Sejmu, poklepywali nas po plecach, mówili: „Świetnie działacie, róbcie tak dalej”. A jeden z posłów skomentował: „Tak, żebyście wy mieli posadę, to my świecimy mordą przed elektoratem i zapieprzamy w okręgach. Nie wy”.

Kamil Dziubka: – Czy miał pan wrażenie, że u kogokolwiek zrodziła się refleksja, że może zbyt dużą chochlą próbujecie się najeść?

Poseł: – Nie, takiej refleksji nie słyszałem. Słyszałem za to narzekania na konkretnych ludzi. Powodem najczęściej były pretensje, że ktoś dostał pracę, a wcześniej był przeciwnikiem PiS. Ludziom przeszkadzało, że jakieś farbowane lisy znajdowały sobie patronów w partii i od razu dostawały stanowisko. Wybuchaly awantury, których źródłem były narzekania, że ktoś został nagrodzony, choć nie włączał się w kampanię, dał za mało kasy, nie pomagał. Tego typu pretensje były, że się ktoś nie odwdzięczał w sposób taki, jaki byłby oczekiwany.

Poseł: – Jarosław w pewnym momencie zdał sobie sprawę, że nie jest w stanie nad tym zapanować. Oczywiście co jakiś czas były takie zrywy oczyszczające, jak wyrzucenie Dawida Jackiewicza z Ministerstwa Skarbu. Zapowiedzieli wtedy, że zostaną wprowadzone jasne kryteria, kto może iść do rady nadzorczej, kto może dostać jakie rekomendacje. Nic z tego nie wyszło. Prezes uznał, że taka jest natura ludzka. Po drugie, stwierdził, że jak ktoś już

będzie zarabiał te osiemdziesiąt, sto tysięcy miesięcznie, no to będzie robił wszystko, żeby jak najdłużej móc zarabiać te pieniądze. Będzie uzależniony. Zostanie postawiony w sytuacji bez wyjścia, bo jest jasne, że po utracie władzy przez PiS nie będzie mieć absolutnie żadnych szans na wolnym rynku. To dotyczy zwłaszcza tych młodych, którzy nigdy się nie zhańbili pracą. No bo jak ktoś na studiach był już w młodzieżówce, a później został jakimś asystentem, doradcą w jakimś gabinecie, później nosił teczkę, później został jakimś pełnomocnikiem, później posłem, to dziś ma trzydzieści pięć lat i na koncie ani jednego dnia pracy w zwykłych realiach. Nie ma doświadczenia zawodowego. Jeżeli to zsumujemy, to się okaże, że w zasadzie zostaje cała grupa ludzi, która żyje z polityki, a prezes mówi, że do polityki nie idzie się dla pieniędzy.

Doświadczony parlamentarzysta: – Pamiętam rozważania niektórych polityków opozycji, którzy mówili, że wystarczy przekabacić sześciu posłów PiS i Kaczyński traci władzę. To wynikało z kompletnego niezrozumienia tego, jak ci posłowie są mocno związani z partią tym finansowym lepiszczem. To jest system korupcji politycznej. Czasem miękkiej, czasem twardej. To jest doktryna Neumanna, która była ośmieszana przez nas, a w PiS jest to samo. Mówię to z bólem.





KAMIL DZIUBKA

Dziennikarz Onetu. Współautor popularnego podcastu „Stan Wyjątkowy”, a także prowadzący program „Onet Opinie”. W przeszłości reporter telewizyjny. Był sprawozdawcą ze szczytów Unii Europejskiej i NATO. Laureat nagrody Grand Press w kategorii „News”.